ROK I. LIPIEC TOM I.





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)
W Warszawie Skład Główny: Ulica ~~Złota N. 56A m. 36~~ Żórawia 18.

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI



DRUK WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA
AKCYJNEGO ARTYSTYCZNO-WYDAWNICZEGO



ROK I. TOM I.

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: pod Jasną-Górą (dom Proszowskiego)
W Warszawie Skład Główny: Ulica Złota Nr. 56A m. 36.

1901

Дозволено цензурою.
Варшава 27 іюня 1901 г.



„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA

Zawierać będzie:

1. Artykuły treści teologicznej. 2. Powieści, opowiadania historyczne, poezye. 3. Modlitwy prozą i wierszem. 4. Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży oraz mężów zasługi i pracy. 5. Obrazy z historyi Kościoła rzymsko-katolickiego. 6. Kronikę krajową i zagraniczną, z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7. Oceny nadesłanych do redakcyi książek. 8. Ogłoszenia.

Dla prenumeratorów DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO redakcya ofiaruje po zniżonej cenie książkę

Obrazy w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze

ozdobioną kolorowemi, artystycznie wykonanemi illustracyami

Cena katalogowa „Obrazów w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze" za egzemplarz ozdobnie oprawny 1 rub. 50 kop., **dla prenumeratorów DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO,** ustępuje się 33%.

W roku bieżącym „DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI" między innemi drukować będzie obszernie opracowany, z artystycznie wykonanemi illustracyami

Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa

oraz

pięknie illustrowane

Dzieje Klasztoru Jasnogórskiego

Prenumerata „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ wynosi:

W Częstochowie:		Z przesyłką pocztową:	
rocznie	Rs. 3 kop. —	rocznie	Rs. 4 —
półrocznie . . .	„ 1 „ 50	półrocznie	„ 2 —
kwartalnie . . .	„ — „ 75	kwartalnie	„ 1 —



LIST ZWROTNY

Do Administracyi „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO”

w CZĘSTOCHOWIE, pod Jasną-Górą, dom Proszowskiego.

Załączam przy niniejszym na „Dzwonek Częstochowski“

rs. .... *kop.* ....

za czas od dnia .... *do dnia* ....

ADRES:

Imię i Nazwisko ....

Miejsce zamieszkania ....

Stacya, z której odbierane są Gazety ....

Gubernia ....

Treść tomu I.



1. Słowo wstępne.
2. Hymn do Najświętszej Maryi Panny.
3. Historya Cudownego Obrazu Matki Boskiej w Częstochowie.
4. Żywot Świętego Pawła, pierwszego pustelnika.
5. Jego Świętobliwość Leon XIII, wielki papież.
6. Z życia pierwszych chrześcijan, opowiadanie historyczne.
7. Nowiny z Częstochowy i zagranicy.
8. Życiorysy ś. p. księdza biskupa Antoniego Sotkiewicza, ś. p. arcybiskupa Isakowicza i ś. p. księdza dziekana Nowakowskiego.
9. Rozmowa z księdzem proboszczem o odpustach.
10. Dzwoń nam, dzwonku, dzwoń! (wiersz)

Ogłoszenia i drobiazgi.

ILLUSTRACYE:

1. Cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.
2. Ołtarz z cudownym obrazem w kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze.
3. Obraz Świętego Pawła Pustelnika w kościele Jasnogórskim.
4. Jego Świętobliwość Leon XIII wielki papież.
5. Męczeństwo chrześcijan z cyrku Nerona.
6. Ze Skarbca Częstochowskiego: Monstrancya Zygmuntowska.
7. Portrety ś. p. ks. arcybiskupa Isakowicza, ś. p. biskupa Antoniego Sotkiewicza i ś. p. księdza dziekana Nowakowskiego.



Słowo wstępne.

W serce ludzkości rzucił Bóg ziarno miłości ku Sobie i bliźnim, które choć nieraz bywa przygłuszane chwastem egoizmu, nie marnieje, lecz ciągle się rozrasta, obejmując coraz szersze horyzonty; w serce pojedyńczych narodów rzucił ziarno miłości ku tej ziemi, na której się urodzili, ziarno przywiązania do miejsc szczególnie wsławionych w zakątku ziemi rodzinnej, a te są, jakby słońcem oświecającem i ożywiającem zarazem. Dosyć wspomnieć, dosyć wymówić nazwę takiej miejscowości, aż tu miliony serc, dotąd różnorodnie bijących, porusza się w jeden takt w jednym kierunku, miliony serc tchnie jednem uczuciem, jednem pragnieniem. Wspomnienie o tych miejscach jest nieraz jedyną osłodą, jedyną nadzieją dla tych, którzy zdala pracować są zmuszeni; choć go nie widzą, ale go czują; choć tysiącami mil oddaleni, zaledwie się zwrócą w tę stronę, zdaje im się, że już nie są tułaczami, że już się snajdują w domu rodzinnym, że spoczywają na łonie ukochanej matki. Takiem miejscem dla Izraelitów było święte Jeruzalem, ku któremu siedmkroć na dzień twarzą zwróceni modlili się; do tego miasta zwracał swe oblicze największy biedak, tego narodu, do niego tęsknił i książę ludu tego Daniel, choć jako wielkorządca Babilonu w pałacu królewskim przebywał; takiem miejscem ukochanem dla całego świata katolickiego jest Rzym, nad którym kopuła bazyliki Świętego Piotra góruje, jak słońce nad ziemią; takiem dla Włoch jest Loreto z Domkiem Matki Bożej; takiem Jasna Góra dla nas, bo tu mieszka Matka nasza najukochańsza. Jej wspomnieniem rozpoczyna swego „Pana Tadeusza“ geniusz narodu naszego, Adam Mickiewicz, o Niej, przeczytawszy słów kilka, a przeniósłszy się myślą i duchem na Jasną Górę, do stóp Maryi, mile marzy „Latarnik“, płacze w rozrzewnieniu, jak nam to pięknie odtworzył Henryk Sienkiewicz.

Tak, Jasna Góra—to święta moc, która ciągnie serca nas wszystkich do Stóp Maryi. Jasna Góra, to nasze słońce, ku któremu wszyscy bez różnicy stanu i wykształcenia skłaniamy umysły i serca; to nasze Święte Jeruzalem, do którego dąży, za którem tęskni zarówno żebrak, jak i magnat.

Nazwa Jasnej Góry, nadana temu miejscu, jakże dobitnie wyraża, czem ono jest dla nas! Jasna Góra, — bo na jej szczycie Marya piastuje na Swem ręku światłość, oświecającą każdego człowieka na ten świat przychodzącego, Jezusa-Dziecinę. Jasna, bo z jej szczytu przyświeca nam miłosierne Oblicze Matki nadobnej miłości; Jasna, bo tam promienieje tron Boskiego miłosierdzia; Jasna czyli sławna na świat cały cudami i łaskami bez liku; Jasna i sławna, bo na niej znajduje się to wszystko, co godne uwielbienia, nietylko dla nas, ale i całego świata katolickiego.

Nazwa Jasnej Góry dawniej należała się temu miejscu i dlatego, że tysiące ludu, zbiegając się do Stóp Maryi, czerpało stąd nietylko łaski dla ducha, ale i oświecenie dla umysłu. Sławna na kraj cały drukarnia klasztorna obdarzała książkami pątników, którzy wróciwszy pod strzechę rodzinną, karmili tą strawą umysłową nietylko chaty, ale i pałace.

Dziś czasy się zmieniły. Garstka O.O. Paulinów, przygnieciona nadmierną pracą w kościele, nie może myśleć o innym pokarmie dla umysłów; ustała drukarnia, miejsce książek pożytecznych przez nią tłoczonych zajęła tandeta, pochodząca po większej części z rąk spekulantów; lud pobożny, pragnąc mieć pamiątkę z Miejsca Świętego, kupuje co ma pod ręką. Lecz czy to pokarm zdrowy? Czy on daje kupującemu należyte pojęcie o jego Świętej Wierze? Czy poucza o ważności miejsca, do którego ten lud nieraz o chłodzie i głodzie podąża? Niestety, nie!...

Otóż, chcąc przywrócić choć w maleńkiej cząstce ową dawną świetność Jasnej Góry, kiedy była nietylko skarbnicą łask Bożych, ale i oświecicielką ludzi, postanowiliśmy przy pomocy Bożej i pod opiekuńczym płaszczem Matki Najświętszej Częstochowskiej wydawać pismo miesięczne pod tytułem „Dzwonek Częstochowski“. Każdy tom miesięczny będzie przedstawiał skończoną całość z różnorodną treścią. Pierwsze miejsce zajmować będą wiadomości, tyczące się przeszłości Jasnej Góry z odpowiedniemi illustracyami, dalej życie Kościoła Katolickiego, a szczególnie w kraju naszym, artykuły treści religijnej i historycznej, tak, że czytający „Dzwonek Częstochowski“ będą w ciągłej łączności nietylko z przeszłością, ale i teraźniejszością tego Miejsca Świętego. Gdy zaś czytelnicy oświecą umysł treścią artykułów religijnych i historycznych, znajdą tam dla rozgrzania serca i gorące modlitwy ku Maryi, Królowej Niebios.

Taki jest nasz cel i program, a jakeiż środki, nadzieje?... Tylko na pomoc Bożą, na pomoc Tego, Który powiedział: „Nie bójcie się, co i jak będziecie mówili, bo ja z wami i za was mówić będę;“ tylko wiara w Opiekę Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, a następnie w błogosławieństwo Najdostojniejszych Pasterzy, Księży Biskupów, które otrzymaliśmy, i w zachetę świętobliwych kapłanów oraz ludzi dobrej woli. Oto siły, które nam są niezłomną rękojmią, że dzieło, które dziś rozpoczynamy, prowadzić będziemy na chwałę Bożą i ku pożytkowi wiernych. Tak więc, choć pokrótce wypowiedzieliśmy, jaki jest nasz cel i środki, skąd wychodzimy i dokąd dążymy, a co zacz jesteśmy, poznacie lepiej, kochani czytelnicy, rozpatrzywszy się w treści numeru pierwszego „Dzwonka Częstochowskiego“.

Idźże więc w imię Boże i Matki Najświętszej Częstochowskiej „Dzwonku Częstochowski", od chaty do chaty, od sioła do sioła, od miasta do miasta, po kraju całym. Niech głos twój nie milknie, niczyjego ucha nie razi, uczuć nie rani; niech na dźwięk twój otwierają się serca wszystkich dzieci Maryi Częstochowskiej, aby głos twój napełnił góry i doliny, był słyszany przez prostaczków i uczonych, biedaków i bogaczy, aby na dźwięk twój głowy i serca wszystkich, wszędzie i zawsze ku Jasnej Górze się zwracały.





CUDOWNY OBRAZ MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ.

HYMN
do Najświętszej Maryi Panny.

Bądź pochwalona, Swięta Pani,
Przez ziemię całą, wierny lud!
Hołd modlitewny przyjmij w dani,
Spiew serca, pełny rzewnych nut...
Cześć Ci, bowiem żywot Twój cały
Niedościgniony cnoty wzór;
Żadne go pyły nie skalały,
Jak gwiazdę jasną w toni chmur...

Umiłowaną przez Niebiosa
Ludzkości biednej dał Cię Pan,
Byś, jako kwiaty zwiędłe—rosa,
Rzeźwiła dusz człowieczych łan.
Z Ciebie, Najczystszej z dziewic grona,
Na świat ten przyszedł Boży Syn...
Proroków wróżba już spełniona:
Dan Odkupiciel naszych win.

Poznałaś szczęśliwości matek:
Dziecię — Aniołów pieszczoch — Król,
Ptaszyna wdzięczna, cudny kwiatek...
Lecz skrycie czyhał też i ból...
Zbrodniczy zamysł herodowy
Ileż Ci wylał z oczu łez;
Nie miałaś gdzie przytulić głowy,
Zanim wędrówki nadszedł kres...

Gdy Dziecię wzrosło i dojrzało,
Matczyne serce drżało wciąż,
Choć upojone Syna chwałą,
Choć chlubą świata stał się mąż...

A potem... potem... dni Golgoty...
Ileż boleści przeszył miecz
Twą duszę, pełną tej tęsknoty,
Która ją z ciała rwała precz —

Sladami Syna — aż do nieba...
Koroną cierpień był ten krzyż,
Gdy czarny całun wdziała gleba,
Kat nie śmiał oczu podnieść wzwyż!...

Lecz po dniach smutku i boleści
Nastąpił Zmartwychwstania dzień.
Twą duszę obraz jasny pieści,
Na resztę dni wpatrzonaś weń...

Sprawdzą się wszystkie Boże słowa,
W niebiosach na Cię czeka tron,
Zasiądziesz na nim, jak Królowa,
Nie dotknie Ciebie ziemski zgon...

Wśród Apostołów żyjąc grona,
Prowadząc lud na wiary szlak,
Przez bliźnich, jako Święta czczona,
Zostawisz wieczny łaski znak...

Matką Cię swoją zwą narody,
W nieszczęściu biegnąc do Twych stóp
I nie odchodzi bez osłody,
Kto wzywa Matkę pośród prób...

W pacierzu codnia Cię błagamy:
O, módl się, gdy nas gnębi grzech;
A pacierz puka w Niebios bramy,
A łza mogilny zrasza mech...

Niema sieroty w całym świecie,
Bo Tyś jej matką czułą jest,
Bo Twojem zgoła każde dziecię,
Co wiary Świętej przyjmie Chrzest...

Niema nędzarza, ni straceńca,
Coby nie zaznał szczęsnych dni,

Gdy „Zdrowaś Marya“ czas uświeca,
O Matce naszej słodko śni...

Nieszczęsne matki, o, Królowo,
Do Cię o litość wznoszą jęk,
Gdyś Sama drogą szła cierniową,
Odczujesz smutek, ból i lęk...

Gdy śmierć roztacza mrok obrzydły,
Stygnące usta szepczą: „Broń!
O, Matko, odsłoń swemi skrzydły,
Nie daj mnie zepchnąć w czarną toń!...”

Za dni krzyżowe, Twe cierpienia,
Za niezgłębione źródło łask,
Za ten, co życie nam spromienia,
Doznanych cudów wieczny blask,

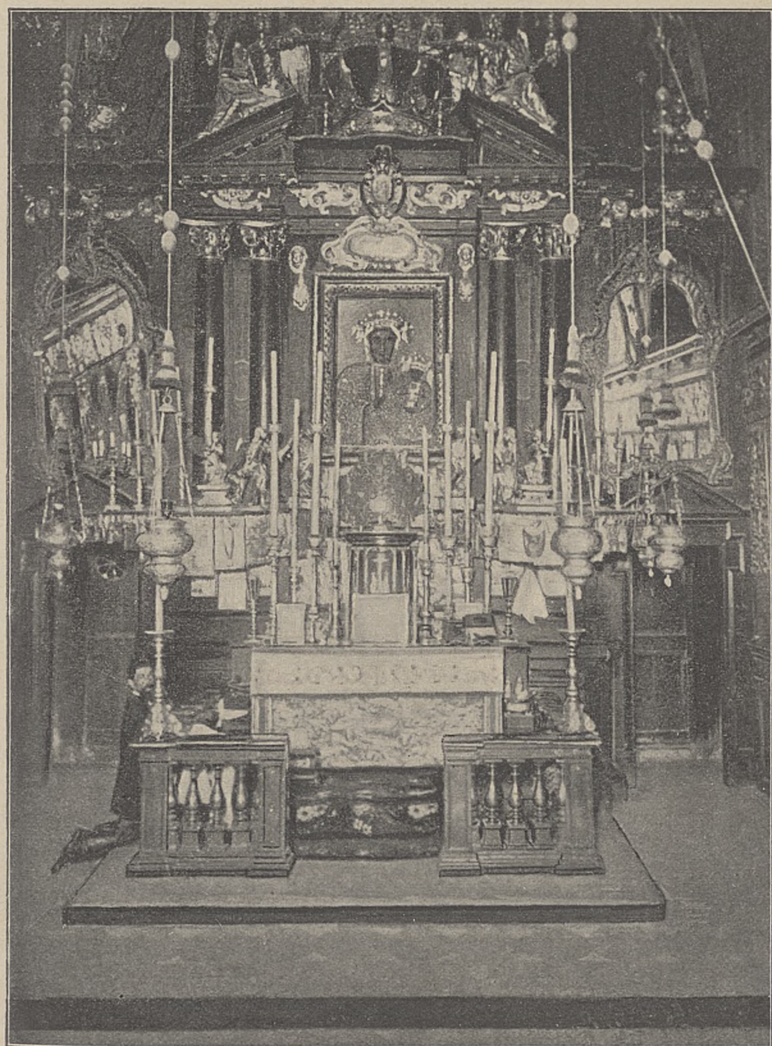
Za Macierzyńską Twoją pieczę,
Że przez otchłanie raczysz wieść,
Hymn w niebo rzesze ślą człowiecze:
„O, Przenajświętsza, cześć Ci, cześć!...“

Karol Hoffman.

HISTORYA CUDOWNEGO OBRAZU
Matki Najświętszej w Częstochowie.

Pamiątki po Odkupicielu naszym Jezusie i Matce Jego Najświętszej były i są dla wiernych największymi skarbami, które dzięki opiece całych pokoleń, do naszych czasów przetrwały. Wśród tych pamiątek pierwsze miejsce zajmują godła Męki Pańskiej, drugie zaś przynależy onym świętym przedmiotom, które miały jakąkolwiek styczność z życiem Niepokalanej Dziewicy. Chlubi się Jeruzalem cząstką krzyża Zbawiciela, dumny Rzym z posiadania Oblicza Zbawiciela, wyciśniętego na chuście Świętej Weroniki, znaną jest światu całemu sława Loreta, posiadającego domek, w którym mieszkała Najświętsza Rodzina. Lecz i my posiadamy skarb nad skarby, Cudowny Obraz Matki Najświętszej na Jasnej Górze, który należy do pierwszorzędnych pamiątek całego świata katolickiego. A jakaż tego obrazu historya?

Święta Rodzina, wróciwszy na rozkaz anioła z Egiptu do Nazaret, zastała domek rodzinny ogołocony ze wszystkich sprzętów: brakowało nawet stołu, na którymby można było położyć Pismo Święte. Wtedy Swięty Józef, będąc cieślą, własnemi rękami zrobił stół z drzewa cyprysowego, w czem mu i Dziecina Jezus pomagała. Stół ten był jedyną ozdobą Domku w Nazaret; przy nim mały Jezus, Marya i Józef wspólnie się modlili, pracowali, weselili się, a nieraz i jego powierzchnię gorzkiemi zlewali łzami. To też, gdy po śmierci Jezusa, Najświętsza Marya Panna przeniosła się na mieszkanie do domu Zebedeusza, ojca



OŁTARZ Z CUDOWNYM OBRAZEM MATKI BOSKIEJ CZĘSTOCHOWSKIEJ.

Świętego Jana Ewangielisty, któremu Chrystus oddał swą Matkę najukochańszą w opiekę, święte dziewice w liczbie stu dwudziestu, które w tym domku wraz z Matką Najświętszą osiadły i na Jej wzór życie anielskie pod kierownictwem Świętego Jana prowadziły, chcąc rozradować serce tej ukochanej Matki, przeniosły ten stół z domku nazareńskiego do nowej siedziby Niepokalanej Dziewicy. Samo wejrzenie na tę świętą pamiątkę, nietylko w sercu Bogarodzicy, ale i wszystkich tam mieszkających, odtwarzało obrazy wszystkich tajemnic Wiary naszej świętej, których niemym było świadkiem: Maryi przypominał ów sprzęt szczęśliwe chwile, gdy pod opieką Józefa hodowała cudowny Kwiat Nazareński — Jezusa, i przygotowywała Go do wielkiej ofiary Odkupienia; orszak świętych dziewic, patrząc nań, uczył się skupienia ducha, gdyż choć przy onym stoliku nie było już Józefa i Jezusa, to jednak duch ich czuł, że choć niewidzialne dla ciała, ale widzialne dla duszy towarzyszą Maryi.

Gdy niebo, zazdroszcząc ziemi, zabrało świętym dziewicom Matkę Ukochaną, nie mogąc Jej mieć między sobą cieleśnie, zapragnęły przynajmniej posiadać Jej wizerunek. Zwróciły się przeto z gorącą prośbą do Świętego Lukasza Ewangielisty, który, choć później do Wiary Świętej nawrócony, miał szczęście oglądać Oblicze Najświętszej Maryi Panny.

— Mężu święty — rzekły — tobie Bóg dał dar odtwarzania farbami postaci znanych ci ludzi; wiemy, że nosisz wyryty w sercu obraz Bogarodzicy i jeśli zapragniesz, zdołasz nam uwiecznić rysy Matki naszej najukochańszej, które, jako najdroższą po Niej pamiątkę, czcić i wielbić będziemy“.

Swięty Łukasz, spełniając tę prośbę, a zarazem pragnienie swojego serca, chwycił za pędzel i farby, i na wierzchniej tablicy stołu z Domku Nazareńskiego, mającej 2 łokcie i ćwierć długości, łokieć i trzy ćwierci szerokości i blizko dwa cale grubości, odtworzył popiersie Niepokalanej Dziewicy. Oblicze święte, więcej podłużne, niż okrągłe, barwy rumianej, koloru pszenicy, włosy na głowie prześliczne, oczy tryskające światłem niewinności, źrenice barwy oliwnej, brwi mierne, czarne usta i wargi, niby wonna wdzięczna róża, pełna słodyczy. Matka Boża na lewem ręku, przy swem Niepokalanem Sercu, piastuje Swiętą Dziecinę, która w lewej ręce trzyma na kolanach książkę, a prawą wznosi ku górze, jakby Maryi i całemu światu błogosławiła.

Obraz przedstawia całość wspaniałą: boskość się w niem przebija. Zbliżający sią do tego Cudownego Wizerunku Matki Najświętszej doznają tych pociech dla duszy i serca, na których im najwięcej zbywa i których najgoręcej pragną. Sprawiedliwemu ukazuje się w chwale

i majestacie, jak Chrystus przy Swem przemienieniu; grzesznikowi, jako smutna Matka, płacząca nad jego winami, ale pełna miłosierdzia; szczęśliwemu — jako Królowa Niebios; na biedaka spogląda, jako Matka pełna litości; ufny utwierdza się silniej; wątpiący widzi gwiazdę morską, za której przewodem w falach życia nie utonie, ale szczęśliwie przybije do portu.

Istnieje legenda, że kiedy ten Cudowny obraz znajdował się w Carogrodzie, naprzemian wydawał z siebie to promienie słońca, to światło księżyca. Co niewierzący nazywają legendą wieków odległych, my na to dziś, jak na rzeczywistość, patrzymy,—bo czyż bezustanku nie płyną na nas od Obrazu Matki Najświętszej promienie łaski, jaśniejsze od promieni słońca? Słońce podtrzymuje życie w żyjących, lecz, choćby najbardziej paliło, umarłego nie wskrzesi, a promień łaski Maryi i umarłych do życia przywraca. Księżyc, swem łagodnem światłem otulając ziemię wśród nocy, ucisza gwar i ból świata, ale tylko na kilka godzin nocy, a miłe światło miłosierdzia, bijące od Obrazu Matki Najświętszej, ująwszy nieszczęśliwych, u stóp Jej tronu zgromadzonych, pociesza ich stale i w zupełności. Pod tymi promieniami miłosierdzia wysycha każda łza w oku, ustaje lęk w sercu. Już to nie są biedni wygnańcy, Ewy synowie, ale spokojne Maryi dziatki, tak szczęśliwe i bezpieczne, jak dziecko, gdy się na sercu matki wypłacze. Słowem, jak Bóg, utworzywszy słońce i księżyc, ustanowił dwa światła, z których jedno przewodniczy dniowi, a drugie nocy, tak Wizerunek Matki Boskiej, jaśniejąc blaskiem łaski i miłosierdzia, przewodniczy na drogach ludzkości dniom szczęścia i wesela, i nocom smutku i nawiedzenia.

Swięty Wizerunek, zostawiony w gronie dziewic przez Swiętego Łukasza, przez trzy wieki blizko był drogą pamiątką wśród wiernych na Wschodzie, a szczególniej w Jerozolimie. Nie zaginął w czasie oblężenia i zburzenia Jerozolimy za Wespazyana i Tytusa, w roku 66 do 72-go, gdyż chrześcijanie przed oblężeniem Jerozolimy opuścili to miasto i udali się w góry do mieściny Pella, zabierając ze sobą skarb największy, Obraz Matki Świętej.

Tu się przechowywał aż do przybycia cesarzowej Heleny, matki Konstantyna Wielkiego, która, zwiedzając Palestynę, znalazła drzewo Krzyża Świętego, a w różnych miejscach pamiątkowych pobudowawszy kościoły, w dowód wdzięczności od tamecznych chrześcijan Obraz Bogarodzicy w darze otrzymała. Wówczas właśnie syn jej Konstantyn, wraz z wielu biskupami, namyślał się, jakichby wybrać świętych Patronów dla nowowybudowanej przez niego stolicy — Konstantynopola. Gdy się dowiedział, z jakim upominkiem przybywa jego matka, jednogłośnie ze wszystkimi biskupami Matkę Najświętszą wybrał na patronkę stolicy i całego kraju, tak, iż odtąd ów gród zaczął się nazywać Grodem

Dziewicy, Partenja, albo Partenopol. Odtąd też obraz stał się ozdobą obroną i puklerzem dla Konstantynopola. Kiedy gromy gniewu Bożego, kiedy pożoga, głód lub mordy groziły temu grodowi, wynoszono cudowny Wizerunek na mury miasta, lub w procesyi obnoszono, wołając: — „Swięta Boża Rodzicielko, broniłaś nas po razy tyle i teraz ratuj!“ — i klęska ustawała.

W Konstantynopolu zostawał ten Wizerunek najmniej pięć wieków, przechodząc różne koleje, szczególnie za czasów sekty ikonoklastów, czyli obrazobórców, która niszczyła wszystkie obrazy Jezusa, Maryi i Świętych Pańskich, statuy, krzyże i posągi. Sroga i krwawa ta burza powstała za czasów Leona Izauryka, w roku 723 i trwała aż do pobożnej, cesarzowej Teodory, która położyła koniec srogości obrazoborców.

W czasie tej burzy Obraz Maryi cudem tylko ocalał. Przechowywały go pobożne cesarzów małżonki i córki lub gorliwi biskupi, jak Święty German i Święty Nicefor, narażając się niekiedy na niebezpieczeństwo utraty życia. Naprzykład, kiedy Leon IV dwa inne obrazy znalazł ukryte pod poduszkami małżonki swej Ireny, gwałtownym zapalił się gniewem, zerwał z nią pożycie, a nawet dwóch dworzan, na których padło podejrzenie, że owe obrazy u cesarzowej zataili, śmiercią ukarał.

Kiedy Światło Wiary Świętej z Konstantynopola na Ruś przenikać poczęło i w roku 971 Włodzimierz, książę, wówczas jeszcze poganin, pojął za żonę Annę, siostrę cesarzów greckich, Bazylego i Konstantyna, ta, udając się do krainy pogańskiej, jako jedyną obronę swoją i najdroższą, otrzymała od braci Obraz Najświętszej Maryi Panny, który z sobą na Ruś powiozła. Ztąd również, przez związki małżeńskie księżniczek ruskich z władcami krainy polskiej, przedostał się Wizerunek święty do zamku Bełzkiego, należącego podówczas do Władysława księcia Opolskiego, który podczas dwunastoletniej nieobecności króla węgierskiego i polskiego, Ludwika, rządy kraju sprawował. W czasie pobytu księcia Władysława na zamku Bełzkim oblegli go Tatarzy; podczas bitwy wpadła oknem do kaplicy zamkowej strzała tatarska i utkwiła w szyi Wizerunku Świętego, uczyniwszy bliznę, której dotychczas żadnem malowidłem zatrzeć się nie dało. Przerażony tym wypadkiem książę Władysław, wiedząc, że Ruś nie jest miejscem bezpiecznem dla tej świętej pamiątki, postanowił ją przewieźć do księstwa swego, na Szląsk, i umieścić w mieście Opolu, mającem zamek obronny. Gdy obraz umieszczono na odpowiednim wozie i miano się puścić w drogę, konie w żaden sposób ruszyć się z miejsca nie chciały. Trwoży się książę, lękają dworzanie, a upadłszy na kolana, proszą o natchnienie Boże, jak postąpić należy.

Minął dzień lipcowy, zapadła noc, aż tu we śnie staje przed księciem Władysławem anioł i za przyszłe mieszkanie dla Królowej Niebios wskazuje nie miasto Opole, lecz Jasną Górę pod Częstochową, odległą o dwie mile od zamku Olsztyńskiego. Uspokojony i pocieszony anielskiem widzeniem, książę Władysław zabiera skarb drogocenny i puszcza się w drogę. W dniu 9 sierpnia 1383 roku staje w Częstochowie; tu w uroczystej procesyi wprowadza Obraz Święty do kościoła parafialnego pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Bożej i rozpoczyna zarazem budowę nowego kościoła dla umieszczenia Obrazu i klasztoru dla zakonników, którzyby pełnili służbę przed Obrazem Maryi, i pracowali zarazem nad zbawieniem wiernych. Z pomiędzy wielu zgromadzeń zakonnych wybrał Ojców raguły Świętego Pawła Pustelnika, i tych z Węgier z klasztoru Świętego Wawrzyńca pod Budą, tu sprowadził. Pustelnicza ich reguła ma wyrażać życie nadziemskie, jakoby istot już nienależących do tego padołu płaczu; ich szata biała ma przypominać niepokalaność Maryi i Jej czystość.

Blizko 50 lat Ojcowie nasi czcili w spokoju Niebios Królową, aż w roku 1434 sekta Husytów, powstała od Jana Husa w Czechach, zburzywszy w tym kraju 550 kościołów i 115 klasztorów, z Czech przez Szląsk wtargnęła do naszego kraju, a słysząc o bogatych wotach na Jaśnej Górze, napadła na nowy kościół i klasztor Ojców Paulinów. Niebawem pięciu zakonników Husyci zamordowali, resztę rozproszyli, zabrali wszystkie kosztowności, a nawet targnęli się na sam Obraz Matki Bożej, który świętokradzko zdjęli z ołtarza, a umieściwszy go na wozie, uchodzić poczęli. Gdy przywieziono Obraz na to miejsce, gdzie dziś stoi kościół Świętej Barbary, konie dalej, mimo krzyków i bicia rozwścieczonej zgrai, ruszyć z miejsca nie chciały. W wściekłym gniewie jeden z bezbożnych, złorzecząc Obrazowi, rzuca go z gwałtownoscią o ziemię, rozbija na trzy części, lecz w taki sposób, iż na środkowej Oblicze Matki Boskiej i Dzieciątka Jezus zostały w całości. Nadbiega drugi bluźnierca, szablą w policzek prawy Maryi uderza i czyni na niem do dziś widzialne dwie szramy. Na miejscu, gdzie Obraz stanął nieporuszony, wytrysło źródło czystej wody, które do dziś dnia przy kościołku Świętej Barbary istnieje, z którego do dziś pątnicy z wiarą wodę czerpię, napawając się nią sami, zabierają także z sobą do domu. Tu na pamiątkę naprzód krzyż drewniany, potem statuę kamienną, a wreszcie w roku 1646 wzniesiono kościół Świętej Barbary z nowicyatem dla mających chęć poświęcić się na służbę Maryi, w zgromadzaniu Ojców Paulinów. Kościół ten dzis zmieniony jest na parafialny.

Zrozpaczeni Ojcowie Paulini tak strasznem zbezczeszczeniem Obrazu Świętego, zawieźli Go do Krakowa, prosząc króla i Stanów, aby się

zajęli przyprowadzeniem Obrazu Swiętego do pierwotnego stanu. Panujący podówczas król Władysław Jagiełło zawezwał najzdolniejszych mistrzów z Konstantynopola, którzy z łatwością spoili rozbite części, ale znaków od uderzeń szablą na Obliczu Matki Bożej, mimo całej usilności i biegłości, zaprawić nie zdołali. Król i wszyscy obecni poznali, że Bóg tak chce, aby te cięcia nazawsze pozostały na Obrazie, jako upominek i groźba dla niezbożnych znieważycieli Maryi i Jej pamiątek, jako bodziec do czci i uwielbienia Jej Najświętszego Imienia.

Jak wielkim był smutek i przerażenie Ojców Paulinów, króla i całego narodu na wieść o świętokradztwie, spełnionem przez Husytów na Obrazie Matki Najświętszej, wnosić możemy ztąd, że choć od tego czasu upłynęło pięć wieków z górą, nikt z nas bez oburzenia i boleści o tem ani czytać, ani wspomnieć nie jest w stanie. Pobożny król, cały senat, tysiące panów i ludu, tworząc kompanią na mil dwadzieścia ciągnącą się od wzgórz Krakowskich przez Olkusz, Pilicę, Żarki i Olsztyn, aż do podnóża Jasnej Góry, prowadzili w pochodzie tryumfalnym swą Królową do Jej stolicy, Jasnej Góry. Zdumiał się kraj cały, zdziwiły się Szląsk i Morawy, a porwane tym cudownym widokiem, puściły się w ślad tej kompanii, a choć pierwotni jej uczestnicy w proch się rozsypali, rokrocznie lud z najodleglejszych zakątków kraju, pod przewodnictwem krzyża, zdąża do stolicy Matki Ukochanej; — choć więc nam przykro, że na naszej ziemi Marya świętokradzką została dotknięta ręką, to jednak do łzy boleści domieszany jest balsam pocieszenia, bo czyjeż nie raduje się serce, gdy czy to w domu, czy na polu, czy we dnie lub w nocy, czy w czasie pogodnym lub wielkiej ulewy, od Wielkiego Piątku do Wszystkich Swiętych, słyszy nieustanne głosy pątników, nucących: „Witaj nam, witaj nam, o, Maryo, witaj nam!“ Tak więc napad Husytów dał początek pielgrzymkom na Jasną Górę.

Rok 1682 zasługuje na naszą pamięć z tego względu, iż w nim obchodzono trzechsetną rocznicę sprowadzenia cudownego Obrazu na Jasną Górę. Na prośbę Ojców Paulinów, Papież Inocenty XI, w dniu 1 lipca 1682 roku wydał bullę, której mocą wszyscy wierni od wigilii uroczystości Narodzenia Najświętszej Maryi Panny i przez wszystkie dni oktawy, nawiedzający tę świątynię, spowiadający się i komunikujący, zyskiwali odpust zupełny, jubileuszowy. Do pomnożenia świetności przyczynił się szczególnie Aleksander Denhoff, opat Cystersów z Jędrzejowa, który, otrzymewszy w Rzymie relikwie Swiętych Męczenników Honorata i Kandydy, oprawił takowe w bogate relikwijarze i ofiarował je Matce Najświętszej. W wigilję Narodzenia Matki Bożej, z kościoła parafialnego w Starej Częstochowie wyruszył orszak, składający sie przeszło z siedmiuset tak świeckich, jak i zakonnych kapłanów, oraz ze 140,000 wiernych, w pośród którego przy śpiewie, muzyce i salwach

działowych niesiono święte relikwie królujących już na Niebiosach świętych męczenników, które po przybyciu do kościoła klasztornego złożono na osobnych ołtarzach. Następnego dnia od zarania, przy wszystkich ołtarzach wielkiej świątyni i kaplicy, bezkrwawe ofiary Mszy Swiętej odprawili kapłani. Lecz brakło czasu, ołtarzy; wielu kapłanów do innych świątyń w Częstochowie ze Mszą świętą udać się musiało.

Choć wspaniałą była ta uroczystość, lecz zaćmioną została w zupełności przez odbytą w 1717 roku, a mianowicie Cudownego Obrazu koronacyą.

Kardynał Benedykt Odeschalchi, który trzy tygodnie bawił na Jasnej Górze, obiecał Ojcom Paulinom, iż powróciwszy do Rzymu, postara się o przywilej ukoronowania Obrazu i stosownie do tego nadeśle dwie korony. Jakoż rzeczywiście wyjednał u Kapituły Swiętego Piotra na Watykanie dwie złote korony dla Wizerunku Maryi na Jasnej Górze, a nadto podwójną bullę Klemensa XI, Papieża, obejmującą i przywilej koronacyi Obrazu i pozwolenie wywiezienia koron poza granice Państwa Kościelnego. W bulli tej upoważnił Papież nuncyusza swego przy Rzeczypospolitej do dopełnienia koronacyi. Nuncyusz Grimaldi, nie mogąc osobiście tego dopełnić, zlecił ten zaszczyt biskupowi Chełmskiemu, Krzysztofowi Szembekowi. Ten okólnikiem z dnia 4 lipca 1717 roku powiadomił kraj cały o tak ważnej uroczystości i na jej obchód dzień 8 września 1717 roku naznaczył.

Wieść o koronacyi ściągnęła na Jasną Górę zastępy pobożnych pielgrzymów ze wszystkich stron kraju; liczba ich była tak wielką, iż w samej świątyni Jasnogórskiej przystąpiło do Stołu Pańskiego 150,000 osób, nie licząc tych, którzy z powodu wielkiego natłoku i ścisku w innych kościołach Częstochowy się komunikowali. Oprócz biskupa-koronatora zjechało wielu innych biskupów i dostojników Kościoła, wielu dygnitarzy, wielu wojewodów z Korony, Litwy i zagranicy. Samych kapłanów świeckich z górą 500, a łącznie z zakonnymi do 800 liczono. W wigilię dnia koronacyi, nadesłane z Rzymu korony, na bogatych wezgłowiach w poszóstnej, w kształcie tronu urządzonej karecie, wieźli dwaj dostojnicy Kościoła, za nimi w podobnejże karecie jechał biskup-koronator i przyjęty u podwoi Swiątyni, odprowadził korony do kaplicy Oblubieńca Niepokalanej Dziewicy, Swiętego Józefa. Z brzaskiem dnia 8 września huk dział wałowych zwiastował ludowi dzień wielki, dzień uwieńczenia Wizerunku ziemi i niebios Królowej. Obraz Matki Bożej na tronie pod baldachimem przyniesiono w procesyi z kaplicy do wielkiej świątyni i umieszczono Go w wielkim ołtarzu, wspaniale przybranym. Biskup-koronator zasiadł na swym tronie, otoczony wysokimi dygnitarzami, i wtenczas całe zgromadzenie Ojców Paulinów, jako sług

Maryi, którym skarb drogocenny do strzeżenia jest powierzony, na czele mając swego jenerała, zbliżyło się procesyonalnie do koronatora i zaniosło prośbę o uwieńczenie koroną słynącego łaskami Wizerunku. Koronator zalecił ogłoszenie upoważniających do koronacyi dokumentów, po których odczytaniu udano się procesyonalnie po korony do kaplicy Swiętego Jozefa i przy uroczystym śpiewie „Magnificat“ przed ołtarz przyniesiono. Tu biskup-koronator przy stosownych modłach i po poświęceniu koron, uwieńczył Głowy Wizerunku Dzieciątka Jezus i Niepokalanej Dziewicy. W chwili, kiedy tego dopełnił, dwieście dział na wałach twierdzy rozstawionych i odgłos wszystkich dzwonów tę nowinę wiernym zwiastowało, których nietylko obszerne mury świątyni, ale nawet i całe wokoło wzgórze objąć nie mogło i którzy na on znak, korząc się przed Majestatem Ukoronowanej Maryi, oddali Jej hołd czci, uwielbienia, radości i wesela. Przed uwieńczonym Obrazem w ołtarzu wielkiego kościoła biskup koronujący odprawił pontyfikalnie sumę, kazanie wygłosił zaś przybyły z Warszawy kaznodzieja królewski, ks. Andrzej Karsznicki. Nieszpory także celebrował biskup-koronator, na których kazanie głosił o czci i uwelbieniu Maryi przybyły z Krakowa kaznodzieja, ks. Srebrnicki. Po nieszporach sam koronator zdjął z ołtarza Obraz Cudowny, dwiema koronami ozdobiony, umieścił na wspaniałym przenośnym tronie, i takowy pod baldachimem w procesyi przy śpiewie dziękczynnego hymnu „Te Deum“ sześciu dostojników w mitrach poniosło do kaplicy, gdzie go umieszczono na swem właściwem w ołtarzu miejscu, udzielono wreszcie ludowi wewnątrz i zewnątrz świątyni Błogosławieństwa Apostolskiego.

Tak wspaniałe nabożeństwo trwało przez dni dziewięć, dniem w kościele, a gdy cienie nocy nie dozwalały czcić Maryi w świątyni, lud pobożny pod niebem, na wzgórzu, nie przestawał śpiewać i czcić Maryi podczas całych nocy; tysiącom serc, pałającym miłością ku Matce miłosierdzia, akompaniowały tysiące gwiazd prześlicznie świecących.

Wspomnieć tu należy i o szczodrobliwości praojców naszych, którzy złote korony, przysłane z Rzymu, przyozdobili drogocennymi brylantami, skarbiec zaś Jasnogórski dostarczył drogich kamieni i pereł. Tymi to brat zakonny, Makary Szypowski, biegły w sztuce jubilerskiej i złotniczej, z wielką umiejętnością wyhaftował trzy sukienki. Pierwsza na aksamicie granatowym, wyszyta dyamentami, druga na aksamicie zielonym, haftowana perłami i innymi kamieniami, trzecia na aksamicie błękitnym, jaśniejąca rubinami. Sukienki te przeszyto w roku 1843 na tło nowe aksamitne, a mianowicie: pierwszą na tło karmazynowe, drugą na błękitne, a trzecią na tło zielone. Na tej ostatniej lśnią, prócz innych, trzy rzadkiej wielkości i ceny perły, z których jedna wyraża twarz, druga serce, a trzecia jaje. Są one do dziś podziwem dla zwie-

dzających, świadectwem wiary i uwielbienia Maryi przez nasze matki; tak, iż o niejednej z tych świętych niewiast powtórzyćby można to, co wyrzekł Andrzej Załuski, biskup krakowski, o swojej siostrze Ogińskiej, wojewodzinie trockiej: „Wszystkie swoje klejnoty, co ich tylko miała, na ołtarz Matki Bożej zawiesić kazała“.

W roku 1782 przypadła 400-setna rocznica sprowadzenia Cudownego obrazu na Jasną Górę. Ojcowie Paulini wyjednali u Piusa VI, Papieża, bullę, nadającą odpust zupełny wszystkim, w dniu 8 września tegoż 1782 roku i przez całą oktawę uroczystości Narodzenia Maryi, świątynię Jasnogórską nawiedzającym i warunków przepisanych dopełniającym, tudzież Błogosławieństwo Apostolskie. Na tę uroczystość przybyło trzech biskupów: Łucki — ks. Turski, Chełmski — Garnisz i sufragan Kozierowski. Pierwszy z nich rozpoczął nabożeństwo i celebrował w sam dzień Narodzenia Maryi, ostatni zaś zakończył takowe i udzielił obecnym Błogosławieństwa Apostolskiego przy modłach dziękczynnych i salwie dział. Choć i na tę uroczystość zebrało się wiele ludu i duchowieństwa, jednak był to tylko słaby odcień uroczystości koronacyjnej w roku 1717 odbytej.

Rok 1817 stanowi pierwszą stuletnią rocznicę ukoronowania Obrazu Matki Bożej, Pius VII, Papież, po długich latach smutnego tułactwa, wróciwszy do Rzymu, z wielką pociechą serca udzielił wiernym na tę uroczystość odpustu zupełnego jubileuszowego i Swojego Ojcowskiego i Apostolskiego Błogosławieństwa. Od Podgórza, Szląska, Moraw, Czech, od Kujaw, Mazowsza, Podlasia, z Lubelskiej i Sandomierskiej ziemi ciągnęły długie zastępy pobożnych pątników. Na dwa dni przed uroczystością przybył i Pasterz dyecezyi krakowskiej, biskup Woronicz, który rozpoczął uroczystość w dniu 7 września 1817 roku od pierwszych nieszporów, przy dźwięku muzyki i śpiewów, odgłosie dzwonów i salwie z moździerzy. Niebiosa, jakby współzawodnicząc z ziemianami o pierwszeństwo w wychwalaniu Matki Najświętszej, słały dniem i nocą prześliczną pogodę, a szczególnie wieczorem cudowny przedstawiał się widok: tysiące gwiazd złociły błękit nieba, a na ziemi światłem tysiąca lamp jaśniała wieżyca, kaplica, kościół i bramy; w górze widniał Obraz i Imię: „Marya“, z napisem: „Błogosławioną Mię zwać będą wszystkie narody“.

Pięćsetna rocznica sprowadzenia Obrazu na Jasną Górę obchodzoną była w roku 1882. Ojcowie Paulini, o ile ich siły i środki na to pozwoliły, postarali się z godną Maryi wspaniałością odbyć tę uroczystość, na którą przez nich zaproszony ówczesny biskup Kujawsko-Kaliski a dzisiejszy Arcybiskup i Metropolita Warszawski, ks. Wincenty Chościak Popiel przybył z całą Kapitułą Wrocławską. Tysiące ludu wiernego, mając na czele swych pasterzy parafialnych, pośpieszyło ku Jasnej

Górze; dwoma traktami od Gidel i Przyrowa, szły jakby dwie armie, zastępy pobożnych pątników z pobożną pieśnią na ustach, do Niebios Królowej. Ojcowie Paulini, choć bezustanku wprowadzali kompanie w podwoje klasztorne, to jednak niejednemu z kapłanów ze swą kompanią wypadło czekać aż do ciemnej nocy. Całe uroczyste nabożeństwo prowadził dzisiejszy Arcybiskup Jego Ekselencya ks. Wincenty Chościak Popiel, w asystencyi Prześwietnej Kapituły Wrocławskiej i przeszło 400-tu kapłanów. Choć w czasie nabożeństwa nie było tej pompy i okazałości, jakiemi się odznaczały dawniejsze uroczystości, to jednak tuszyć sobie możemy, że nie mniej mile przyjęła od nas ta Matka Najświętsza ów hołd, w porównaniu z dawnymi ubogi, bo patrzyła nie na czyny zewnętrzne, ale na intencyą i gorącość serca. Spiewy i modły nie ustawały dniem i nocą, tysiące wiernych dostąpiło Sakramentu Bierzmowania, tysiące kapłani pojednali z Bogiem i Matką Jego w konfesyonale, tysiące nakarmili Ciałem Najświętszem. Pątnicy tego ostatniego jubileuszu rzeczywiście przedstawiali ową rzeszę, chodzącą za Panem Jezusem, która przez trzy dni słuchała słów Jego, nic nie jedząc, ani pijąc i głodu nie czując. Niejeden z nich, bawiąc przez trzy dni na nabożeństwie jubileuszowym, karmił się tylko Słowem Bożem i napawał Obliczem Matki Najświętszej, nie dawał posiłku ciału, gdyż dla wielkiego zgromadzenia ludu w Częstochowie nawet chleba zabrakło. Jak owa rzesza, wywdzięczając się Panu Jezusowi za wszystko, co dla niej uczynił, chciała Go porwać, aby Go uczynić królem, tak pobożni pątnicy, przez wdzięczność za pracę nad ich duszami, na ręku nieśli z Jasnej Góry do karety odjeżdżającego Najdostojniejszego Pasterza, wśród okrzyków: „Wiwat, niech nam żyje! Niech mu Matka Najświętsza da najdłuższe zdrowie!“, — a widać prosili serdecznie i szczerze, skoro Najdostojniejszy Pasterz dożył w czerstwem zdrowiu złotego wieku swego kapłaństwa.

Skończył się wątek naszego nieudolnego opowiadania o Obrazie Najmilszej Matki Boskiej Częstochowskiej, użyliśmy po kilkakroć wyrazu „cudowny“, lecz nie przytoczyliśmy żadnego z cudów, doznanych przez ludzi od Najświętszej Matki Częstochowskiej, bo to będzie stanowiło treść dalszych artykułów „Dzwonka Częstochowskiego“, lecz czy nie wymieniając nawet cudów, samem opowiadaniem historyi tego Cudownego Obrazu nie przekonaliśmy czytelnika, że On jest cudownym? Cudem powstał, bo sama Marya kieruje ręką S-go Łukasza, gdy go tworzy, a cudem nad cudami jest Jego trwanie i przechowywanie w przeciągu blizko dwóch tysięcy lat. Runęła świątynia Salomona, nie stało Arki, której strzegło dwóch złotych cherubinów, zgasł ogień święty, choć go strzegli kapłani, z Jerozolimy nie pozostał kamień na kamieniu, ząb czasu zniszczył wszystkie dzieła sztuki i malarstwa, jakie

kiedykolwiek z ręki ludzkiej wyszły, a Obraz Cudowny nie zaginął ani pod gruzami Jerozolimy, ani stał się pastwą zajadłości Cesarzów Konstantynopolitańskich — ikonoklastów; piękność nieba, blask słońca i gwiazd i świeżość przyrody ściera się z wiekami, a Oblicze Matki Najświętszej w Cudownym Obrazie zawsze majestatyczne i nigdy niezmienne. Wizerunek Boga-Rodzicielki z Dzieciątkiem przechodzi z rąk do rąk, od narodu do narodu: posiadają Go najpierw Żydzi, należy później do Greków, jest naszym skarbem już szóste stulecie, a każdy z tych narodów czci i Wielbi Matkę ukochaną w Cudownym Obrazie, spełniając jej proroctwo o Samej Sobie, wyrażone w hymnie „Magnificat“ słowy: „I odtąd błogosławioną zwać mię będą wszystkie narody“. Cudowny jest więc S-ty Wizerunek, iż trwa nieustannie, i to stanowi cud potęgi Bożej i Matki Najświętszej.

Prawda, że niema domu, w którymby nie było Twojego Wizerunku, Matko Boska Częstochowska, prawda, że częste są domostwa, w których płonie lampka przed Twoim Obrazem, ale daj nam dożyć tej chwili, by serce każdego z nas było lampką płonącą ogniem miłości Boga i braci bez najmniejszego zgrzytu, kłótni i niezgody, bądź nam hasłem i przewodem, Gwiazdo śliczna, wspaniała, Częstochowska Maryo, boć tylko do ciebie się uciekamy, o, Maryo, Maryo!



Żywot Świętego Pawła,

pierwszego pustelnika.

Swięty Paweł pustelnik, urodzony z bogatych rodziców w niższej Tebaidzie, około roku 137, nie miał licznej rodziny, gdyż oprócz jedynej siostry nikogo więcej na świecie nie posiadał, a kiedy na horyzoncie Kościoła Swiętego wszczęła się straszna burza prześladowania za cesarzów Decyusza i Waleryana, zamiast w siostrze i jej mężu znaleźć opiekę i ratunek, ujrzał w nich większych od pogan prześladowców, gdyż ci z chciwości zawładnięcia cząstką jego majątku, wiedząc o zakątku wiejskim, w którym się ukrywał, chcieli go wydać w ręce pogan. Zawiódłszy się na sercach tych, których najgoręcej miłował, całą nadzieję złożył w Bogu, który wyrzekł jeszcze w starym Testamencie do ludzi: „Choćby o was rodzona matka zapomniała, Ja o was pamiętać będę". Tą obietnicą wsparty w dwudziestym trzecim roku życia swojego opuszcza strony rodzinne, wyrzeka się świata, a chcąc być zdala nawet od jego gwaru, udaje się na puszczę. I nie zawiódł się w Opatrzności Boskiej. Zdradą bratnią z domu rodzicielskiego wypędzony wzamian za to od Opatrzności Boskiej otrzymuje w głębi puszczy domek w skale wykuty, czyli jaskinię, zamykającą się zamiast drzwi wielkim kamieniem; nad jaskinią prześliczne drzewo palmowe, tuż mały strumyczek z wodą źródlaną, stawem, zakątek tak piękny, choć ubogi, że go słusznie Edenem nazwać można. Znalazłszy to ustronie, Swięty Paweł zrozumiał, że go tutaj przyprowadziła ręka Boża i tu zamieszkać postanowił, a gdy się namyślał, jakby bez pomocy ludzkiej mógł wyżyć i znaleźć odzienie, ujrzał obok drzewa palmowego wiele owoców i tak sobie powiedział: „Poprzestanę na tym pokarmie: wszak ci nie samym chlebem żyje człowiek. Czego mi brakować będzie do posiłku cielesnego, to mi wynagrodzi posiłek duchowy, na którym mi tu zbywać nie może. A oto,



OBRAZ ŚWIĘTEGO PAWŁA PUSTELNIKA W KOŚCIELE JASNOGÓRSKIM.

mówił sobie dalej, i wodę dla ochłody dał mi Pan Bóg; jeśli zaś pożyję tak długo, że aż mi się odzienie, które mam teraz, zedrze, uplotę inne z liścia palmowego. Niech więc już tu położę głowę moją.“ I uklęknąwszy, w te słowa modlić się zaczął:—Boże Elijasza i Jana Chrzciciela, pierwszych życia pustelniczego mistrzów, bądź przy mnie i przyjmij mnie sierotę w obronę Twoją. Uczyń mnie z Aniołami Twoimi uczestnikiem chwały Twojej tu na ziemi, w duchu czystym i niepokalanem ciele; straży Twojej i skrzydła opieki Twojej nie oddalaj odemnie, Amen.“ Tą modlitwą pokrzepiony, postanowił aż do śmierci żyć w jaskini na ciągłych modlitwach. Jakie tam prowadził życie, jakie ćwiczenia pobożne, jakie modlitwy i rozmowy niebieskie, nikt o tem, mówi Swięty Hieronim, wiedzieć nie może, dzień dopiero Sądu Ostatecznego wszystko nam to objawi. Lecz i dziś z przedziwnych cudów Opatrzności, jakimi Bóg sługę swego na puszczy obdarzał, wnosić możemy, iż życie Swiętego Pawła pustelnika na puszczy było odtworzeniem onego pięknego życia, jakie pierwsi nasi rodzice w raju w stanie łaski pędzili i jakieby wiedli wszyscy ludzie, gdyby nie grzech pierwszych naszych rodziców, bo z zapłaty o służbie wnosić należy. Adama, będącego w stanie łaski, słuchają wszystkie stworzenia i panem go swoim uznają. Swiętemu pustelnikowi na pustyni dzikie bestye są posłuszne i różne oddają posługi. Żywi się Adam w raju bez pracy drzew owocami, karmi Bóg na pustyni Świętego Pawła owocami drzewa daktylowego, kruk mu chleb codzień przynosi. Adam przed grzechem nie zna choroby i boleści — Swięty pustelnik dożył na puszczy wieku lat 113 w najczerstwiejszem zdrowiu. Tak mógł zapłacić Bóg tylko temu, który przez całe życie pozostawał w najdoskonalszym stanie łaski. Życiem więc swojem Swięty Paweł przywrócił człowiekowi tytuł pana stworzeń, który mu przez grzech był odebrany. Przy opiece Bożej nie martwił się Swięty pustelnik, co będzie jadł, lub czem się odziewał i gdzie nachyli głowę swoją, lub któż go po świętem życiu, trwającem lat 113, ułoży do mogiły, kto zamknie jego oczy na sen wieczności, skoro wokół jego jaskini oprócz dzikich zwierząt, nikogo z ludzi niema? I o tem pomyślał Ojciec Niebieski, gdy bowiem zbliżała się ostatnia godzina Świętego męża, zesłał mu brata, zrodzonego nie ze krwi, ale z woli Bożej, który mu oddał ostatnią posługę.

Równocześnie ze Swiętym Pawłem, w drugiej puszczy żył mąż Swiętobliwy imieniem Antoni, z którym wielu braci wraz życie pustelnicze prowadziło. Gdy już długie lata służył Bogu na pustyni, napadły go pokusy pychy, wśród których bezustanku prześladowała go myśl, iż niema męża doskonalszego przed Bogiem nad niego, bo on pierwszy opuścił świat, a ukochał samotność pustyni dla Boga. Gdy pewnej nocy pokusa trapiła Antoniego silniej, niż poprzednio, a on, by ją zwycię-

żyć, modlił się gorąco i usłyszał głos z nieba: „Jest inny, doskonalszy od ciebie, idź i szukaj daleko w głębi puszczy, a znajdziesz go.“ Skoro świt, Swięty Antoni opuścił swoje ustronie i udał się w drogę. Błądził dwa dni i dwie noce, a nie znalazłszy tego, kogo szukał, całą noc trzecią spędził na modlitwie, prosząc Boga, by go doprowadził do celu jego wędrówki. Wczesnym rankiem ujrzał wilczycę i udał się jej śladem; w ten sposób doszedł do jaskini, w której wnętrzu ujrzał słabe światełko. Domyślił się, że tu mieszka mąż Boży, którego poszukuje, ale, stąpnąwszy nierówno, trącił kamień. Łoskot ostrzegł mieszkańca jaskini o obecności przybysza. Swięty Paweł, bojąc się, by ktoś nie odkrył jego kryjówki i nie zakłócił mu samotności, zamknął wejście do jaskini kamieniem. Przeraził się tem Swięty Antoni, a chcąc koniecznie ujrzeć Pawła, upadł na kolana przed progiem i do południa tam klęczał, płacząc i prosząc, aby mu otworzono; przemawiał do Swiętego Pawła najsłodszemi słowy, a gdy to nie pomagało, rzekł: „Sługo Boży, Bóg, który mnie tu przysłał, objawił Ci zapewne, kto jestem i po co przybyłem. Wiem, żem nie godzien oglądać Ciebie, lecz czyż odmówisz mi tej łaski, ktorej nie odmawiasz zwierzętom? Bądź pewny, że gotów jestem umrzeć, a nie odstąpić! Będziesz więc musiał wyjść, aby mnie pochować.“ Słowa te zwyciężyły Swiętego Pawła, wyszedł do Antoniego z uśmiechem na ustach, uściskał go serdecznie, a choć się poprzednio zupełnie nie znali, zaczęli nazywać się po imieniu, bo im Bóg ich imiona w cudowny sposób objawić raczył.

Rozmowa, którą potem prowadzili, jakimż dla nas jest budującym przykładem! Nie radzili o sobie i życia swego kolejach, lecz treścią ich rozmowy były losy Kościoła Chrystusowego. Pytał Paweł, czy imię Jezusa jest już rozsławione po całym świecie, czy ustał przelew krwi chrześcijańskiej w prześladowaniach za wiarę, a dowiedziawszy się od Antoniego, iż jest tak rzeczywiście, cieszył się wielce w duchu z tego. Zapomnieli Mężowie Swięci o sobie, całą myśl ku Bogu zwrócili i zaraz za to od Opatrzności Boskiej spotkała ich zapłata, bo kruk, który przez lat 60 codziennie przynosił Swiętemu Pawłowi pół bułki chleba, w dniu tym przyniósł cały bochenek, co widząc, Paweł rzekł: „Przysłał mi Bóg gościa, przysporzył też i posiłku; proszę Cię, bracie miły, pożywaj tej strawy z weselem, a z drogi tak długiej pokrzep ciało twoje.“ Posiliwszy się chlebem, poszli do strumyka napić się wody i dzięki oddawszy Bogu, noc całą na modlitwie i śpiewie Psalmów strawili. Nazajutrz Paweł rzekł:

— „Ja umrę i aby mnie pochować, Pan Bóg cię tu przysłał.“

Usłyszawszy o tem Antoni, rzewnie płakać zaczął i prosił Boga, aby wraz z Pawłem umierał. Upomniał go za to Swięty Paweł, mówiąc, iż nie godzi się życzyć sobie samemu śmierci, a nie chcąc zasmu-

cać Swiętego Antoniego widokiem konania, prosił, aby co prędzej wrócił do swojej pustyni i przyniósł mu płaszcz Wielkiego Atanazego, Biskupa Aleksandryjskiego. Płaszcz ten Swięty Antoni, jako drogą pamiątkę, przechowywał. Gdy przybył do swego klasztoru, zapytany, gdzie tak długo bawił, głosem wielkim zawołał:

— „Biada mi, biada grzesznikowi, który imię pustelnika noszę, choć tego godny nie jestem, widziałem Elijasza, widziałem Jana na puszczy, albo raczej patrzyłem na Pawła w raju niebieskim.“

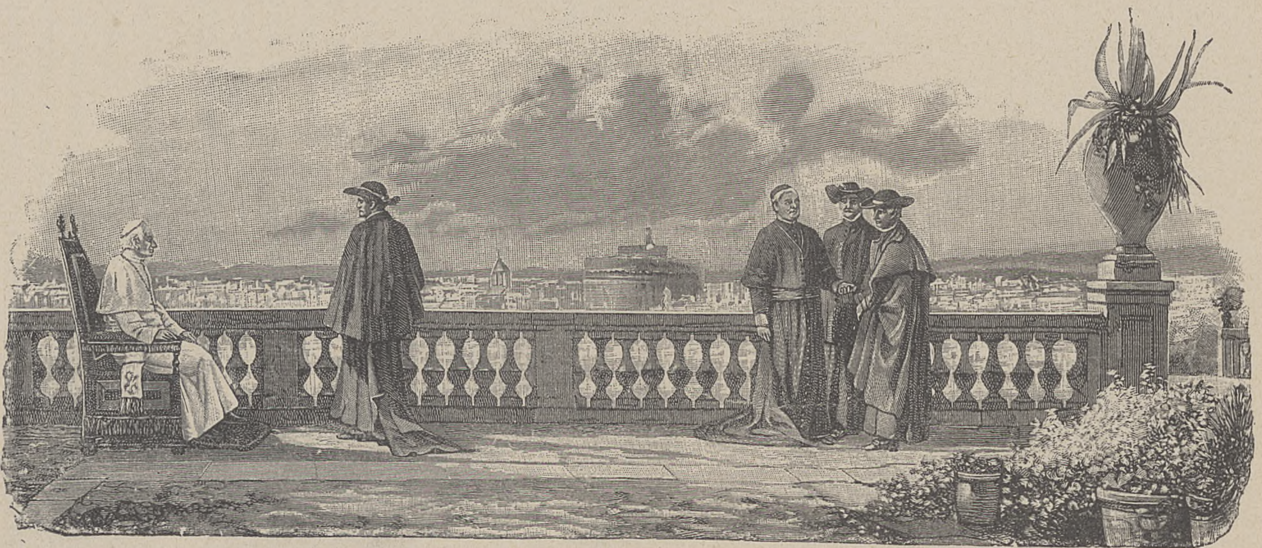
A wziąwszy płaszcz Atanazego, udał się w powrotną drogę. Lecz nie doszedł jeszcze do jaskini, gdy ujrzał duszę Pawła, idącą do Nieba wśród chóru aniołów, a przybywszy na miejsce, zastał Pawła klęczącego z rękami wzniesionemi ku niebu, ale już bez życia.

Tu znów podziwiać nam należy nowy cud Opatrzności Boskiej, bo skoro Antoni po odnowieniu modlitw i psalmów za zmarłych znalazł się w kłopocie, bo nie miał żadnego narzędzia do wyrycia mogiły, Bóg z głębi pustyni przysłał mu na pomoc dwa lwy, które łapami wykopały dół głęboki. Potem, gdy miejsce dostateczne już było do pomieszczenia ciała, przystąpiły do Antoniego, spuszczając przed nim głowy, jakby prosząc o nagrodę. Antoni pobłogosławił je i kazał im odejść, a poniósłszy ciało Swiętego Pawła i owinąwszy je w płaszcz Atanazego, pogrzebał z płaczem, zachowując sobie na pamiątkę suknię, którą Paweł uplótł był z liscia palmowego i która mu służyła przez lat bardzo wiele. Ubiór ten tak sobie Antoni wielce cenił, iż go przywdziewał na dwie wielkie uroczystości, Wielkiejnocy i Zesłania Ducha Swiętego. Swięty Paweł miał lat 113, gdy umarł, a w jaskini swej przebył lat 90. Błogosławiony zgon jego nastąpił dnia 15 stycznia Roku Pańskiego 250.

Któż zaprzeczy, mając w pamięci dopiero co opowiedziane życie Swiętego Pawła pustełnika, że czasy ówczesne do czasów dzisiejszych tak są niepodobne i tak się różnią między sobą, jak niebo od ziemi, jak dzień od nocy. Swięty Paweł opuszcza wszystko dla Boga, a ludzie dzisiejsi pożądają wszystkiego, oprócz Boga; Swięty pustelnik za szczęście sobie poczytuje rozważać w samotności tajemnice Boże, tak, że z obawy, by spokój ten nie był zakłócony, zamyka się nawet przed Swiętym Antonim — ludzie dzisiejsi pragną się nurzać w gwarze i rozkoszach świata, a przed skupieniem i samotnością uciekają, jak przed największem nieszczęściem; każdy narzeka na stargane nerwy, zmęczenie umysłu, a pomimo to skacze chętnie w wody potopu świata, choć łatwo mógłby się uleczyć życiem skupionem, piękniej nam przyświecającem w żywocie Swiętego Pawła, niż tęcza siedmiobarwna na horyzoncie po burzy. A historya Swiętego z siostrą i szwagrem, czyż nie jest odbiciem onej walki o byt, na którą dzisiaj patrzymy? Silą się umysły, skrzypią pióra uczonych, rozbrzmiewają mowy, od szumnych narad bo-

lą słuchających uszy, każdy radzi, jak nakarmić tysiące, a skutek wprost przeciwny: nędza wzrasta, coraz więcej rodzin głodem przymierających; zamiast chleba dostają biedacy nienawiść ku tym, którzy coś jeszcze posiadają. Dziś już nie zdrada tajemna, jaką knuła siostra z szwagrem przeciw Swiętemu Pawłowi, ale nieraz zbrodnia straszliwa jest środkiem do osiągnięcia chleba i grosza. O, jakże inaczej wyglądałby świat i społeczeństwo, gdyby naśladowano Swiętego Pawła pustelnika? Gdyby wszyscy z wiarą w sercu pamiętali na słowa Chrystusa: „*Szukajcie najpierw królestwa Bożego i chwały Jego, a reszta będzie wam dodana.*“ Gdyby o tem tylko królestwie przedewszystkiem myśleli, Bóg nakarmiłby wszystkich, jak Żydów na pustyni, Eliasza w podróży, jak karmił lat 90 Swiętego Pawła pustelnika. Nie chcesz może temu wierzyć, czytelniku, otóż kiedy będziesz na Jasnej Górze i ujrzysz jej bogactwo i dostatek, wiedz, że wszystko to pochodzi tylko z Opatrzności Bożej. Kruk nosił świętym pustelnikom posiłek, gdy oni tylko o Bogu myśleli, tak przez sześć wieków Bóg żywi na Jasnej Górze sługi Maryi, którzy przez całe życie na Jej służbie zostają. Miej i ty odwagę być sługą Bożym, sługą Maryi, a bądź pewny, że Cię w cudowny sposób wyżywi.





Jego Świętobliwość LEON XIII, Wielki Papież, w chwili wypoczynku na tarasie w ogrodach watykańskich.

Jego Świętobliwość Leon XIII

Wielki Papież.

Rzekł onego czasu Chrystus Pan do Piotra:

— *A ja tobie powiadam, iżeś ty jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go.*

Każde słowo Boskie jest wyrokiem niecofnionym, który spełnić się musi, jednym zaś z mnóstwa niezliczonych dowodów na to jest wyżej przytoczona obietnica, dana przez Zbawiciela Apostołowi. Spełniła się ona najściślej. Nauka Chrystusa, pomimo najsroższych prześladowań, ogarnęła i żwyciężyła cały świat. Była głoszona w warunkach najnieprzyjaźniejszych: potężni mocarze władcy Rzymu, przed którymi drżały wszystkie narody, usiłowali ją stłumić w samym zarodzie, przelewali potoki krwi jej wyznawców, dręczyli ich, skazywali na męczarnie straszliwe: a jednak próżnemi były ich usiłowania — wiara święta, Kościół przez Chrystusa zbudowany złamał ich, upokorzył, zatryumfował, a Namiestnik Zbawiciela, widoma Głowa Kościoła, w ich stolicy swoją stolicę założył.

Po zwyciężeniu pogaństwa, Kościół rzymsko-katolicki nie zaznał błogosławionego pokoju. Namiestnicy Chrystusa—Papieże wciąż musieli i muszą walczyć z szatanem, który przyjmując na siebie przeróżne postacie, usiłuje zachwiać i zrujnować Dzieło Boże. Ale wszak Zbawiciel rzekł: *bramy piekielne nie zwyciężą mego Kościoła* — nadaremnie rzucała się i rzuca na niego bezbożność. Święty nasz Kościół rzymsko-katolicki przetrwał wszystkie burze, zniósł wszystkie pognębienia, dziś stoi potężny, niewzruszony, w chwale i stać tak będzie do skończenia świata.

Nie zwyciężyły bramy piekielne Kościoła katolickiego, wiary świętej, i nigdy zachwiać jej nie zdołają, albowiem potęga jej w Bogu spoczywa. Lecz walka z pokuszeniami szatańskiemi jest niezmiernie trudna, wymaga sił niezwykłych, nie sił ludzkich, jakich potrzebują narody do zwyciężania się wzajem, lecz siły wytrwania, siły mądrości, siły cnót i czystości serca, siły żarliwości i świętobliwości. Taką siłę posiadają nasi dusz pasterze, nasi kapłani, a nadewszystko ich Głowa — Ojciec Święty, Papież, panujący w Rzymie. Jak w walkach narodów, chociaż pomiędzy rycerzami są bohaterowie, chwała zwycięstwa wodzowi przypada, tak samo w walce Kościoła z odczepieństwem, bezbożnością, ze złymi namiętnościami człowieka chwała zwycięstwa przypada wodzowi duchownemu całego chrześcijaństwa — Ojcu Świętemu. I słusznie. Rycerz może przyczynić się do tryumfu, ale wódz plan obmyśla, porządku pilnuje, kieruje wszystkiem, wszystko ma w swojej pieczy. Jeżeli tedy trudnemi i ciężkiemi są walki narodów, cóż dopiero mówić o trudach walki z szatanem; a jeżeli trudy tej walki są bezporównania cięższe, to i chwała zwycięskiemu wodzowi należy się bez porównania większa. Jakoż świat cały z podziwem patrzy na Papieży, korzy przed Nimi, hołdy Im składa, Ich imiona na złotych kartach do dziejów zapisuje. I jaśnieją te imiona, niby słońce, przykład z nich spływa na ludy, otacza je pamięć wdzięczna i uwielbienie.

Dzwonek Częstochowski pragnie się do chwały i uwielbienia tych Wodzów i Dobrodziejów świata katolickiego przyczynić, gdyż uważa to za obowiązek. Dlatego rozpoczynając pracę, zmierzającą ku szerzeniu czci Bożej i dobra katolików, dajemy czytelnikom portret i opis wspaniałego, pełnego najszczytniejszych zasług żywota Jego Świętobliwości Leona XIII, szczęśliwie panującego ludom katolickim już rok dwudziesty czwarty. Porywamy się na zadanie trudne, bo zaiste niełatwo odwzorować majestat potężny chluby Kościoła naszego, którą świat czcił przydomkiem *Wielkiego Papieża*, ale zdając sobie sprawą z trudności zadania, mamy też nadzieję, że spełnimy je bez zarzutu; powoduje nami dobra wola, odczucie obowiązku i miłość synowska, a ci przewodnicy bez błądzenia doprowadzą nas do celu.

I.

W górzystej okolicy krainy włoskiej, pomiędzy dwoma miastami, Rzymem a Neapolem, nad brzegiem rzeki Josso, leży miasteczko przyczepione do gór Lepińskich, liczące około 5,000 ludności. Zowie się to miasteczko Carpineto, było ongi warownią, lecz dziś z warowni jeno wspomnienie zostało. W miasteczku onem, od trzechset lat z górą zamieszkuje rodzina Peccich, znana z prawości, szanowana przez bliż-

szych i dalszych sąsiadów. W pierwszych dziesiątkach ubiegłego stulecia głową tej rodziny był Ludwik hrabia Pecci. Mieszkał on w starożytnem pałacu, wzniesionym przed pięciuset laty na stromym wyskoku skały, w pobliżu kościoła i plebanii. Z małżonki swojej, Anny z Prosperich, doczekał się Ludwik Pecci czterech synów: Karola, Jana, Józefa i Joachima, oraz dwóch córek: Anny Maryi i Katarzyny. Syn najmłodszy, Joachim-Wincenty-Rafael-Ludwik, urodzony 2 marca 1810 r., jest obecnie słońcem świata katolickiego, zasiada na Stolicy Apostolskiej, pod imieniem Leona XIII.

Oboje małżonkowie Pecci odznaczyli się pięknemi zaletami umysłu i serca. Byli to ludzie bogobojni, prawi, miłosierni i światli. To też mieli wielu przyjaciół i życzliwych, a do rzędu pierwszych zaliczał się biskup Fosi, ojciec chrzestny Joachima. Z cnoty miłosierdzia słynęła szczególnie Anna hrabina Pecci: w Carpineto nazywano ją *karmicielką biedaych*. Joachim zawsze z głębokiem rozrzewnieniem wspominał o rodzicach swoich; będąc już kardynałem, tak opowiadał o miłosierdziu matki swojej:

— Jaśniała ona cnotą miłości bliźniego, biedni mieli z niej najtroskliwszą opiekunkę: szyła dla nich odzież, pamiętała o nich zawsze, starała się zaspokajać wszystkie ich potrzeby, a w czasach dotkliwszej nędzy, codziennie piekła dla nich chleb i sama go rozdawała. Osobliwie miała staranie o chorych i wstydzących się żebrać; tym ostatnim tak roztropnie pomagała, żeby ich nie zawstydzić. Była duszą wszystkich dzieł dobroczynnych swego miasta. A chociaż z wielką gorliwością poświęcała się miłosierdziu, to jednak nigdy nie zaniedbywała obowiązków domowych.

Joachim wtedy wzrastał na dobrym przykładzie rodziców, pod mądrym, bogobojnym ich kierunkiem. Od dzieciństwa miał skłonność do pobożności, ale nic nie wskazywało, że obierze sobie stan duchowny. Usposobienia był żywego, płatał figle, biegał, śpiewał, na strome skały się wdrapywał, albo hasał na koniach, które bardzo lubił. Wszystko to pozwalało się domyślać, że Joachim, lat doszedłszy, obierze sobie jaki zawód świecki, tymczasem inaczej się stało. Brat Joachima, Jan, który w dzieciństwie ciągle się modlił, budował ołtarzyki, rzeźbił krzyże, dorósłszy — ożenił się, a Joachim poślubił stan kapłański. Niezbadane są drogi Opatrzności Boskiej!

Kiedy Joachim dobiegł lat ośmiu, rodzice oddali go do szkół Ojców Jezuitów w Viterbo, gdzie przez lat 6 pozostawał. Uczył się wzorowo, zdolności okazywał nadzwyczajne, a także wielką pilność, więc i postępy w naukach czynił wielkie. Ze szczególnem upodobaniem zaznajamiał się z językiem i wkrótce doszedł do tego, że nietylko nim władał biegle, lecz i wiersze w tym języku układał. Tu naprzy-

kład, gdy szkołę w Viterbo odwiedził prowincyał zakonu Ojców Jezuitów, Ojciec Wincenty Parocci, Joachim przywitał go takim wierszem.

Nauczyciele-zakonnicy szczerze pokochali Joachima za jego zdolności, pilność, pracowitość i wzorowe sprawowanie się. Gdy w r. 1821 w ciężką zapadł chorobę, otoczyli go najtroskliwszą opieką, dniem i nocą przy jego łożu czuwali. Umiejętność lekarzy i pieczołowitość zakonników uratowały Joachima; przyszedł do zdrowia, lecz nie odzyskał dawnej czerstwości i siły.

Po śmierci matki, udał się Joachim, pod opiekę stryja, do Rzymu, de tamtejszych szkół, które zaszczytnie ukończył w r. 1831. Akademia szlachecka przyznała mu bakalaureat obojga praw, t. j. odznaczenie za znajomość prawa. Nie było ono pierwsze. Zarówno u Ojców Jezuitów w Viterbo, jak i w szkołach rzymskich Joachim zdobywał nagrodę po nagrodzie. W r. 1830, kiedy, będąc uczniem akademii, odczytywał rozprawę teologiczną, religijną, przed zgromadzeniami kardynałów, jeden z tych dostojników Kościoła uściskał go i rzekł ze wzruszeniem:

— Joachimie! ciebie Bóg do wielkich przeznaczył rzeczy...

O zdolnościach Joachima, o jego pracowitości i pilności, wreszcie o zaletach jego charakteru mamy mnóstwo świadectw. Jeden z kolegów jego, z czasów pobytu u Ojców Jezuitów w Viterbo, tak o nim pisze: „Pamiętam doskonale nasze szkolne czasy. Wszyscy uwielbialiśmy Joachima, nietylko z powodu wielkich jego zdolności, ale jeszcze bardziej za jego skłonność i nieskażone obyczaje. Ubiegaliśmy się o pierwszeństwo w naukach, lecz szczerze wyznaję, że widok tego poważnego chłopca utwierdzał mnie zawsze w przekonaniu, że to najzdolniejszy i najpilniejszy uczeń. W czasie późniejszych studyów w Rzymie nie uczestniczył w żadnych rozrywkach, pogadankach lub zabawach. Biurko, przy którem pracował, było jego światem, a zadania naukowe—rajem, najmilszą zabawą. W dwunastym czy trzynastym roku życia pisał z wielką łatwością po łacinie wierszem i prozą.“

Wakacye spędzał Joachim w rodzinnem Carpineto, tam szukał wypoczynku po pracy umysłowej, tam wzmacniał siły. Wdzierał się wówczas na szczyty wysokie, jak w dzieciństwie, pędził na koniu, lub polował. Wróciwszy do domu, pisał wiersze łacińskie lub rzeźbił co, gdyż i do rzeźbiarstwa czuł upodobanie. W tym kunszcie nie osiągnął takiej doskonałości, jak w sztuce pisania wierszy, w każdym razie udawało mu się wykonać rzeczy piękne. Opowiadają, że razu pewnego, wracając podczas wakacyj z polowania w górach, wstąpił do małego kościołka, leżącego w pobliżu Carpineto. Lubił ten skromny, cichy kościołek, posiadający słynny obraz Matki Boskiej, przeto często go odwiedzał i w samotności się modlił. Wstąpiwszy zatem razu pewnego, do-

wiedział się z opowieści zakrystyana, że kościołek był wzniesiony z datków wiernych, na gruncie ofiarowanym przez rodzinę Peccich, a obraz Matki Boskiej przeniesiono z niewielkiej kaplicy, stojącej nad brzegiem poblizkiego strumienia. Joachim, pragnąc upamiętnić to zdarzenie, ociosał własną ręką wielki kamień, wyrył na nim stosowny napis łaciński i kazał go wmurować nad drzwiami owej niewielkiej kapliczki, gdzie do dziś dnia pozostaje.

II.

Z każdym dniem umysł młodego Joachima wzbogacał się światłem wiedzy, ale także z każdym dniem w sercu jego wzrastała pobożność, zaszczepiona przez nieboszczkę matkę. Bo pamięć zmarłej matki nie opuszczała go ani na chwilę, i teraz również, jako Namiestnik Chrystusa, jako Wielki Papież, grób jej czcią najwyższą otacza. Pięknie o tej miłości synowskiej pisze ks. Walenty Załuski, w książce pod tytułem: „Papież Leon XIII,“ wydanej na pamiątkę dyamentowego jubileuszu kapłaństwa Ojca Świętego. Czytamy tam: „Tak Ojciec Święty ukochał swą matkę, która w r. 1823 zmarła, błogosławiona przez Boga i przez ludzi, a której obraz odzwierciadla się nietylko w Jego oczach, ale i na całe życie zachował sie w Jego sercu, że i teraz, ilekroć przemawia do dzieci, przemawia zawsze tak serdecznie i z taką mocą uczucia maluje im, jakie to szczęście mieć dobrą, kochającą matkę i jaką miłością odpłacać należy za trudy i poświęcenia macierzyńskie, iż mimowoli przychodzi wtedy na myśl ten serdeczny stosunek, jaki panował między matką a dziećmi w świętobliwej rodzinie Peccich.“

Miłość tedy dla matki sprawiła, że posiew jej tak obfite wydał plony, iż zwrócił Joachima do ukochania stanu duchownego. Z zapałem zgłębiał potrzebne do tego nauki i w r. 1832 otrzymał najwyższe odznaczenie, jakie Kościół przyznaje słuchaczowi akademii, mianowicie: stopień doktora Ś-tej Teologii. Wkrótce pozyskał inny jeszcze stopień: doktora obojga praw. W r. 1834 dwudziestoletni Pecci odebrał niższe święcenia kapłańskie, a w r. 1837, 13 listopada, kardynał Odescalchi, generalny wikarjusz papieski, udzielił mu święceń subdyakonatu i dyakonatu w kaplicy Ś-go Stanisława Kostki (do którego Ojciec Święty od najmłodszego wieku ma nabożeństwo), znajdującej się w kościele Ś-go Andrzeja. Miał wtedy Joachim lata odpowiednie, mógł więc przyjąć święcenia kapłańskie, lecz nie śmiał o nie prosić, gdyż powaga, odpowiedzialność i świętość stanu kapłańskiego przejmowały go obawą.

Zdolności Joachima zwracały ogólną uwagę. Łaskawie patrzył na niego Papież Pius VIII, a następca jego, Papież Grzegorz XVI, idąc za radą kardynała Pacca, mianował go prezydentem młodzieży uczącej

się w akademii teologicznej i swoim prałatem domowym, chociaż Joachim nie był jeszcze kapłanem. Nareszcie w końcu r. 1837 zaczął się Pecci przygotowywać do przyjęcia święceń kapłańskich. Czynił to z wielką pokorą i skruchą, a nawet wahał się, rozważał, czyli jest godny zająć tak ważne i trudne stanowisko. Pisał wówczas do brata:

„Za kilka dni będę kapłanem. Wzniosłość tej godności a własna moja niegodność wzruszają potężnie moją duszę i im więcej ważny ten dzień się zbliża, tem więcej boję się i waham. Niechby mi Bóg, który mnie powołał do ołtarza, dodał siły i męstwa, abym mógł wstąpić na jego stopnie z pobożnością i gorliwością. Niechby mi dał łaskę potrzebną do świętej służby, abym mógł sprostać świętemu powołaniu. Pragnąłbym bardzo, ażebyś na moją intencyę zamówił Mszę Świętą, aby Duch Ś-ty z pełnością łask swoich zstąpił na mnie.“

Również z obawami swemi zwierzał się kardynałowi Sala, opiekunowi swemu i przyjacielowi ojca; do niego znów pisał po otrzymaniu święceń dyakonatu:

„Wczoraj otrzymałem święcenie dyakonatu. Radość moja trwałą z pewnością będzie i pomnoży się, kiedy dostąpię święceń kapłańskich. Dotąd krok ten wielki tylko bojaźnią mnie przejmuje, kiedy wspomnę na wzniosłość kapłaństwa, a własną moją niegodność. Proszę cię, Eminencyo, nie zapominaj o mnie, poleć mnie serdecznie Panu i innym każ mnie Bogu polecać. Zapewniam cię jak najszczerzej, że pragnę być prawdziwym kapłanem, że chciałbym Bogu służyć, okazać wielką gorliwość dla chwały Jego, ale w prawdzie i w duchu Świętego Ignacego.”

Z takiem namaszczeniem, z takiem przejęciem przystępował Joachim do odebrania wielkiej Łaski, do Sakramentu Kapłaństwa, którego mu udzielił kardynał Odescalchi 31 grudnia 1837 r. Nazajutrz, 1 stycznia 1838 r. odprawił pierwszą Mszę S-tą, w kaplicy S-go Stanisława, naszego rodaka, w Rzymie. Chwila ta na zawsze wyryła się w jego sercu. Ponieważ stosownie do jego życzenia, w Carpineto, w tamtejszym kościele S-go Piotra, gdzie spoczywają szczątki Ludwika i Anny hr. Peccich, odprawiona została wtedy Msza S-ta na jego intencyę, pisał wówczas do brata:

„Dziękuję Ci bardzo, że stosując się do mego życzenia, kazałeś odprawić Mszę S-tą na intencyę moją w dniu moich święceń kapłańskich. Wybrałeś kościół S-go Piotra i ołtarz Matki Boski Bolesnej, a wybór nie mógł lepiej wypaść. Ten kościół, gdzie spoczywają kości naszych przodków i najlepszego ojca naszego, jakichże nie wzbudza myśli we mnie, zwłaszcza gdy mi się przypomina w tej chwili, kiedy się zbliżam do strasznej Ofiary ołtarza. Wartość nieskończona tej Ofiary niech ich uwolni z więzów, które im opóźniają wstęp do Chwały i niech im udzieli światła, ochłody, spookju. A Matka Bolesna niech

będzie ich Pośredniczką, a niezmierna spazmu i boleści, jakie pod krzyżem przecierpiała, niech im zmniejszą i osłodzą cierpienia, kary, które te błogosławione dusze mają jeszcze do przecierpienia. Niech się tak stanie!"

Niebawem po wyświęceniu, ks. prałat Pecci został mianowany przez Papieża Grzegorza XVI delegatem apostolskim, to jest namiestnikiem w mieście Benewencie. Jako namiestnik tego miasta, zarządzał dwiema prowincyami: Spoleto i Perugią. Było to zadanie bardzo trudne, gdyż zarówno w samem mieście Benewencie, jak i w obydwóch prowincyach, pełno się włóczyło band rozbójniczych, które straszliwie ciemiężyły mieszkańców. Młody namiestnik zabrał się do nich energicznie i działał tak pozornie, że w krótkim czasie wszystkich opryszków schwytał i oddał w ręce sprawiedliwości. Uszczęśliwieni mieszkańcy słów nie mieli dla wyrażenia mu wdzięczności swojej; mówili o nim z zachwytem, nazywali łaską Bożą, wybawicielem. Papież Grzegorz XVI, widząc tak jawne dowody zdolności prałata Pecciego, obdarzył go godnością arcybiskupa Damietty, a jednocześnie mianował nuncyuszem, to jest posłem i pełnomocnikiem swoim w Belgii. Mieszkańcy Carpineto wielce się uradowali, bo to przecież i na nich cząstka zaszczytu spadła. Jeden z poetów, w tem mieście zamieszkały, w uniesieniu radości, napisał wiersz na cześć nowomianowanego arcybiskupa, w którym powiedział: „Już dziś czytam w wyrokach Nieba, że Cię czeka stolica Apostolska." Były to słowa prorocze.

W Belgii, jako nuncyusz, tylko dwa lata arcybiskup Pecci bawił, ale czas tak krótki wystarczył mu do zjednania serc i czci ludzkiej. Po upływie tego czasu otrzymał biskupstwo Perugii, na prośbę tamtejszych mieszkańców, a zasiadłszy na stolicy 26 lipca 1646 r. przez lat 30 na niej pozostawał, pracując niezmiernie gorliwie, świadcząc dyecezyanom liczne dobrodziejstwa. Słowem i czynem rozsiewał pomiędzy nimi ziarna wiary, pobożności i cnót wszelkich: pisywał natchnione Duchem Bożym listy pasterskie, zakładał stowarzyszenia pobożne, schroniska dla sierot i grzesznie pokutujących, banki miłosierne. Perugianie do dziś z uwielbieniem wspominają swego dobrodzieja.

Dnia 19 grudnia 1853 r., następca Grzegorza XVI, Papież Pius IX obdarzył arcybiskupa Pecciego godnościa kardynała-kapłana tytułu S-go Chryzogona, w r. 1877 wezwał go do Rzymu na stanowisko kamerlinga Kościoła rzymsko-katolickiego, to jest na stanowisko kardynała, który po śmierci Papieża sprawuje rządy Kościoła, dopóki nowy Papież nie zostanie wybrany. Na tem stanowisku pozostawał niespełna sześć miesięcy. Dnia 7 lutego 1878 r. Bóg powołał do Chwały Swojej Papieża Piusa IX, a w 13 dni potem kardynałowie z rzadką jednomyślnością powołali kardynała Pecciego na Stolicę Apostolską. Koronacya nowego Na-

miestnika Chrystusa, Leona XIII, bo takie imię przybrał Ojciec Swięty, odbyła się w kaplicy Sykstyńskiej, a 21 kwietnia Jego Swiętobliwość ogłosił pierwszą encyklikę, to jest — pierwszą odezwę do biskupów.

III.

W niezmiernie ciężkich warunkach objął Wybraniec Boży rządy Kościoła. Za Piusa IX Włochy ogarnęła rewolucya, szatan popchnął oszalały lud do targnięcia się na święte prawa Kościoła — rząd włoski zagarnął Rzym i całe państwo Kościelne, będące od wieków niezaprzeczalną własnością Kościoła i Namiestników Chrystusa. Pius IX był zmuszony zamknąć się w obrębie pałaców papieskich, w obrębie Watykanu, gdyż te tylko rewolucyoniści mu zostawili. Po za granicą pałaców ukazywać się nie mógł, bezbożność bowiem do szpiku kości przeniknęła Włochów, wychylając się tedy z Watykanu, narażał się nietylko na dotkliwe nieprzyjemności, ale nawet na śmierć. Leon XIII również dla tych powodów Watykanu opuszczać nie może—jest więźniem w swojem własnem państwie, wśród własnego ludu. Wszystkie obrzędy uroczyste z tej przyczyny odbywać się muszą w murach Watykanu.

Mimo takich trudności, Ojciec Swięty Leon XIII rządy sprawuje z nadzwyczajną przezornością, mądrością i roztropnością. Ze wszystkich stron, za Jego panowania, godziły i godzą w nasz Kościół Swięty gromy, a oto Dzieło Boże dziś otoczone jest świetniejszą, niż kiedykolwiek chwałą. Jego Opiekun, Jego Tarcza i Kierownik pozyskał u całego świata przydomek *Wielkiego*. Już to samo mówi o potężnej pracy, o zasługach nad zasługi Ojca Swięiego. Żeby zasługi te wymienić szczegółowo ksiąg na to całych trzeba, my opowiemy je pokrótce, według *Przewodnika Katolickiego*, który w ten sposób mówi o wiekopomnem panowaniu Jego Swiętobliwości Leona XIII:

W listach swoich i wezwaniach poruszył Leon XIII dotychczas już wszystkie najważniejsze sprawy, jakie od lat wielu zajmują umysły najdzielniejsze, a pisał o nich po mistrzowsku, wyczerpująco, głęboko i w sposób tak jasny, jak nikt przed Nim. Czy klątwę rzuca na zbrodnicze sekciarstwo masońskie; czy wylicza przymioty Najświętszej Panny Maryi; czy chrześcijańskiej filozofii uczy; czy stosunek robotnika i pracodawcy rozważa; czy się do rządów i polityków zwraca; czy do biskupów i misyonarzy; czy wreszcie do redaktorów i gazet, wszystko co mówi i pisze jest arcydziełem. Nauka i oświata zawdzięczają Mu więcej, niż komukolwiek w tym wieku. Biblioteki i archiwa (zbiory dawnych akt) otworzył dla badaczy, przez co studya historyczne olbrzymi krok naprzód uczyniły; gwiaździarnia watykańska stała się pod Je-

go rządami najsławniejszą ze wszystkich; uniwersytet gregoryański podniósł się przez Niego niesłychanie; przy zakładaniu uniwersytetów katolickich we Fryburgu w Szwajcaryi i w Waszyngtonie w Ameryce był czynny; na poszukiwanie starożytnych pamiątek rzymskich w katakumbach i wykopaliskach wydał już setki tysięcy. Gazety katolickie są przedmiotem nieustannej Jego troski i opieki. Sam mówi i pisze tak pięknie, jak najsławniejsi mistrzowie dawnych czasów, a z taką siłą, z taką głębokością myśli, jak wielcy Ojcowie Kościoła.

Wielkim jest Leon XIII na Stolicy Swojej, chociaż starano się mu wydrzeć broń i berło. Tron Jego jest tylko cieniem tego, czem był przed wiekami, Stolica, gwałtem i przemocą mu wydarta, stała się siedliskiem nędzy i głodu — a jednak państwa i rządy widzą w Nim prawowitego monarchę, utrzymują przy Stolicy Jego swoich zastępców i posłów. Belgia, Niemcy i Rosya zawarły już od lat kilku przerwane dawniej ze Stolicą S-tą stosunki. Wrogi rząd francuski chciał odwołać posła swego i zastąpić osobistością Ojcu S-mu mniej miłą; odstąpił jednak od tego zamiaru jedynie przez wzgląd na osobę Papieża. Książę Bismark nadawał Mu tytuł monarszy; cesarz Wilhelm wyraził Mu przez osobistą wizytę głębokie uszanowanie; cesarz austryacki, Franciszek Józef, nie chcąc obrazić Ojca Ś-go, nie oddaje dworowi włoskiemu wizyty, którą odebrał przed siedemnastu laty; król portugalski z tego samego powodu nie odwiedza krewnych swoich w Rzymie, bo chce dać poznać, że Rzym do Papieża, a nie do kogo innego należy; sułtan turecki okazuje przy każdej sposobności Ojcu S-mu uwielbienie, a królowa hiszpańska publicznie powiedziała, że należy oddać Ojcu S-mu Jego własność — Państwo Kościelne z Rzymem. Co więcej, zastępcy Ojca S-go i Jego wysłańcy wszędzie odbierają dowody czci dla swego Mocodawcy.

Wielkim jest Leon XIII, jako następca Apostołów. Ileż on misyj pozakładał we wszystkich częściach świata! Ileż milionów już wydał na szerzenie wiary, na zakładanie szkół i kościołów pomiędzy ludami dzikimi. Połączenie kościołów rozmaitych wyznań, pod „laską jednego pasterza i jednej owczarni“, jest przedmiotem najgorętszych zabiegów, jest Jego gorącem życzeniem.

Wielkim jest Papież Leon XIII jako Ojciec ludu katolickiego. Gwałtownicy zabrali Mu wszystko, co zabrać było można: fundusze kościelne, zakonne, szpitalne, a dzisiaj niesłychane podatki wydzierają ludności resztę mienia. Lud w nędzy swojej zwraca się do Ojca Ś-go, a On prawdziwie cuda czyni, jako jałmużnik. Trzy i ćwierć miliona franków ofiarowano Piusowi IX po wydarciu mu Rzymu, lecz on odrzucił świętokradzką ofiarę. Leon XIII także nie przyjął jeszcze ani grosza od tych, którzy go ograbili, nie ma dochodów stałych, a miliony już rozdał jałmużny z tego, co sam w postaci jałmużny od wiernych

odbiera. Oprócz świętopietrza nie ma Ojciec S-ty nic więcej, ale za to posiada serca wiernych całego świata, którzy na Niego patrzą z uwielbieniem i miłością.

Do słów tych należy dodać, że za panowania Leona XIII Kościół rzymsko-katolicki zyskał na znaczeniu i powadze nawet u narodów innych wyznań, liczba wiernych wzrasta w najodleglejszych krańcach świata, rozwija się pobożność i cnoty chrześcijańskie. Ojciec S-ty na wszystko baczy, na wszystko zwraca oko, osobliwie zaś troska się o młode pokolenia, pobierające naukę w szkołach i o tych, którym ciężko pracować przypadło.

Jak nietylko wierni katolicy, ale nawet narody innych wyznań, nawet poganie uwielbiają, czczą i miłują Ojca Ś-go—dowodem tego wymownym była uroczystość dyamentowego jubileuszu, to jest obchód sześćdziesięciolecia kapłaństwa i sześćdziesiątej rocznicy pierwszej Mszy Ojca S-go, obchodzony w Rzymie 1 stycznia 1898 r. Świat cały uczestniczył w tych uroczystościach, składał hołdy i dary bogate. Ze wszystkich stron płynęły do Rzymu pielgrzymki a była pomiędzy nimi kompania i Polaków, złożona z 350 osób, która pod stopy Namiestnika Chrystusa od całego narodu złożyła hołd i wyrazy synowskiego przywiązania.

Rzadki to wypadek w dziejach Kościoła. Przed Leonem XIII było 262 Papieży a tylko 11 doczekało dwudziestolecia swoich rządów. Leon XIII jest dwunastym, a zarazem pierwszym z Papieży, który na tronie papieskim obchodził sześćdziesiąta rocznicę kapłaństwa.

IV.

Dziewięćdziesiąt lat przekroczy Ojciec S-ty, wieku takiego rzadko kto dobiega, a jeżeli dobiegnie, to zawsze w stanie już zniedołężnienia. Inaczej z Jego Świętobliwością Leonem XIII. Zgrzybiałość wprawdzie znać w Jego postaci, twarz ma bladą, pomarszczoną, ale oko pełne ognia i żywości, głos wyraźny, stąpa raźnie. Wszystko to znamionuje czerstwość ducha, jędrność umysłu. Istotnie—zdumiewać się trzeba, skąd Ojciec Ś-ty czerpie owe siły duchowe, ową rześkość władz umysłowych, która mu pozwala pamiętać o wszystkiem, pracować po nocach, spełniać obowiązki duchowe, przyjmować tysiące kompanij, poselstw, słowem pracować za dziesięciu z dziarskością młodzieńczą. Snać Bóg Łaskę Swoją spuszcza na Swego Wybrańca. Posłuchajmy, co opowiada ksiądz Waal, szambelen Papieża, o trybie domowym życia Jego Świętobliwości:

„Ojciec S-ty wstaje zawsze rano, chociaż często do późnej nocy pracuje. Raz nawet zastano Go o szóstej rano śpiącego w ubraniu przy biurku; lampa się jeszcze paliła. Raz znowu, w Wielką Srodę, praco-

wał do szóstej rano, potem na pół godziny położył się w ubraniu, a następnie odprawił całe Wielkoczwartkowe nabożeństwo.

O wpół do ósmej, co dzień, miewa Mszę Ś-tą, w małej kapliczce, do której tylko najbliżsi i służba mają przystęp, co niedzielę zaś w większej kaplicy; wtedy drzwi otwierają się do przyległej sali, w której znajduje się najwięcej około 25 osób; te przyjmują Komunię S-tą z rąk Papieża.

Pozwolenia wstępu na Mszę rozdają się oględnie osobom znanym nietylko z prawości charakteru, ale i zasad szczerze chrześcijańskich. Wszakże gdyby do kaplicy dostał się niedowiarek, zatwardziałość jego byłaby skruszoną w czasie modłów Namiestnika Chrystusa. Ojciec Ś-ty odprawia Mszę długo, z wielkiem namaszczeniem i przejęciem się. Jego cichy, łagodny głos, ruchy ociężałe, nieco drżące, przypominają, że dziewięć z górą dziesiątków lat liczy. Trzech prałatów nieustannie mu pomaga. Odprawiwszy Mszę Ś-tą, również z przejęciem słucha drugiej, odprawianej przez jednego z kardynałów, na intencyę rodziny Pecci; następnie, zasiadłszy w fotelu, tuż przy stopniach ołtarza błogosławi kolejno obecnych w kaplicy, przytem każdy usłyszy miłe słowo. Jest wtedy serdeczny, uprzejmy, z ust Jego płyną wyrazy poważne, lecz za serce chwytające.

Posłuchań udzielać nie lubi, bo Mu to drogi czas zabiera, ale skoro udzieli, wtenczas choćby i 200 osób było, do każdej łaskawie zawsze coś przemowi. Pewnego razu nadeszły ważne listy z Berlina, któremi był bardzo strapiony, mimo to na posłuchaniu nikt nie poznał, jaki smutek serce jego uciska.

Od godziny 9 do 12 przysłuchuje się sprawozdaniom kardynałów, lub przyjmuje prywatne osoby, a cokolwiek usłyszy ważnego, pilnie zapisuje. Notatek ma tyle, że kiedyś staną się one bardzo ważnym i ciekawym zbiorem. Znakomitych mężów, wysokich dostojników kościelnych zawsze przyjmuje i szczegółowo wypytuje się o wszelkie stosunki.

Pamięć Ojciec Ś ty ma nadzwyczajną. Często słucha kardynałów po kilka godzin, potem sam mówić zaczyna, z największą dokładnością zdania sprzeczne porównywa i swoje w końcu wypowiada. Pracuje szybko i nieustannie, od podwładnych również wymaga pośpiechu. Ksiądz Waal miał dokonać tłómaczenia długiej mowy księcia Bismarka. Zabrał się do pracy, siedział noc całą, pijąc czarną kawę i paląc mocne cygara, aby sen odpędzić, a gdy przyszydł i pracę przyniósł. Ojciec Ś-ty rzekł:

— „Nareszcie przychodzicie!“

Dla siebie Ojciec S-ty potrzebuje bardzo mało. Wyznaczył na utrzymanie dziennie 5 franków, a tak mało jada, że kucharz oświadczył:

— „Dla Jego Swiętobliwości niewarto gotować,“

Przy obiedzie pije tylko kieliszek starego czerwonego wina. Pewnego razu zalecił mu arcybiskup Granu tokajskie wino na wzmocnienie i przysłał go całą pakę. Wino było przedziwne, lecz Ojciec Swięty nie wypił ani kropli — wszystko oddał dla chorych w szpitalu

— „Ja zdrów jestem — rzekł — tamci, biedacy, potrzebują wzmocnienia.“

Wydatki ma olbrzymie; często pół miliona, milion franków przeznacza na podźwignięcie kościołów w Chinach lub Indyach, gdy je prześladowanie lub wylewy rzek w gruzy zamienią. Oprócz tego utrzymanie poselstw, potrzeby różnych kościołów, szkoły, przytułki i inne wsparcia wielkie pochłaniają sumy.

Kiedy się znuży pracą, dla rozrywki zasiada do pisania łacińskich wierszy. W tej sztuce Ojciec Swięty jest również mistrzem. Poezye Jego mają rzeczywiście treść religijną, są iście Niebem natchnione. Przemawia z nich dziwna słodycz, uczucie rzewne, moc jakąś, która czytającego błogim zachwytem napawa. Znawcy wyróżniają z pomiędzy tych przepięknych utworów dwa szczególniej; są to hymny na cześć Swiętych Herkulana i Konstancyusza, biskupów-męczenników, patronów Perugii. S-ty Herkulan był patronem perugijskim przed wiekami, kiedy barbarzyńscy Gotowie pod wodzą Totylii oblegli miasto. Totyla, zdobywszy miasto zdradą, kazał ściąć biskupa, który podtrzymywał obronę. To zdarzenie Ojciec S-ty uwiecznił w poezyi. O oblężeniu mówi:

„Od lodowatych krain, gdzie Gotowie osiedli, straszny nadciągnął Totyla; obronne mury i baszty Perugii, dzikiemi hordy opasał dokoła.“

Następnie Ojciec S-ty maluje trwogę i śmiertelną boleść mieszkańców, w miarę jak nieprzyjaciel coraz bardziej ściska miasto, oraz niepokonany zapał biskupa, który gorącemi słowy dźwiga upadającą odwagę. Siedm lat broniła się Perugia, w końcu zdobyto ją przez zdradę. Biskup pada ofiarą swego poświęcenia, co Ojciec S-ty tak wyraża:

„Swięta ofiara strasznego Totyli, z jego rozkazu pod miecz tępicielski błogosławioną kładzie swoją głowę, sławę swą wieńcem zwiększając męczeńskim.“

Hymn do Swiątego Konstancyusza dzieli się na dwie części; w pierwszej przedstawiona jest procesya, postępująca do grobu S-go Konstancyusza w zimie, 28 stycznia wieczorem, przy blasku pochodni. Czytamy o tem:

„Zima się sroży, a mrozy straszliwe śnieżystym góry okryły całunem, a wodnik (styczeń) deszczem z lodem pomieszanym chłoszcze zuchwale złotą głowę słońca.“

Ale ani śnieg, ani mróz, ani mgła nie powstrzymują pobożnych pielgrzymów. Noc się zbliża, lud się tłoczy, w dali, w ciemności rysują się oświetlone, jakby płonące wzgórza.

„Noc już zapadła, tłum się wzbija, ciśnie, a tam, w oddali, z pośród nocnych cieniów, niby ogniska, światłości widziadła, świecące wzgórza jaśnieją cudownie.“

Potem Ojciec Swięty opiewa walkę Swiętego Konstancyusza z pogaństwem, jego męczeństwo, w końcu poleca się opiece Swiętego, prosi, aby dopomógł łodzi Piotrowej, to jest Stolicy apostolskiej, przetrwać wszelkie burze.

Prześliczne są hymny uwielbiające Bogorodzicę, Której Ojciec Swięty jest głębokim czcicielem. W jednym z nich poucza, jak się modlić do Niepokalanej Panienki w czasie napaści pokus. Oto urywek tego wspaniałego wiersza:

„Kiedy szpony ducha—szatana jeszcze zwrócone widzisz ku sobie, wtedy w bojaźni westchnij: Mateczko! ratuj z tej kaźni! Z ufnością biegnę pod Twoją obronę, chcę żyć dla Ciebie, aby z aniołami dzielić rozkosze i radość wieczną! Ty mnie wspomagaj, błagam ze łzami, silnego wiarą drogą bezpieczną wiedź, bym nie uległ, ustrzegł się zmazy, Maryo, Panienko Przeczysta!“

*
* *

Wielki Jubileusz, który obchodzimy obecnie, a o którym czytelnik znajdzie objaśnienie szczegółowe w tym zeszycie „*Dzwonka Częstochowskiego* na innem miejscu, jest również tryumfem Ojca Swiętego, gdyż rzecz to pewna, że rozbudził silne uczucia pobożne, wzniósł serca ku Niebiosom i niewątpliwie do dobra naszego się przyczyni. Staraniem i wskutek mądrych zarządzeń Ojca S-go wypadł świetnie. Wierni katolicy powinni gorącą czuć wdzięczność dla Wielkiego Papieża — Dobroczyńcy, że ich ku Zbawieniu zbliża, powinni modlić się z zapałem, szczerością duszy całej, aby Go opatrzność w jaknajdłuższe zachowała lata. Obowiązek to święty każdego z nas, a spełnić go łatwo jest i miło, bo czy może być co słodszego nad okazanie wdzięczności za dobrodziejstwa bez miary?



Z życia pierwszych chrześcijan

według powieści „RZYM ZA NERONA“ Józefa Ignacego Kraszewskiego opracował

KSIĄDZ J. A.

My, chrześcijanie, w dzisiejszych czasach żyjący, ani się częstokroć domyślamy, ile to wycierpieli za wiarę świętą nasi przodkowie, a przedewszystkiem pierwsi chrześcijanie, w pierwszych wiekach po ukrzyżowaniu Chrystusa Pana. Niniejsze opowiadanie na prawdzie historycznej oparte, niech nam owe chwile uprzytomni, dla umocnienia nas w wytrwałości chrześcijańskiej i podniesienia ducha. Oto, co o chrześcijanach z przed dziewiętnastu wieków przechowało się w listach pewnych Rzymian.

List I,

który pisał Rzymianin Flawiusz do przyjaciela swego Kajusa.

Zabawiamy się tu wszyscy gwałtownie, a nudzimy bardzo, dlatego może, iż tylko o zabawie i rozrywkach myślimy—przoduje nam Cezar. Dokoła spotykam tylko samych znudzonych, a wyszukujących sobie napróżno coraz nowych zabawek, począwszy od ludu i niewolników, aż do niewiast i dzieci. Znasz cezara Nerona, chociarz od czasu, jak opuściłeś Rzym, wiele się w nim zmieniło i zmienia z każdą chwilą.

Nie wiesz może o ustanowieniu *Juvenaliów* i o zupełnem przeistoczeniu Cezara na poetę, aktora, muzyka, cytarzystę, wreszcie woźnicę i szermierza. Jaka ztąd sława dla Rzymu! Starzy ojcowie nasi Thrazeasz,

Rubelliusz Plautus, Memmiusz Regulus, Sylanus, Pizon patrzą na to z obrzydzeniem i milczącym smutkiem; rumienią się nawet czoła tych, co dawno rumienić się przestali, gdy Augustyanów tłum sypie oklaski Neronowi... Za przykładem pana młodzież, starcy, niewiasty zmieniają się w szermierzy i śpiewaków. Znajdziesz woźniców między senatorami i gladyatorki wśród matron rzymskich, gdy między tymi, co za filozofów i cnotliwych uchodzą, trudno znaleść jednego, coby prawdę mówił, jak Thrazeasz. Seneka wszystko tłómaczy i uniewinnia; mówią, że dla przypodobania się Cezarowi, zaczął wiersze pisać i gotów w komicznej roli wystąpić w teatrze. Na to ustanowiono *Juvenalia*, aby uświęcić tę rozpustę wszelaką i rycerstwo, a senatorów do niej pociągnąć.

Dokąd idziemy, nie wiem; ale trudno dobre wieszczyć z tego, co jest. Dużo ludzi sarka i zżyma się; lud i pretoryanie nad losem biednej Oktawii przez Nerona opuszczonej dla Poppei użalają się. Ale krnąbrnych miecz, a słabych datki pokonają.

Wszyscy zgodnie źle wróżą Rzymowi z tej obyczajów rozwiązłości i bezprawia, jakie się w nim rozpowszechnia; są, co blizki przepowiadają mu upadek, choć gród rośnie, złoci swe dachy, ogromnemi budowy się pomnaża i w zbytkach wszelakich się kąpię. Zepsucie wkradło się do ognisk domowych i zmieniło matki bohaterów na zalotnice bezwstydne.

Cnota dawna Thrazeasza i Arryi tak się dziś śmieszną wydaje, jak prosty strój dawnego Rzymianina przy utrefionych włosach i malowanej twarzy gaszków palatyńskich.

Senat nie śmie myśleć o losie Rzeczypospolitej; zwołują go, by słuchał poematów Cezara, by wyrokował o ilości pieśni, w których on dzieje Rzymu ma zamknąć.

Rzadko bardzo ocknie się duch dawny w mężach, których naówczas sam Neron szanować musi; ale czyści są w mniejszości i zamilknąć w końcu muszą.

Nie rozpaczam wszakże o ludzkości, utrzymując, że bogowie dopuszczają, aby złe doszło do kresu, póki swą siłą uczuć się nie dadzą światu. Bogowie, rzekłem, aliści u nas i bogów już niema; bo któż w nich wierzy i kto się z nich nie naśmiewa? Z Azyi, Afryki, Egiptu, Jerozolimy napłynęło do nas wszelakich bogów cudzoziemskich i praktyk dziwnych, tak, że w tem mnóstwie, rzekłbyś, iż naprawdę nic niema.

Świątynie też, krom uroczystości Augustów, na które ludzie idą ze strachu, pustkami stoją; kapłani wyszli na kuglarzów.

W tem zepsuciu i zobojętnieniu powszechnem kobiety nie dały się wyprzedzić; one zawsze najszybcej idą. Wstyd mi było pisać ci, co się dzieje; a gdybym pomyślał o przystrojeniu w bluszcze i wieńce bramy domu mojego, nie wiedziałbym kędy szukać małżonki, którejby straż

domowego ołtarza powierzyć można. Zepsucie od mężów poszło, z ich przykładu i z tego tłumu próżniaczego klientów i pasożytów, który, wcisnąwszy się do domu, zgniliznę swą wniósł z sobą.

Kładę się tęskny i znudzony, wstaję niepokrzepiony snem, a ledwiem powieki otworzył, już szum słyszę u drzwi wciskających się klientów, już dobijają się żebracy z pochlebstwy, z nowinami, z prośbami, z poselstwy, których naturę ci tłómaczyćbym się wstydził. Sześciu niewolników czeka na mnie u progu z lektyką. Co robić z rankiem, jeśli się do thermów nie pójdzie? co robić ze dniem, jeśli się go połowy nie rozsieje po ulicach? Za lektyką biegną obłoceni klienci piesi, drudzy wyprzedzają w swoich noszach, aby jeśli zasłon nie spuszczę, dokuczać mi pytaniami. Idzie im o obiad lub kawałki ze stołu, innym o pieniężny datek.

W thermach, gdybyś chciał, dzień cały albo i rok cały byłoby o czem przepędzić. Sadzawki, kąpiel i łaźnia są w nich najmniejszym dodatkiem; cały maleńki światek, rzecz można w nich się zamyka. Gdyś Rzym opuszczał przed laty, nie było jeszcze thermów nad jedne Agryppy; dziś postarano się o więcej, bo znaczna część nietylko ludu, ale rycerstwa i senatorów, co własne łaźnie mają, tu przecie życie spędza.

Znajdziesz tu i Żydów z lasku Egeryi i wróżbitów z Komageny i czarowników z Chaldei, i wędrownych kapłanów różnych bogów wędrownych, które Rzym wszystkie przyjmuje gościnnie, bo się swoimi własnemi znużył.

Dostaniesz w thermach, czego zapragniesz, a często czegobyś nie chciał... Ale czas nareszcie do domu. Myślisz, żeś gdzieś po drodze podział natrętnych klientów; nie, czatują na ciebie pod portykami i ścigają aż do drzwi. Tu, jeśli ich do stołu nie dopuścisz, aby ci nie powalali poduszek na łożach (bo i zrzuciwszy obuwie wedle obyczaju, czyściejsi nie są), musisz u drzwi rozdać jałmużnę, aby się ich pozbyć nareszcie, jeżeli pozbyć się ich kiedy można, bo często nocami wartują u progu, aby ich kto z rana nie uprzedził, a że odźwierny na jęki jest głuchy, czekają na wybranych, aby za nimi przez próg się przecisnąć. Przykro jest widzieć takie upodlenie człowieka.

Wpośród tego naprzykrzonego tłumu i próżniaczej gawiedzi, gdyby nie pewien Grek Chryzop i nie młoda Sabina... nie wytrwałbym.

Widzę, jakeś się uśmiechnął, czytając wzmiankę o młodej Sabinie, lecz powstrzymaj szyderstwo, a posłuchaj, kto ona jest, abyś jej nie mieszał z temi, o których mówiłem wprzódy. Krzywdębyś jej i mnie wyrządził.

Sabina młoda jest i piękna, ale nie te przymioty stanowią jej najwyższą zaletę; piękną i młodą jest też druga Sabina Poppea, ale

w niczem do siebie nie są podobne. Dwóch takich, jak ona, niema w Rzymie.

Sabina jest mi krewną po matce; poznałem ją, ubogim jeszcze będąc, gdy często proszony do niej, dla wytartej togi mojej nie śmiałem przestąpić progu, bo wyzwoleńcy jej lepiej odemnie wyglądali. Od lat kilku już owdowiała, mężem jej był Treboniusz, o którym, jeśli go kto nie znał, słyszał pewnie.

Treboniusz, starcem już będąc, poślubił młodziuchną Sabinę, którą matka jej oddała mu więcej dla bogactw jego i znaczenia, niż innych przymiotów. Nigdy może małżeństwo nieszczęśliwe nie było, ani gorzej dobrane. Treboniusz z cnoty Sabiny i surowości szydził, bo go zawstydzała; wstydliwość na pośmiewisko obracał; dom jego nieustannie wystawiał obrazy i przykłady, któreby mniej panującą nad sobą niewiastę rzuciły na drogę, jaką inne idą; ona obrzydzenia tylko nabrała do tego bezwstydu. Chociaż ją z surowości i dzikości wyśmiewano, wytrwała na tej drodze szlachetnej, którą iść postanowiła.

Treboniusz umarł wreszcie niewstrzemięźliwością zabity, zostawując jej ogromny jeszcze, chociaż rozpustą i marnotrawstwem nadwerężony majątek, i małego synka w pieluchach. Odtąd prowadzi ona wdowie życie, i choć najzacniejsza młodzież ubiega się o jej rękę, postanowiła wolną pozostać, aby dziecię wychować na godnego Rzymu obywatela. Mało osób przypuszczalnych bywa do jej towarzystwa; chlubię się tem, że mi drzwi jej zawsze stoją otworem.

Tu spędzam często jedne z najmilszych chwil mojego życia; ale nie snadź, błagam cię i proszę raz jeszcze, abym miłością jaką zapalony był dla Sabiny. Przyjaciółmi jesteśmy tylko, i pewien jestem, że gdybym jej okazał, że piękną w niej widzę i pociągającą niewiastę, więcejby mi progu swojego przestąpić nie dała.

Dom Sabiny leży na pochyłości wzgórza palatyńskiego, tuz obok mojego, gdyż oba z jednego spadku pochodzą.

Nie mówiłem ci jeszcze, jak wygląda Sabina; o kobiecie zaś mówiąc, o powierzchowności jej nie opisać, jest jakby się nic nie powiedziało; wspomniałem tylko, że jest piękna. Nie wyobrażaj sobie jednak, by po dzisiejszemu piękną była, jak te, co z odkrytą piersią, w siatce złotej, z rozpuszczonym włosem, w przezroczystych osłonach. Postaci wzniosłej i udatnej Sabina, mimo skromności, dba, jak kobiecie przystało, o piękność swoją, ale ani za nadto, ani za mało. Nie trzyma ona czeredy niewolnic dla stroju i wymyślnych starań o ubranie; wszakże gdy ci się ukaże, promienieje zawsze szlachetnym wdziękiem.

Dziwnie też młodo zachowała się przy tej powadze: choć dwudziesty rok sobie liczy, powiedziałbyś, że ma szesnaście. Dusza ją tak młodą czyni, choć umysł starszym jest nad wielu osiwiałych mędrców.

Bogowie obdarzyli ją obficie nietylko cnotą, ale szczególną rozumu bystrością, której Chryzp mój, wielki niewiast nieprzyjaciel, dosyć wydziwić się nie może.

Otóż dom, w którym od niejakiego czasu spędzam ze starcem moim razem wieczory i poranki. Dopuszczając mnie do poufałości, Sabina nie obawia się obmowy, a wreszcie mniej się o nią troszczy. Starczy jej świadectwo własnego sumienia. W czasach tak zepsutych, jak nasze, nie może być, aby nas nie posądzano o miłostki jakieś, z czego się oboje śmiejemy.

Że serdeczna przyjaźń nasza do miłości zapalczywej wcole nie jest podobną, zaręczyć ci mogę, Mimo to Ghryzp ostrzega, iż mimowolnie między młodymi dalej zapędzić się można, niżeli się z razu przewiduje, a poufałość zawsze jest niebezpieczną. Śmiejemy się oboje z tych gderań staruszka.

Ale na dziś dość. Kończę już list mój.

List II,

Flawiusza do Kajusa.

O nowej i ciekawej rzeczy dziś ci mam pisać.

Oto Kajusie miły, zjawiła się nowa potajemnie szerzona religia, o której ci napisać co nie wiem, tak różne o niej chodzą wieści. Przynieśli ją tu Żydzi, ale mówią, że i między Rzymianami powoli się szerzy, znajdując skłonnych do jej przyjęcia. Dziwy prawią o nowych jej obrzędach, po jaskiniach odprawianyah, o czci przez jej wyznawców oddawanej wbitemu na krzyż Chrystusowi, o ucztach ich, biesiadach i ofiarach. Wszystko to są uliczne wieści; kryją one w sobie sektę jakąś zaraźliwą, która pewnie nie na zużytych praktykach, ani na rozpustowaniu się opiera, ale na nieznanych nam prawdach, jeżeli istotnie zwolenników tak licznych, jak powiadają, zyskuje.

Zdziwisz się może zdaniu mojemu, dlaczego ani ochydzam nowej wiary, ani się jej lękam, jak drudzy, lecz Chryzp mnie nauczył nie sądzić o tem, czego nie znam, a łatwiej dobre, niż złe przypuszczać.

Mam, wyznaję ci, to silne przekonanie, iż coś nowego światu potrzeba, ażeby się oczyścił, i lepsze, młode rozpocząć życie. Czczość tego, co jest, nadto widoczna i dotkliwa.

Czyli owa wiara tajemna, co się ukrywa kędyś, jak powiadają, pod ziemią, w nocnych pomrokach, przyniesie nam upragniono dobro, nie wiem, ale trzymam z Chryzyppem, że bogowie, złe do kresu dopuściwszy, muszą od zguby uratować ludzkość.

Jest tego przekonania i Sabina, która powiada często, iż nowe źródło prawdy wytrysnąć powinno dla spragnionych, gdy usta wyschną, a napoju wołać będzie człowiek. Jeżeli z innemi z obrzydzeniem o nowej sekcie się nie odzywam, Chryzyppowi i jej to winienem; w Rzymie zresztą jest ona pośmiewiskiem i ohydą powszechną.

Zresztą czego Rzym zepsuty się obawia, co nienawidzi, już tem samem przeciwne mu jest, zatem złe być nie może.

Masz tedy i spraw publicznych niejakie pojęcie, i zaprzątnień naszych; zresztą nam życie cicho i dość jednostajnie upływa. W domu Sabiny spotykam poważnych ludzi, z którymi na rozmowie wieczory upływają. Otacza się ona chętnie takimi, co z nią jednej są myśli; u niej poznałem Feniusza Rufa, Torkwata Sylana, u niej znakomitego, a może w dzisiejszych czasach najczcigodniejszego, niezłomnej odwagi Thrazeasza; u niej widuję coraz mniej ukazującego się w mieście Senekę, u niej Pizona. Wszyscy tak się na dzisiejsze zapatrują sprawy, jak ja i ona. W spokojnym tym zakącie, gdy Rzym szaleje, gdy okrzyki i wrzawa uczt Cezara od Palatynu tysiącem ogniów płonącego nas dochodzą wśród nocy, my w murach jej domowstwa, pod kryptoportykiem lub w ogrodzie, poważnie rozprawiamy o losach państw, ludzi i niestałości rzeczy ludzkich.

Pomimo pozornej wesołości Rzymu i ciągłego ucztowania, którego marnotrawstwa i przepychu wyobrażenia daćbym ci nie potrafił, głęboki smutek pożera tę społeczność. Samo pragnienie nadzwyczajnych rozrywek, na które świat cały składać się musi haraczem krwi i złota, już zwiastuje próżnię w sercach i umysłach, niczem niedającą się zapełnić. Dziś w cyrku padają tysiące zwierząt i sta ludzi, jeszcze krew nie wsiąkła w arenę, a oto już nowych zabaw, szaleństw i widowisk woła, domaga się lud rzymski.

Potrzeba mu tej posoki, tych trupów, trzeba mu darmo rozdawanego chleba, bezpłatnej łaźni i balwierza, podarków od możnych, rozdawanych u drzwi bogaczów, choćby wczoraj dopiero wyzwolonych, upakarzającej jałmużny, aby był syt i siedział spokojnie, bo inaczej burzyć się będzie.

Pracować nie umie i nie chce lud rzymski; z wojny ceni tylko łupy i widowisko tryumfów; wkrótce najemnikami legje obsadzać przyjdzie, bo do nich w Rzymie ochotników nie stanie; rycerstwu cięży nawet pierścień na palcu, cóż zbroja? Gdzie się podziało dawne męstwo Rzymian i do boju ochota? Oto w plugawej roztopiło się rozpuście i w bezczynności strupieszało.

Takie jest, nie powiem moje, ale nasze zdanie o tem, na co patrzeć jesteśmy zmuszeni. Ilekroć zbliżam się do tego świata, niesmak i gorycz z niego wynoszę. Sabina siedzi zamknięta w domu, gdyż

uczciwej niewieście dziś się na ulicy pokazać trudno, już nietylko dlatego, aby na szały bezwstydne, które się po nich rozlegają, nie patrzeć, lecz by samej istotnemu nie podpaść niebezpieczeństwu. Dość być piękną i wpaść w oko jednemu z ulubieńców Nerona, aby we własnym domu nie być bezpieczną. Cnota jest dla nich więcej, niż nieprzyjacielem, jest wyrzutem przeciw ich bezwstydowiu i bezprawiu.

Nigdym też Sabiny nie namawiał, aby się publicznie ukazywała, aleśmy nie uniknęli tego, co widać w jej i mojem było przeznaczeniu.

Jest w tem nieco winy Sabiny, która jakkolwiek doskonałą jest, przecież jako niewiasta, ciekawą. Do tej pory strzegła się ona widowisk tłumnych, do których żadnej nie okazywała ochoty, brzydząc się krwawemi zapasy; tyle wszakże ostatniemi czasy mówiono o wspaniałości igrzysk nowych, które z powodu zwycięztw w Armenii odniesionych wyprawić miano, tyle o samym cezarze, i o ogromnem zbiegowisku ludzi, a najprzedziwniejszych zapaśników zebraniu, iż nawet Sabina ujrzeć te szały zapragnęła. Opierałem się temu, usiłując ją odwieść od zamierzonej wycieczki; Chryzypp mnie wszakże nie poparł, i to jej dało zwycięstwo. Wedle niego ciekawość ta była naturalną i potrzebowała być zaspokojoną. Sabina też uśmiechała się z niebezpieczeństwa, jakie ja w tem upatrywałem, za przykład stawiąc najpoważniejsze Rzymu matrony i Westalki, które niekiedy igrzyskom przytomne bywały. Rozkazała mi sobie towarzyszyć. Sądzę, że wiadomość, iż sam cezar miał się tam znajdować, niemało się do zaostrzenia ciekawości przyczyniać musiała, gdyż potwora tego każdy ujrzeć pragnie. Sabina przybrała się nie obyczajem kobiet, które więcej widzianemi być pragną, niż widzieć pożądają, osłoniła się tak, że rysów jej nikt dojrzeć nie mógł, ani na strój skromny zwrócić uwagi, zwłaszcza obok innych kobiet, co byle się przybrać, za ostatniego asa odzież i klejnoty najmują. Dwie towarzyszki, kilku niewolników i wyzwoleńców, ja na ostatku i ludzie niosący lektyki towarzyszyliśmy jej do amfiteatru. Osobne miejsce w galeryi krytej, dla kobiet przeznaczonej, wcześnieśmy sobie zapewnili. Ale wszedłszy tu, sądzę, że Sabina wolałaby była, gdyby zwyczaj dozwalał, przenieść się między mężczyzn, tak przykrem znalazła się otoczona sąsiedztwem. Siedziały wprawdzie senatorskie żony i córki obok, lecz któżby się tego z ich twarzy i ruchów domyślił! Nigdy bezwstyd niewiast naszych tak mnie nie raził, jak gdym od niego postrzegł rumieniącą się twarz Sabiny. Na pół nagie, umalowane, utrefione, obwieszone klejnotami, śmiejące się, nawołujące i dające znaki mężczyznom, głośno chlubiące się sromotą swą otoczyły ją kobiety; rzekłbyś niewolnice lub wyzwolone niedawno śpiewaczki i skocznice... Krążyły z ust do ust na widok gladyatorów wykrzyki i imiona ich kochanek... Patrzałem i bolałem z Sabiną. Milcząca, na przemia-

Do opowiadania „Z życia pierwszych chrześcijan.“



MĘCZEŃSTWO CHRZEŚCIJAN W CYRKU NERONA.

ny czerwonością i bladością mieniącą się, z osłonioną głową, obróconą ku arenie, nie wiedziała, gdzie się skryć od otaczającej sromoty. Widziałem na jej twarzy bolesne wrażenie, gdy krew płynąć zaczęła, a trupy na gorączkowe domaganie się tłumu dobijano i za nogi z areny wyciągano. Smutna oparła się na ręku i płakać zdawała się nad widokiem, który drugich roznamiętniał do szału... Cezar z orszakiem swym, z Tygellinem, Epapfodytem, Senecyuszem, Poppeą, tłum gachów prawie za niewiasty poprzebieranych, a między nimi celujący krasą Pytagoras... z długim włosem spadającym na ramiona, posypanym prochem złotym... ciekawem był także i dla nas widowiskiem.

Oznajmione było, iż oprócz igrzysk gladyatorów miano kilku ludzi z tej nowej sekty chrześcijan, o której wspomniałem, dać na walkę z dzikiemi zwierzęty. Schwytano ich na jakichś nocnych zabobonnych obrzędach... Lud rozbawiony wołał nieustannie: — „Chrześcijan zwierzętom! Chrześcijan!!“ Cezar nareszcie dał znak; wszystkich oczy chciwie się zwróciły ku kratom.

Naówczas ujrzeliśmy widok, którego póki żyw nie zapomnę. Powoli podniosły się zapory, i lew najprzód, potem pantera i tygrys, biczem wygnane z łożyska, na arenę wybiegły.

Zwierzęta zdawały się wylękłe i wcale do walki nie okazywały ochoty; tuliły się one do murów, poglądając tchórzliwie, jakby szukały, kędy się wymknąć. Każdy wrzask widzów nowym je nabawiał strachem. Lew wreszcie położył się, pantera wąchając obchodziła do koła, tygrys dał kilka wielkich skoków, i jakby na posadzce utkwił, bacznie się rozglądając... Wtem kraty od doły na arenie zaskrzypiały, oczy wszystkich zwróciły się ku nim, szmer na ławach, wyciągnione szyje i głowy... „Chrześcijanie! Chrześcijanie!“ — wołano... Czekaliśmy, nic się nie ukazywało. Śpiew jakiś smętny, dziwny uprzedził ukazanie się trojga ludzi... Był to starzec wychudły, młode dziewczę wielkiej piękności i mężczyzna w sile wieku, czarno zarosły.

Nie dano im snadź żadnej broni lub też jej przyjąć nie chcieli, nawet opasek na nogi i włóczni. Przodem szedł najstarszy, a w rękach niósł tylko mały jakiś drzewa kawałek związanego na krzyż, którego użytku i znaczenia zrozumieć nie mogliśmy; za nim postępowało dziewczę, osłaniając się rękami ze wstydu; potem szedł z chmurnem, ale spokojnem wejrzeniem młodzieniec. Idąc, śpiewali ciągle, co śmiech dziki obudziło w tłumach. Doszli tak aż do środka areny, a żadne ze zwierząt ich nie zaczepiło; tu wszystko troje poklękali.

Cezar i tłum sądzili, że o litość proszą, i wrzeć wszystko zaczęło w teatrze, domagając się walki i śmierci. Kobiety wrzeszczały najgłośniej, niecierpliwiły się zwłoką, plwały i łajały. Oni wcale na to nie

zważali, klęczeli, zdawali się modlić. Uważałem, że przelękli, jak się nam z razu zdawało, nie byli.

Trwało oczekiwanie chwilę, a dzikie bestye spoglądały tylko na owych ludzi bezbronnych, jakby się na nich rzucić nie śmiały.

Nareszcie wygłodzony tygrys przypełznął z tyłu do młodzieńca. skoczył nań, obejmując go łapami, gniotąc i szarpiąc brzuch i piersi, a paszczęką gruchocząc czaszkę.

Stało się to w mgnieniu oka. Padł chrześcijanin ze złożonemi rękami, krew trysnęła obficie, ale męczarnia była krótka. Tłum szemrać i niecierpliwić się począł znowu; nie tego mu było potrzeba: walki, dramatu i dłuższego pastwienia się.

Gdy młodzieniec upadł, kobieta o krok stojąca od niego i starzec, podniósłszy głos śpiewali ciągle, dziwnie strasznie i nadludzko spokojnie. Oczy mieli podniesione w niebo, jakby z obłoku bogów jakich zstąpić ku nim mających spodziewali się. Wprawdzie czułem, jak głos niewiasty a raczej dziecięcia tego zadrżał; widziałem, jak łzy potoczyły się z jej oczu, ale starzec klęczał obok niej niewzruszony, i wejrzeniem zdawał się jej sił dodawać.

Tygrys swą pastwą się karmił, a raczej rozszarpywał ją okrutnie, niekiedy tylko poglądając na lwa i panterę,—gdy zapach krwi i widok trupa obudziły i tamte zwierzęta. Lew rzucił się nie na ludzi, ale na tygrysa, który od zwłok krwawych odbiegł, pokazując zęby.

Naówczas ujrzeliśmy obraz, którybyz oczu najdzikszego człowieka łzy wycisnął, a z ludu rzymskiego dobyło się tylko naigrawanie okrutne. Młode dziewczę pochyliło się nad zwłoki brata, i stopy jego, płacząc, całować zaczęło. Tak nad niemi pochyloną z boku schwyciła pantera, drasnęła ją ledwie, i piękna jej główka, jak zwiędły kwiat, pochyliła się blada, prawie bez śmiertelnego wysiłku... Ostatnie tchnienie z ust wyszłe z lekkim wykrzykiem, który śpiew przerwał i płacz razem.

Starzec, zapewne ojciec rodziny, pozostał sam; głosu mu zabrakło, ale ustami poruszał, jakby coś jeszcze odmawiał. Tłum wyzywał, zmuszał, pędził do walki, nakazywał, łajał napróżno; starzec smętnie patrzał na zwłoki dzieci, czekając śmierci z okiem niezmrużonem.

Nie wiem, już jakiem uczuciem oddychał tłum, alem uczuł w sobie taką litość dla tych nieszczęśliwych, taką wzgardę dla tych okrutników, co się śmierci starca domagali, że mi się chciało niemal skoczyć i stanąć w obronie chrześcijanina... Przekonałem się później, iż szlachetne serce Sabiny podzielało moje uczucie.

Chrześcijanie, sekciarze plugawi, przecież to ludzie byli.

Gdym oczy podniosł ku arenie, ujrzałem lwa rozszarpanego przez tygrysa i wyziewającego ducha z rykiem i chrapaniem okrutnem; dobijali go oszczepami pachołkowie, tygrys krwawe na uboczu lizał rany,

a pantera darła białe ciało niewiasty... Kałuże krwi wsiąkały powoli w piasek. Starzec się modlił; rzucono mu oszczep, aby z nim szedł na tygrysa lub panterę, lecz go nie podjął.

— „Na śmierć! na śmierć!“ — poczęto krzyczeć ze wszystkich ław, amfiteatr cały, galerya trząść się zdawały od rozpasanego wrzasku; kobiety suknie szarpały na sobie. Na ławach senatorskich najbliższych areny powaga dostojności nie wzbraniała równej wrzawy, jak na najwyższych...

Starzec się modlił, ale widać było, że strach go nie złamał; nie prosił o życie, nie patrzał nawet na widzów, na cezara i Westalk Byłoby to trwało długo może, bo tygrys ranami a pantera trupem były zajęty, gdyby na znak dany przez Nerona nie przybyli oprawcy. Jeden z nich przyszedł i krótki miecz w piersi chrześcijanina utopił.

Widział on, jak śmierć szła ku niemu, nie drgnął wszakże, tylko oczy ciągle podnosił ku niebu, goręcej zdawał się coraz modlić, czy do niewidzialnych jakichś demonów odzywać, aż gdy kat przypadł, roztworzył ręce, nastawił pierś... i krwią zbroczony upadł, nie wypuściwszy z ręki owego kawałka drzewa.

Nie wiem, czy większem byłoby męstwem walczyć z rozpaczą, czy z takiem spokojem czekać śmierci, nie okazując najmniejszej obawy.

Gdy trupy wywlekano, lud nie był rad, i domagał się zapewne czegoś więcej nad to, ale myśmy już dłużej wytrwać nie mogli. Sabina dała mi znak, że do domu powrócić pragnie; pośpieszyłem, aby jej towarzyszyć, gdyż powrót z amfiteatru o mroku groził większem, niż przybycie niebezpieczeństwem; ulice pełne były młodzieży winem i igrzyskiem upojonej.

Zastałem też lektykę jej otoczoną ciekawymi, a pomiędzy nimi Leliusza.

Znałeś go pewnie, bo był naszym rówieśnikiem i razem z nami chadzał do szkoły.

Leliusz jest moim i Sabiny dalekim krewnym, ale z owego pięknego chłopięcia coś dziś wyrosło, trudno, byś odgadł, nie widząc.

Nie mąż, nie togą okryty młodzian, ale prawie—niewiasta.

W długiej fałdzistej sukni pstrej, a tak lekkiej, jakby nagość odkrywać, nie zasłaniać miała, z głową utrefioną, zlany wonnościami, których połowa starczyłaby na zabalsamowanie umarłego, z rękami w mnóstwo pierścieni przystrojonymi, Leliusz wygląda raczej na grającego rolę kobiety, niżeli na młodego człowieka. Łacno też odgadnąć obyczaje z jego powierzchowności — i że należy do najpoufalszych dworzan Nerona, który jego pochwały równie ceni, jak Senecyona i ma go za wyrocznię wytworności i dobrego smaku.

Przez uchyloną zasłonę lektyki ujrzał on Sabinę i poskoczył, wdzięcząc się do niej. Szczęściem niewolnicy ujęli lektykę na ramiona i ruszyli z miejsca żywo. Zostałem ja na łup Leliuszowi, który mnie poznał, po imieniu zawołał i począł się uskarżać, że Sabina nawet doń słowa nie powiedziała. Tłómaczyłem ją, że to nie było miejsce do odnawiania lub zabierania znajomości, zresztą właściwą skromnością niewieścią. Takeśmy się rozstali. Ale nie rad jestem ze spotkania się z człowiekiem, który mi się wydaje niebezpiecznym, a chciwy jest nowych twarzy, nowych miłostek i intryg.

Gdym nazajutrz Sabinę odwiedził, zastałem ją pomieszaną i zadumaną, długo myśli jej dobadać się nie mogąc. Przyznała mi się w końcu, jakie w niej obrzydzenie sprawiło to widowisko, i jak była przejęta męztwem, z którem szli na śmierć owi chrześcijanie.

— Wierzcie mi, Juliuszu—rzekła—nie może to być prawdą, co rozpowiadają o ich rozpuście, o szkaradnych praktykach i o zabobonach. Rozpusta odbiera siły, czyni bojaźliwym w obec śmierci. Ludzie ci umierali jak stoicy, jak by Rzymianie nie potrafili — nawet bez oburzenia i gniewu, gardząc obroną daremną, ufni w jakąś siłę, w coś nam nieznanego, tajemnego, ale potężnego. Uderzona zostałam spokojem tego starca i niewiasty...

Wyznałem jej, że oni i na mnie podobne uczynili wrażenie.

Nigdy smutniejszej i poważniejszej nie widziałem Sabiny, niż teraz, od chwili tego dziwnego widowiska, które dotąd oczom jest moim przytomne. Ale list zbyt długi, Kajusie drogi, kończę go. Wina nie moja; sam żądałeś, abym był rozwlekły. Bądź mi zdrów i napisz też o sobie.

List III,

który pisała Sabina do swego nauczyciela Zenona.

Boleśnie mi, że ciebie, do którego rady przywykłam, wówczas, gdy pragnęłam cię mieć jak najbliżej, tak daleko szukać muszę, mistrzu mój drogi. Tyś był ojcem mej duszy, przewodnikiem młodości; starsza i dojrzalsza dzis w niepewności wielkiej cię szukam. Gdybyś mnie był nie nauczył, że najpiękniejszą cnotą jest ludziom czynić dobrze, a największą rozkoszą o ich szczęście się starać, możebym cię była nie puściła do twych smutnych i pustych Aten, po których dziś tylko błądzą cienie wielkiej przeszłości. Aleś zapragnął popioły swe

złożyć na tej ukochanej ziemi, która ci była matką, i musiałam zerwać węzły niewoli, co cię do naszego domku przykutym trzymały. A jednak braknie mi ciebie, stary przyjacielu; niemal codziennie na wiele niebezpieczeństw narażona, nie czuję w sobie dosyć siły, aby się im oprzeć. Nie porzuciłeś mię jeszcze dosyć zbrojną, choć ci się czasem zdawało, że już sama życiu podołać mogę.

Przebaczysz mi więc, że spokojną twą starość, którąbyś rad spędzić, zapominając może o Rzymie, kłócę pytaniami trudzącemi i niepokoję listami. Pamiętam dobrze dzieciństwa mojego lata, gdy wszelkie światło z ust twoich czerpałam, gdyś ty, poniewierany przez ludzi, często wyśmiewany przez nich, wydawał mi się stokroć większym nad tych, co ani cię szanować, ani w tobie mądrości cenić nie umieli. Jak spragniony zwierz idzie do znanego mu źródła, tak ja, mistrzu mój stary, śpieszę do ciebie.

Powstała niedawno w Judei sekta żydowska, gęsto już w Rzymie rozsiana; zwolennicy jej chrześcijanami się zowią. Rozpowiadają o nich poczwarne rzeczy, lud ich nie cierpi, cezar prześladować każe i tępić. Pewnego dnia byłem w cyrku, dnia tego właśnie kilku schwytanych na jakichś zabobonnych obrzędkach miano dać na walkę z dzikiemi zwierzęty.

Wyprowadzono starca, dziewicę młodą i mężczyznę. Gdybyś był widział, jak szli na śmierć, gardząc śmiercią, jak umierać umieli! Był to widok wzruszający, choć tłum gniewał się i zżymał, iż nie chcąc się bronić, odejmowali mu z widowiska przyjemności. Byłam w uwielbieniu dla nich; ale zgraja nielitościwa domagała się okrutnie śmierci i padli wszyscy.

Nie zapomnę nigdy, z jaką godnością konali, bez jęku prawie, w obec tych tysiąców, które boleści ich urągały się szkaradnym wrzaskiem. Widząc ich tak spokojnie idących na śmierć, tak znoszących męczarnie ze stoicyzmem filozofów—pomyślałem sobie, że w nauce tej sekty być coś musi, co im daje tę siłę...

Wyznaję ci, że jakem była zawsze może do zbytku ciekawa prawdy i mądrości wszelkiej, tak i teraz uspokoić się nie mogłam, pragnąc poznać tajemnice tej nowej wiary, o której tak dziwne chodziły i chodzą wieści.

Lecz to, co zakryte jest dla mężczyzn, jakże przystępne być miało dla zamkniętej w pośród czterech ścian niewiasty? Napróżno szukałam środków zbadania tajemnicy; byłaby ona pozostała dla mnie ukrytą, gdyby nie dziwne zrządzenie. Pomiędzy niewolnicami domu naszego od dawna najulubieńszą była mi Ruta, zajmująca teraz miejsce dozorczyni. Małem dziecięciem kupiła ją matka moja, ulitowawszy się nad jej wynędznieniem i bladością, ujęta też pięknością dziewczęcia jas-

nowłosego, łagodnego wejrzenia i żywego umysłu. Ruta niewiadomego jest całkiem pochodzenia; kupiec mówił, że nabył ją od tych, którzy po bursztyn wędrowali w krainy północne, często ztamtąd niewiasty przyprowadzając i dzieci, gdy na wojnę jaką między plemionami, kraje te zamieszkującemi, trafili. Matka moja, polubiwszy ją, uczyć kazała, ale zważając na spokojny charakter, łagodność dzieweczki i niewielkie jej siły a niepospolitą zręczność, użyła jej do robót lekkich, potem do składania, nareszcie do dozorowania szat.

Wzrosła ona razem ze mną, acz może o jaki rok starsza jest odemnie. Przywykłam do cichych jej posług, miłego uśmiechu i milczącego obyczaju.

Ze wszech miar też Ruta zasługiwała na miłość moją, gdyż i obejściu się jej i życiu nic zarzucić nie było można.

W ostatnich czasach postrzegłam, że Ruta często oddalała się z domu; pobłażałam, ale w końcu przykro mi było, bom ją o płochość posądzać zaczęła.

Spadła w oczach moich, wszakże nie chciałam się jej okazać surową... Hyppia, współzawodnica jej i nieprzyjaciółka donosiła mi o częstych nocnych nawet wycieczkach—kazałam milczeć Hyppii.

Jużem do niej serce traciła i z litością poglądałam na nieszczęśliwą, gdy to widowisko chrześcijan tak mnie całą poruszyło, że powróciwszy do domu, o niem i o niem tylko mówiłam prawie ze łzami. Niedostrzegłam nawet, że Ruta mnie podsłuchywała.

Nazajutrz, gdym siedziała zamyślona, Ruta wsunęła się pocichu i uklękła przede mną.

Miała jakieś łzawe oczy i twarz niezwykłym zarumienioną blaskiem. Nikogo nie było z nami. Odsłoniła szaty i w rękach ukazała mi taki sam kawałek drzewa, związanego na krzyż, jaki widziałam u chrześcijan idących na męczeństwo. Poruszyłam się, wstrząsnęłam cała.

— Ruta—rzekłam—co to ma znaczyć?

— O, dobra pani moja! — odpowiedziała mi — widzisz i ja jestem... chrześcijanką!

Jakkolwiek ciekawam była tajemnicy, na te słowa przyszły mi na pamięć szkarady, które powszechnie o nich opowiadają, i cofnęłam się od niej prawie przerażona.

Ruta zbladła i zamilkła; zdawało się, że ją wielki przestrach ogarnął; schyliła głowę i szepnęła:

— Jeżelim winna, ukarz mnie, ale daruj mi tyle życia, abym ciebie o nauce żywota wiecznego oświecić mogła. Pani! ty jesteś godna być chrześcijanką. Umrę chętnie, bylebym mogła ziarno to zasiać w twej duszy; wzrośnie ono kiedyś krwią polane, choćby moją...

Otóż kochany mistrzu, tak doszłam do upragnionej mi wiadomości, czem jest nauka nowa. Wyznam ci, zdumiała mnie ona. Znałam prawie wszystko, co rozum ludzki zdobył mądrości wiekami; ale tego, czego mnie uboga nauczyła niewolnica, sam umysł mój nawet z pomocą mistrzów, z wiedzą wszystkiego, czego ludzie doszli, samby wynaleźć i z łupin wątpliwości dobyć nie mógł. Zgadujesz już, że cię o tę naukę pytać będę.

Mówiono mi, że się ona już w i w Grecyi rozszerza, że po całym rozchodzi się świecie z zadziwiającą szybkością, która cudem się być zdaje; nie potrzebuję więc wykładać ci jej, mój mistrzu, znasz ją zapewne. Ty, coś na nabycie nauki życie całe poświęcił, nie możesz być jej obcym. Powiedzże mi, powiedz proszę, co o niej sądzisz, jak trzymasz? Czy tylko mnie wydaje się ona tak wielką i piękną w swojej przedziwnej prostocie? Czy mojemu tylko sercu wydaje się ona tak boską, dla tego, że jego uczuciem pochlebia? Jest-li to jedyna prawda, jak oni mówią, czy jedna z prawd wielu rozsianych po świecie, których szczątki zbierają ludzie?

Naucz mnie, oświeć; czuję w sobie niepewność wielką, a mam-li rzec prawdę? pragnienie wielkie przyjęcia i poświęcenia się religii nowej. Ale jestem słabą niewiastą i lękam się uroku, jaki ma dla mnie nowość; nie dałam się wprowadzić jeszcze i związać żadnego stopnia wtajemniczeniem. Pragnę i lękam się; czuję, że tu się potrzeba oddać całą. Bóg ich jest zazdrosnym Bogiem, i nie dzieli się z nikim, Mistrzu kochany, z upragnieniem czekać będę, aby mi wiatry szczęśliwe wieść jaką od ciebie przyniosły... Pozdrawiam cię z uczuciem córki.

List IV

Flawiusza do Kajusa.

Czym ci wspomniał w liście moim, że Leliusza spotkałem, wychodząc z amfiteatru, i jak dziś wygląda Leliusz, który więcej myśli o nogach swych i skórze wygładzonej a bez krwi, o piękności i zalecankach, niżeli o mądrości i nauce, której tak niegdyś zdawał się chciwym? Leliusz należy do Nerona ulubieńców, szczyci się jego szczególnemi względy, więc i strasznym być może, gdy zapragnie.

Neron maluje i rzeźbi, Leliusz posążek jego roboty nosi na piersiach, nigdy się nie rozstając. Jest to nędzota, przypominająca stare, etruskie posążki; ale dworak widzi w niej arcydzieło.

Niedawno, gdyśmy z Chryzyppem do pożywienia wieczerzy zasiąść mieli, słyszę u drzwi wrzawę... Leliusz przybywa. Jedno tylko łoże było przygotowane dla nas i skromny posiłek; Leliusz się wprasza, aby go z nami pożywał. Po Cezara ucztach zapragnął wieczerzy filozofów; nie znalazł tu ani ostryg i muszli, ani zwierzyny, ani słodyczy. ani pawich języków, ani olbrzymich ryb niewolnikami tuczonych, ani muzyki i tancerzy.

Łatwo mi było sprowadzić flecistów i nająć skoczków, ale nie chciałem. Gdy półmiski przynosić zaczęto, zdziwił się ich skromności, oglądał się, jakby jeszcze czegoś czekał; w winie też nie smakował, choć je sobie grzać i przyprawiać kazał. Nie dobyłem starej amfory, abym go zbyt nie ugościł. Poczęła się rozmowa, aleśmy więcej go słuchali, niż ją utrzymywali.

Leliusz sam prawie mówił, z równą też chciwością słowom się własnym przysłuchując i widocznie rozmiłowywując w ich dźwięku.

Przykro mi było, gdy naraz naśmiawszy się z prostoty mojego życia i spytawszy o piękną czarę chalcedonową stryja Markusa, o której mu snadź Kwintus mówić musiał, przeszedł zaraz do Sabiny i o jej piękności mówić zaczął.

— Dwie — rzekł — Sabiny są w Rzymie: Poppea i Marcya, a nie wiem nawet której pierwszeństwo przyznaćby należało!

Zdało mi się, że jej imię w ustach jego obok tego imienia postać nie było powinno; gdy natychmiast mieszać począł wzmianki o innych niewiastach z niesławy i rozwiązłości głośnych! Wynosił piękność nadzwyczajną Sabiny, a uśmiechnął się zarazem, mówiąc o mojem z nią sąsiedztwie i naszej przyjaźni... Potem sądził i opisywał Hippię i Mukcyę i Hispullę, porównywał je, poniżał i wynosił... wracając zawsze do tego, jak mi mojego sąsiedztwa i stosunków zazdrości. Ubodło mnie, że tak źle o niej trzymał.

— Czekaj — rzekłem w ostatku — zanim posuniesz się dalej. Jesteś w moim domu, nic ci przykrego powiedzieć nie chcę; ale proszę cię, gdy o Sabinie mówić będziesz, mów jak o matce własnej, jakbyś mówił o siostrze; szanuj ją, gdyż poszanowania jest godna.

Na to rozśmiał się Leliusz.

— Szanuj — rzekł — ale to nie przeszkadza, bym miał oczy i uszy. Jakto! kobieta młoda, bogata, piękna nad inne, wdowa i wolna, miałaby pozostać zamknięta i świata nie pożądać?

Nie dozwolając mu kończyć, poprzysiągłem na stojący posąg Jowisza, iż w niej tylko siostrę widzę.

— Siostrę — rzekł — rozumiem; miłości takiej braterskiej różne widzieliśmy przykłady.

Bezecnych słów jego wstrzymać nie mogąc, zamilkłem wreszcie smutny. Leliusz zmiarkował, że mnie obraził i odszedł.

List V

Sabiny do nauczyciela jej Zenona.

Długo milczałam, mistrzu mój i przyjacielu, ale się temu dziwić nie będziecie, domyślając się z ostatniego pisma, jak ważną sprawą jestem zajęta. Nierazbym bardzo twojej potrzebowała rady, ale pisania się lękam, aby listy w cudze nie wpadły ręce, aby na mnie lub na przyjaciół moich nie ściągnęły prześladowania.

Z każdym dniem rośnie nienawiść przeciw nauce nowej, zwłaszcza kapłanów i ciemnego motłochu, który tamci podburzają. Mnożą się co dzień ofiary a choć z niemi rośnie liczba uczniów, przeraża myśl, że męczarnie i śmierć tryumf prawdy powstrzymać i odroczyć mogą.

Obawa zdradzenia tajemnicy przez pismo powściągała mnie długo; wreszcie znalazłam sposobność pewną dla przesłania listu, przemogło nawyknienie odzywania się do ciebie i pragnienie udzielania ci promieni tego światła, które mnie oblewają.

Coraz głębiej staram się wniknąć w naukę przez chrześcijan głoszoną.

Nowa nauka rozszerzyła się już i rozpościera po Rzymie, nie pomiędzy filozofami i patrycyuszami — raczej wśród wyzwoleńców, niewolników, barbarzyńców i najbiedniejszego tłumu. Tędy strumień jej płynie, chociaż często i innych pociąga za sobą. A jest w niej to dziwnego, że równie zrozumiała i dostępna jest najprostszym, jak zdumiewająca głębokością swą dla filozofów.

Każdy z niej czerpać może wedle sił umysłu i serca; dla nikogo zamknięta nie jest. Nie kryje się ona i nie osłania, tylko o tyle, by swoje trwanie zabezpieczyła. Padają ofiary niemal codziennie, gdyż nadto groźną jest tem, co istnieje, aby Rzym cierpliwie mógł patrzeć na jej rozpowszechnianie. Nie jest ten obrządek tajemnicami osłoniony, któryby, jak Mitry lub Izydy zabobonne praktyki, w głębi celi świątynnej mógł się zamknąć, godząc się z innymi. Nauka ta wychodzi od ołtarza, ale na całą ludzkość spływa, odradza człowieka i rządzić musi najdrobniejszemi jego sprawami. Wnika wszędzie, nawet w najtajemniejszą myśl jego.

Dla tego ta nauka trwogą napełnia wszystkich, bo nic się przed nią nie ostoi z tego świata, który dziś jest. Czują niebezpieczeństwo ci, co korzystają ze złego, które runie; wiedzą, co zyszczą ci, co je obalą. Przedewszystkiem jest to religia słabych, uciśnionych, odepchniętych.

Pierwsze zasady nowej wiary zaczerpnęłam od niewolnicy mojej Ruty, która od dawna potajemnie ją wyznawała. Nigdy mnie to wprzód nie uderzało, że nawet na Junonę moją, jak inne sługi, przysięgać nie chciała.

Ruta, która zaledwie czytać umie, a filozofii wcale się nie uczyła, która nieuctwo swe w porównaniu ze mną wyznaje w pokorze, zdumiewa mnie, objawiając prawdy nadzwyczajnej głębokości, czerpane nie z własnego rozumu, ale z tego źródła mądrości otwartego dla wszystkich. Często to, co ona mi przynosi, ja sama szerzej i jaśniej pojmę, niż ona... ale ziarno biorę od niej. Upokorzona nieraz jestem jej mądrością, która łatwo i bez mozołu rozwiązuje największe trudności tym kluczem, którego jej nowa nauka dostarcza.

Z początku badałam ją pilnie i zastanawiałam się, aby nie być podobną do tych niewiast płochych, które lada chaldejski wróżbit lub astrolog obałamuci niedorzecznemi baśniami. Nie rozrywki szukałam, lecz światła.

Ale z każdym dniem, z każdem słowem przekonywam się mocniej, że nie zabobonną praktykę, ale filozofię nową, płód innego kraju i wyobrażeń mam przed sobą. Cóż powiecie na to, że się narodziła tam, gdzie nauka ludzka nadzwyczajnem nie jaśniała światłem, że prostaczkowie przynoszą ją zdumionym mędrcom starego świata.

Wypytywam pilnie Rutę, która nie była w stanie nic własnym zmienić rozumem z tego, czego ją nauczono, ani swojemi wymysły okrasić. Zdumiewam się codziennie wielkiej prostocie prawdy, która w mem sercu zdawała się mieszkać oddawna, a teraz tylko dobywać z niego; witam ją, jak starą znajomą, długo niewidzialną przyjaciółkę.

Wreszcie czując się coraz goręcej pociąganą ku tej nauce, gdy już Rucie brakło wyrazów, aby mojemu pragnieniu zadość uczynić,—za zezwoleniem tych, którzy przewodniczą zgromadzeniu, obiecała mnie zaprowadzić na tajemną schadzkę chrześcijan i tych, co jak ja zostać chreścijanami pragnęli.

Przystałam na to chętnie, choć miejsce było mi obce, a godzina do wyjścia zdawała się niewłaściwą, i budziła obawę niebezpiecznego jakiegoś spotkania. Spodziewała się też zastać tłum niewolników, zbiorowisko najuboższej gawiedzi, owych Żydów z wiązkami siana pod pachą, co zalegają gaj Egeryi, a we dnie snują się około Termów i w gwar-

liwych uliczkach. Musiałam przeto wdziać szaty niewolnicy, ciemne suknie, któreby mego nie zdradziły stanu. Ruta pożyczyła mi swoich, twarze okryłyśmy kapturami, a ktoby mnie był spotkał, z przebrania mógłby nie wiem o jakie szaleństwo posądzić. Wyznam, że gdym tak odziana przestępowała próg mojego domu, serce biło mi silnie, jak gdybym popełniła występek, zdradzała kraj swój i wiarę, stawała się niewierną opiekuńczym duchom, co strzegły mojej, matczynej i dziadów moich kolebki.

Późnym już zmrokiem, o pierwszej dnia godzinie, wyszłyśmy ku Alpijskiej drodze. Szczęściem zawsze tu dosyć jest zgiełku i przechodzących, by niepostrzeżonemu przejść można. Ruta prócz tego zamówiła dwu swoich współwyznawców, którzy z dala za nami idąc, strzedz mieli, aby się nam co nie stało.

Pierwszy raz nocą, pieszo, prawie sama, znalazłam się na ulicy, wmieszana w ten lud, na który dotąd tylko z wozu lub lektyki mojej patrzeć byłam przywykła.

Uczułam w sercu przerażenie wielkie. Mijały się zaprzęgi, krzyczeli woźnice, tłumy pijanych niewolników wychodzących, z szynków zawodziły dzikie, niezrozumiałe pieśni we wszystkich świata językach; mijałyśmy domki pełne wrzawy i motłochu, w ulicy ocierając się o kobiety bezwstydne, z odkrytymi twarzami, w mitrach pstrych i sukniach kwiecistych; przeciskać się było potrzeba pomiędzy konie, osły, muły stada bydląd i stada ludzi piętnowanych, prowadzonych na sprzedaż.

W bramie Kapena ledwieśmy się zdołały przemknąć przez zgiełk ten; dalej już, gdzie się poczynała *Via Apia*, trochę mniej było ludno, puściejszym stał się gościniec, ale tu milczenie nadchodzącej nocy równie było jak tamta wrzawa przerażające. Mijałyśmy grobowce cyprysami czarnymi otoczone, wśród których duchy starych Rzymian błądzić się zdawały. Naostatek nieopodal od drogi wskazała mi Ruta dom dosyć obszerny, do którego portyku zwróciłyśmy kroki. Zapukała trzy razy i drzwi rozsunęły się powoli; weszłyśmy, wymieniwszy jakieś wyrazy z oddźwiernym, i zatrzymały pod kolumnami obszernego, wspaniałego gmachu.

Dom był widocznie możnego rzymskiego obywatela, ale z niego znikły już były wszelkie godła i oznaki naszej wiary, bożki, hermesy posągi i ołtarze. Stał tylko jeden nad sadzawką środkową, na którym dojrzałam godła Bachusa, co zdziwiło mnie; płaskorzeźby wystawiały winobranie. Nie wyrzucono też woskowych obrazów przodków, które ściany przyozdabiały. Pod kolumnami do koła ścisk był tak wielki, żeśmy niepostrzeżone przez tłum się prześliznęły i skryłyśmy się po lewej stronie, dla niewiast przeznaczonej. Po prawej stali mężczyźni, a między nimi wielu po togach i odzieży poznałam obywateli i rycer-

stwa rzymskiego, zmieszanego z niewolnikami. Cichość była wielka i uroczysta wśród zgromadzenia, które się składało z najrozmaitszego ludu, wyzwoleńców, cudzoziemców, niewolników, ubogich i Żydów. Z razu, pierwszy raz w życiu wmieszana będąc w tę ciżbę, poczułam się jakby upokorzoną tem zrównaniem z nią; ocierałam się o niewolnice różnej barwy, o zbrukane szaty ludu, alem przypomniała sobie słowa tej nauki słyszane od Ruty, zowiące wszystkich bez różnicy stanu i narodów, Dziećmi Bożemi.

Przytuliłam się do ściany, i zasłoniona cieniem kolumny, czekałam, poglądając ciekawie.

Po chwili z głębi domostwa wyszedł z dwoma towarzyszami młodszymi mężczyzna słusznego wzrostu, twarzy wielce poważnej, z jasnem i pogodnem wejrzeniem, stanął nieopodal od ołtarza Bachusowego, i powiódłszy oczyma po zgromadzeniu, mówić począł.

Pierwsze jego słowa były wymowną, piękną, do Boga Ojca modlitwą, w której niemal cała zamykała się nauka, niewielu wyrazami ujęta. Nie potrafię ci słów dalszych powtórzyć, nie zapamiętałam ich tak dobrze, abym ci je wiernie opisać potrafiła, myśl wszakże zatrzymałam w pamięci.

Mówił ten mąż o jednym i jedynym Bogu, niecielesnym, przedwiecznym, wszechmogącym. Potem o rodzaju ludzkim, o dzieciach bożych równych sobie, dla których głosił jedno na cały świat prawo mające rządzić niemi — prawo miłości i braterstwa. Potem o Synu Bożym, przepowiedzianym przez Sybille, przez proroków, o którym śpiewał Orfeusz, którego przeczuwał Wirgiliusz, o zesłańcu Bożym Chrystusie, który przyszedł prawdę objawić i cierpieć za nią.

Większa część słuchaczów, jak ja, nie była jeszcze chrześcijanami; więc nie tyle o tajemnicach religii, ile o moralnych jej przykazaniach nauczał. Z tego, co mówiła mi Ruta, com się tu nasłuchała, widzę i ja ową potężną różnicę religii nowej od innych, o których ty mi pisałeś.

Religia ta tworzy społeczeństwo zupełnie nowe, jedną wielką rodzinę, w której Bóg jest Ojcem, a wszyscy ludzie i naród braćmi.

Niema tu panów, wyzwoleńców, niewolników, podlejszych i znaczniejszych—wszyscy są równi. Cnota tylko wywyższa i podnosi jednych nad drugich, dając prawo przodowania braciom; występek tylko poniża i kala, nie zaś stan, niewola i pochodzenie. W nauce tej wszystko jest miłością — nie ziemską i nie cielesną. Łączy ona ludzi, a im kto biedniejszy i nędzniejszy, tem żywszą miłość obudzać powinien. Zważcie, jak to szczególniej dla nas jest nowe.

Nie zna ich Bóg nienawiści, nie dopuszcza zemsty, rozkazuje kochać i przebaczać nawet tym, co nam źle czynią, a dobrem za złe płacić. Oburza się na to duma człowieka, ale serce raduje się prawu temu.

Oto, drogi mistrzu mój, com zdumiona wyniosła z tego posłuchania, którego każdy wyraz w duszy mojej utkwił głęboko.

Czuję, mistrzu mój, że skosztowawszy prawdy, i ja urokowi jej oprzeć się nie potrafię, a choćby wtajemniczenie miało być z jakąś ciężką połączone próbą, nie wstrzymam się na drodze. Mówią, że wymagają wyrzeczenia się majętności, rozdania jej między ubogich i dobrowolnego poślubienia ubóstwa. Nie wiem, jeśli temi ofiarami okupię spokój ducha i podniesienie się umysłem i sercem nad gmin zepsuty i zezwierzęcony—nie będą mi się one wydawały za drogie.

Któż wie zresztą, jaki mnie los czeka, jeśli przyjmę chrześcijan naukę? Chodzą wieści o wzburzeniu umysłów przeciwko nim i blizkiem a srogiem prześladowaniu ogólnem. Wielu już padło ofiarą. Dotychczas można było uniknąć okrucieństwa Neronowego, ale na przyszłość? Któż wie? Mamże się cofnąć ze strachu? Nie! pójdę dalej, cokolwiek mnie czeka!

List VI

Flawiusza do Kajusa.

Zapytujesz o Sabinę, o moją dla niej miłość. Ze wstydem wyznać ci muszę najprzód, że w niej nie ostygłem, tylko nie bywam u niej.

Donosiłem ci o powstaniu sekty, zwanej chrześcijaninami, która się tajemnie rozszerzać zaczęła. Lekceważono ją z razu, ale nie tylko do Rzymu się wcisnęła; po całem państwie, jak mówią, zabobon ten się rozlewa. We wszystkich niemal podległych Rzeczypospolitej krajach sekta owa ma swych wysłańców i tajemnych siewaczy, którzy ją szczepią pomiędzy ludem i niewolnikami. Pierwszemu ona podobno obiecuje podział majętności równy, drugim swobodę i obywatelstwo. Zapowiada chwilę, gdy senatorów, rycerstwa, niewoli nie będzie, ale dziwna równość wszystkich. Grozi to państwu wywrotem i nową wojną niewolniczą, straszniejszą od pierwszej, gdyż chce równości bez wyjątku nietylko ludzi, ale narodów, obala niewolę, barbarzyńców z obywatelami Rzymu kładzie na jednej linii, i bogactwy pogardzać każe, a ołtarze bogów i świątynie wywracać.

Smiano się z biedaków chrześcijan mieszkających po jamach, kryjących się w pomroce i ciemnościach; lecz oto już podobno niema domu, któregoby niewolnicy choć w części do tego spisku nie należeli.

Zatrważa to wszystkich. Nie widzą innego ratunku nad edykt przeciwko chrześcijanom, srogie i ogólne ściganie ich, wytępienie do

szczętu; surowe prawa wreszcie przeciwko przybyszom, co nową tę wiarę przywieźli z sobą. Pilno też działać chciano, aby tajemne stowarzyszenie niewolników i przybyszów urosnąć nie miało czasu.

Z tem postanowieniem senatorowie Decyusz i Lucynus poszli do Nerona... Byłem przytomny, gdy z pokorą się o posłuchanie prosili, przynagleni przez kapłanów. Cezar z razu był dosyć rad im, bo nie cierpiąc senatorów, przy każdej zręczności naigrawać się z nich lubi, a był też pewien, że bez pochlebstwa nie przyjdą, czczego kadzidła będąc chciwy...

Nie stracone dlań zostały przykłady, które mu dali Tyberyusz, Kaligula, Klaudyusz; skorzystał z nich, przejął od nich wszystko, ale posunął dalej sztukę naigrawania się z ludzi, nad którymi panuje. Sądzi się najmniej być bogiem; jako Apollinowi drugiemu wolno mu wszystko, nawet Marsyasza żywcem odrzeć ze skóry, byle potem pięknie zaśpiewał... Ale władca świata, nudzi się, jak prosty śmiertelnik, szuka zabawy jak rozpieszczony dzieciak, goni za kadzidłami nienasycony, choćby ich miał w stajennych szukać smrodach. Dziś cytarzysta, jutro poeta, dalej woźnica cyrkowy, aktor, skoczek, rozpustnik, nie wie, co począć z życiem i szaleje. Nigdy dwa razy jednej sukni nie włożył, nigdy ludzkiego nic i przyrodzonego smaku jego nie zaspokoiło. Seneka chciał go uczonymi otoczyć i wywieść na filozofa i retora, ale pazury lwie wyrosły z pod togi, zwierz dziki zawył rozwścieczony. Czasem z chorobliwego szału zrywa się, nie wiedząc co czynić, i staje się zwierzęciem tem straszliwszem, że nie namiętność nim żadna, ale fantazya miota rozpłomieniona — wyda się to potomnym baśnią, czemu żywych oczy wierzyć nie chcą...'

Taki jest Nero. Gdyby go cnota jeszcze zabawić mogła, gdyby stotysięczny tłum jej przyklasnął, może by na chwilę znowu został cnotliwym. Nie jest okrutny z natury, jeno z zepsucia...

Gdy senatorowie weszli, dostrzegł po ich twarzach, że coś nieśli poważnego i o sprawie Rzeczypospolitej mówić mieli, zmieniło się usposobienie...

Już to samo, że oni śmieli bez niego o czemś pierwsi pomyśleć, czegoś żądać, coś radzić, obraziło cezara. Krwią napłynęła mu twarz plamista, oczy pobladły, jak bywa, gdy gniew wewnętrzny nim miota, szarpnął na sobie suknię, i podniósłszy się na łożu, czekał.

Stali tak na progu ojcowie, a Neron na łożu z kości słoniowej, okrytem purpurą tyryjską, leżał, oczyma blademi mierząc ich, milczący i chmurny. Zdawało się, że ich na śmierć tem wejrzeniem piętnował. Patrzałem z daleka, upokorzony jego siłą, a ich przestrachem. Zaniemieli starcy; nierychło przyszli do słowa, — jeden na drugiego spoglą-

dał, chcąc się nim wyręczyć. Licynus wreszcie bąkać coś zaczął, wielbiąc Cezara Augusta, ojca ojczyzny. Wrócił mu głos potrosze i dosyć zręcznie w przygotowanej mowie odmalował postrach nie tyle o państwo, co o świętą osobę cezara.

Połechtało to dumę Nerona, zresztą dawało rozrywkę. Siadł na łożu i rozesłał zaraz wyzwoleńców, zwołując na radę, kogo myśl mu przyniosła, między innemi i Kornutusa, chociaż go cierpieć nie może. Sam się znalazł niewołany Seneka; cierpko go przyjął Neron, ale tem słodziej uściskał.

Od dawna mu on już cięży, bo często się go wstydzić musi. Starzec to czuje, i tem mniej się oddala od dworu, lękając się skazania na wygnanie, donosicieli i gorszego może losu...

Gdy wszyscy się zgromadzili, kazał Neron Licynusowi rzecz powtórzyć. Słuchali milczący. Cezar to ramionami ruszał, to bezmierny gniew i strach, to niecierpliwość znudzonego okazywał.

— Wiadomo — dodał Decyusz—że się na plugawe obrzędy swe zbierają w arenaryach, więc zamurować wnijścia, zasypać otwory, otoczyć jamy, wymorzyć głodem, wydusić dymem. Po mieście ścigać, chwytać i mordować bez litości, nie przebaczając nikomu jakąbądź suknią okrytemu... W końcu cezar może ogłosić edykt przeciw wyznawcom zabobonu cudzoziemskiego, jako na nieprzyjaciół rzeczypospolitej.

Toż samo prawie mówił Licynus, godzili się inni, że trwogą ich potrzeba było wytępić, lubo Seneka sądził, że sam postrach bez zbytniego krwi przelewu starczy.

Przyszła kolej na Kornutusa.

— Ten — rzekł cezar, pokazując nań palcem, powie prawdę, nie oglądając się na nic, a pewnie taką, o jakiej myśmy nie śnili.

I śmiał się. Stojąc za drzwiami patrzałem, na Kornutusa, który podniósł głowę nieulękniony i powoli mówić zaczął:

— Dla czegóżbym prawdy nie miał rzecz, cezarze?... Prawda należy bogom i cezarom! powiem ją... Wszystko, coście uradzili, dobre jest, jeśli z fałszem do czynienia macie; a jeśli z prawdą, nie przyda się na nic.

— Śmieliżbyście twierdzić—przerwał Decyusz—że w tym zabobonie jest prawda?

— A zkądże wy wiecie, że to fałsz?—zapytał Kortunus. Wy i ja równie znamy go; któż tu jest chrześcijaninem, aby nas objaśnił? kto z nimi bliżej obcował? Nikt, przeto wiem o tem tyle, ile wie motłoch uliczny, który lada baśń powtarza łatwowierny; wiem, ile wiedzą niewiasty od przestraszonych kapłanów, co żyją ze świątyń a głodu się boją. Ja nie twierdzę, żeby tam prawda była — dodał — ale pewien nie je-

stem, czy tam jej niema. Jeżeli znajduje się choć odrobina prawdy w nauce tej, prześladowanie i krew nie pomogą, prawda zwycięży.

— Więc cóż przeciwko niej?—zapytał Neron.

— Przeciwko prawdzie, nic...

— Ani potęga moja?

— Ani nawet wasza, cezarze—odparł Kornutus — Możecie rozkazać ogniem i mieczem zniszczyć całe kraje, ale nie zetniecie głowy ani jednej wiekuistej prawdzie. Gdyby się ją wam udało udusić w kolebce, nazajutrzby się urodziła na nowo.

Neron zbladł i zagryzł usta; wiesz zapewne, że równie Herkulesem się zowie, jak Apolinem.

— Nie jestem więc wszechwładnym?—zapytał.

— Nie! cezarze, życie odjąć możecie, ale je dać nie w waszej mocy... tylko bogowie stwarzają.

Milczeli. Kornutus pochylił głowę.

— Prześladowanie, krew, postrach, wszystko to dobre przeciwko barbarzyńcom, ale bezsilne przeciw prawdzie.

— Czy i wy nie zostaliście chrześcijaninem?—zapytał szydersko Licynus.

— Dotąd nie — odrzekł Kornutus spokojnie — ale gdyby mi się ich Bóg zdawał prawdziwym Bogiem, dla czegóżby nie?

Cezar milczał. Szły potem rady różne, w których już Kornutus nie miał udziału; postanowiono tępić chrześcijan, bo wszyscy wołali, że rzeczpospolita podkopana przez nich upaść może, więc dla ocalenia jej wszelkich środków użyć było godziwie. Neron zamknął im usta, sobie ich obmyślenie zostawiając.

A gdy odchodzić mieli, Sylwiusz rzekł jeszcze:

— Nie ważcie tego lekko; kto wie, czy i na waszym dworze, wśród waszych pretoryan, wpośród sług i wyzwoleńców, nie macie już potajemnych chrześcijan.

Uderzyło to Nerona, zadumał się; ale po chwili już zdawał się wcale o tem nie myśleć. Wziął lutnię i począł śpiewać, nie wiem czemu, zburzenie Troi... Potem przybrany w dyadem złocisty, popędził na watykański cyrk swój, z niego zanieść się kazał do łaźni, wrócił na Palatyn, i pisał coś, przyśpiewując, a do wieczerzy, która trwała późno w noc, powołał zwykłych swych towarzyszów, miejsce konsularne dając Sporusowi. Na czole jego nie widać było troski, owszem rozbudzoną wesołość, taką, jaka zwykle wielkie wybuchy poprzedza. Wśród rozmów wracał nieustannie do ulubionego przedmiotu, aby Rzym na nowo odbudować i dać mu imię nowe Neropolis.

List VII.

Sabiny do jej nauczyciela Zenona.

Inaczejbym dziś pisanie moje rozpocząć powinna, mistrzu mój drogi, bo inną jestem, niż przed niedawnym czasem: — nie ową znaną ci Sabiną Rzymianką, patrycyuszów córką, patrycyusza żoną i matką, ale pokorną sługą ubogich — chrześcijanką! Tak jest, obmyta, czystsza, spokojniejsza, ślę ci ten list, rozpoczynając go prośbą, abyś i ty co najrychlej zbliżył się do chrześcijan, lepiej poznał ich naukę, i stał mi się bratem w Bogu nowym, Bogu Przedwiecznym. Uzyskasz tem pokój i szczęście ducha, jakiego ja teraz używam, chociaż nad głowami naszemi wisi groźba prześladowania i męczeństwa.

Jakżebyś ty mógł być użyteczny w rozszerzaniu prawdy, gdybyś całą ją poznał, uwierzył i szedł z nami!

Wahałam się długo, usiłując zbadać wiarę nową; sądziłam, że w niepewności trwać jeszcze będę... gdy jeden dzień, godzina, chwila nawróciły mnie, zostałam jakby oblana światłem, przejrzałam. Nie wahałam się natychmiast prosić o zjednoczenie z nowem społeczeństwem wybranych. Tak, Zenonie mój, chrześcijanką jestem, i chlubię się tem, dziękuję Bogu mojemu, że mię do siebie powołał. Codzień goręcej czuję błogosławieństwo, które spłynęło na mnie.

Tu, w Rzymie, nauka nasza cudownie się rozrasta z dniem każdym, nawrócenia są liczne i zadziwiające; liczymy do społeczności naszej mężów i niewiasty znakomitych rodzin rzymskich... Swiat odrodzić się musi, prawda zwycięży.

Ale wiele krwi jeszcze przeleje się i ofiar padnie, nim nadejdzie godzina tryumfu... Wielu z nas padnie na drodze.

Czujemy wszyscy wiszące nad sobą prześladowanie okrutne. Neron naradza się, jakby nas wytępić; starsi nasi także gromadzą wiernych, wlewając w nich męstwo i siłę...

Gotowiśmy na wszystko, co spotkać może.

W tej części Rzymu, do której zgromadzenia wiernych Ruta i ja należymy, zwołano nas niedawno do domu jednego z patrycyuszów, którego rodzina przyjęła wiarę Chrystusa. Pierwszy to raz znaleźliśmy się tu prawie wszyscy razem, i zdumieliśmy się liczbie wiernych, zadziwiliśmy się ludziom, o których powołaniu nikt nie wiedział. Niewolnicy spostrzegli tu panów swoich, panowie niewolników, matki swych synów, żony mężów, i niejeden wykrzyk zdumienia i radości dał się

słyszeć w tym tłumie. Z dworu samego Nerona, z jego otoczenia ujrzeliśmy nowych chrześcijan, którzy na zawołanie pośpieszali.

Po modlitwie zabrał głos Tymoteusz.

— Oznajmuję wam—rzekł—nowinę wielką, radość wielką i smutek zarazem. Oto zbliża się godzina próby, mamy cierpieć za Boga naszego, tak, jak On cierpiał za nas; świadczyć życiem o prawdzie, wiarę wyznawać krwią. Ale nie trwóżcie się, wszakże nieśmiertelnymi jesteśmy. Co znaczy chwila męczarni w obec szczęśliwości wiekuistej? Nie trwóżcie się, gdyż tylko krwią naszą wiara urosnąć może; świątynia Boga prawdziwego na kościach naszych założona być musi, a ołtarzami naszemi będą groty... Chodzą już wieści głuche, jak grzmoty poprzedzając burzę, o prześladowaniu wielkiem... Czuwajcie więc, bądźcie gotowi, Nie godzi się nam ani rozpaczać, ani uciekać, ani kryć się i trwożyć sobą; winniśmy życie nasze prawdzie. Jakżebyśmy inaczej dali o niej świadectwo? Słowy? Słowami wojują poganie, wiara nasza nie jest wiarą retorów, ani ziemskiej mądrości, ale ofiarą...

Tak mówił, a milczenie głębokie panowało w zgromadzeniu; potem szmer się dał słyszeć głuchy, i westchnienia, i jęki, i modlitwy.

I wystąpił jeden z ludu rzymskiego imieniem Notus, a otrzymawszy pozwolenie odezwania się, mówił:

— Dla czegóżbyśmy trwożyć się mieli? dla czego się poddawać? Z każdym dniem siła nasza wzrasta, i nieprzyjaciołom bożym potrafimy się oprzeć, obliczywszy się a śmiało stawiąc czoło. Na co mamy tracić ludzi, z których każdy nasieniem jest mającem wydać owoce?... Skupmy się tylko i rozważmy, co czynić należy. Dla czegobyśmy w obronie prawdy nie mieli do walki wynijść? Jeśli krew ma być przelana, niech będzie płodna. Jesteśmy w liczbie wielkiej, niema już prawie domu w Rzymie, w którymby nie było chrześcijanina; pójdą na nasz głos niewolnicy wszyscy, których złamiemy okowy... Ci, co nam zagrażają, zniewieściali są i bezsilni; legie ich rozsiane po krańcach państwa. Na dany znak swobody, ruszy się gmin, i przybysze, i barbarzyńcy— i powodzią krwi zalejemy nieprzyjacioły nasze.

Zdawało się, że wszyscy pójdą za zdaniem Notusa; szmer gorącego współczucia ozwał się zewsząd... Wtem nakazawszy milczenie, Tymoteusz znowu sie odezwał:

— Zaprawdę, zaprawdę—rzekł—jeszczeście z siebie skóry starych pogan nie zwlekli! Ażali myślicie, jak oni, że wszystko na świecie dokonywa oręż i siła, a nie Duch i Słowo? Mylicie się, mylicie, idąc za starym obyczajem pogańskim. Bóg nasz Chrystus miecz do pochew schować sam przykazał, i wyrzekł, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Walczyć będziemy, ale nie tą bronią, jaką nam radzicie i podajecie,—jeno cierpliwością, męztwem, pokorą, świętością, śmiercią

chwalebną, odwagą w obec boleści nieustraszoną. Gdybyśmy nawet mieli siłę przeważną i mogli słowem poruszyć tysiące, wywołując zemstę, rzeź i wywrot tego zgniłego Babilonu nieprawości, godziłożby się czynić to nam, którzy jesteśmy głosicielami pokoju i miłości? Gdybyśmy nawet mieli otrzymać chwilowe zwycięztwo, byłoby ono upadkiem naszym, świadczyłoby, że nowymi ludźmi nie jesteśmy, że nie nową przynosimy wiarę, ale starą chęć panowania i ucisku. Nie podbijać mamy, ale rozbrajać ludy; nie mnożyć bezprawie, ale prawo utwierdzać.

Wystąpił drugi i rzekł do Tymoteusza:

— Przeciwko Neronowi potężny spisek się knuje; należą doń i trybunowie kohort, i senatorowie, i patrycyusze, i rycerstwo... Wiedzą o nas, i o prześladowaniu, jakie nas spotkało i czeka... Jeżeli przyjdziemy im w pomoc, obiecują wierze naszej pobłażanie i prawo obywatelstwa w Rzymie.

Mówił, a Tymoteusz ukląkł i płakał, modląc się, aż wszyscy potrwożeni zamilkli. Wstał po chwili, podnosząc ręce do góry.

— Nie odrodziliście się jeszcze z ducha—zawołał—gdy nie w Bogu i prawdzie, ale w przymierzu z pogany i opiece ich, szukacie ocalenia. Wszystko runie i obali się za skinieniem bożem, a pracowitą mrówką, która ten dąb podgryzie, my będziemy. Ale nie w spiskach moc nasza: w pokorze i cierpieniu. A jeśliby kto napadł na Nerona, stańcie i zasłońcie go piersią waszą, bo wszelkie mężobójstwo zakazane nam jest. Nikt z was nie wie, ażali on jest biczem bożym; nikt nie wie, ażali ten, co nas zabija, nie pomaga nam; czy ten, co męczy, nie żywi; czy ten, co prześladuje prawdę, nie służy jej mimo swej woli. O, ludzie ślepi i małego serca! czyż nie widzicie, że Bóg wszelakiemi drogami iść do swych celów może, a rozum wasz zawodzi?... Padnie Neron, ale wówczas, gdy go dotknie palec Boży i usta pańskie wyrzekną: „Już dosyć!“ — i skruszy się siła nieprawości, jako trzcina wiotka, i rozproszą się ludzie, jak cienie, i runie potęga, jak podmyta przez wody skała, a wy zdumiejecie się potędze Boga... Niech spiskują ci, co wierzą w siebie; kto w Boga wierzy, niech Bogu ufa...

— Więc cóż czynić mamy? — zapytał inny.

— Trwać, wyznawać prawdę głośno i za nią umierać—odpowiedział Tymoteusz, — a umierając, przebaczyć nieprzyjaciołom, jak przebaczył Syn Boży.

— Wszak ci możemy też wyznawać potajemnie wiarę naszą—rzekł ktoś—choćbyśmy pozornie składali ofiary bogom ich?

— Nie—rzekł Tymoteusz—bobyśmy kłamali, a fałsz ust chrześcijanina zmazać nie powinien. Kto się Boga zapiera, aby ocalił życie, tego Bóg zaprze się w chwili sądu, i żywot wieczny postrada. Kto mil-

czy, małoduszny jest i niewierny. Chcemy zwyciężyć, idźmy z uśmiechem na męczarnie, a gdy ujrzą poganie, że gardzimy życiem, uwierzą w niebo i nawrócą się. Jedna jest dla nas droga prawdy, jak jeden Bóg nasz; wyznawać ją musimy głośno i cierpieć za nią.

Jeżeli spytają was, czy jesteście chrześcijanami?—odpowiedźcie: „Jesteśmy“. Jeżeli zmuszać was zechcą do zaparcia się wiary waszej, trwajcie w niej aż do męczeństwa - aż do śmierci; niech się zdumieją—strwożą i nawrócą poganie. Między prawdą, a fałszem niema środka: drogi fałszu są różne i liczne; droga prawdy jedna tylko... przeto jedną tą iść macie.

Niechaj poganie uciekają się do siły i ufają w liczbę, a sądzą, że dzieło Boże ludzkiemi środkami obalą: my wierzmy, że duch zwycięży. Przyjdzie siła z nieba trwającym mężnie w prawdzie.

— Więc wynijdźmy wszyscy—rzekł pierwszy—na pośrodek rynku, i wyznajmy głośno przed ludem, że chrześcijanami jesteśmy...

— Czyny wasze niech świadczą za was, a nie czcze słowa i przechwałki—odparł Tymoteusz.—Zamiast pogańskiej pychy, miejmy Chrystusową pokorę... trwajmy na modlitwie i czekajmy. Jeśli spytają was, nie zapierajcie się prawdy; ale nie chlubcie się siłą waszą, aby nam wydarta nie została; bo komu pilno do bitwy, ten często pierwszy z niej ucieka. Gdy przywiodą was przed ołtarze fałszywych bogów, a każą składać ofiarę, naówczas klęknijcie i módlcie się, szyję pod miecz oddając... ale nie wyzywajcie śmierci.

— Więc gdy zginiemy wszyscy—rzekł inny—zginie z nami wiara nasza, która świat odrodzić miała!

— Nie trwóżcie się, ani troskajcie—rzekł Tymoteusz—tem co boże jest. Kto zasiał ziarno, ten uchowa; wasza rzecz nie osłabnąć i nie upaść.

Modlić się potem, uklękli wszyscy i rozeszli się smutni, ale posileni jakąś otuchą.

Lecz zapominam prawie, że piszę do was, którzyście jeszcze niewtajemniczeni, tak prawie, jak gdybyście już takim byli. Wiele rzeczy, pojęć, wyrazów należałoby wam jeszcze wytłómaczyć i objaśnić. Trudno mi wszakże przychodzi odmalować wam to nowe społeczeństwo, do którego należę; w niczem ono do dawnego nie jest podobne. Dość będzie, gdy powiem, że wszyscyśmy bracią, że jako rodzina, żyć, wspomagać się, wspierać, a nadewszystko kochać się jesteśmy obowiązani. Niema pomiędzy nami bogatych i ubogich, bo pierwsi dzielą się chętnie, czem mogą, drudzy nic nie żądają i przestają na małem. Ta żądza nabywania, to ohydne żebractwo, które przepełnia Rzym bezwstydnie, u nas nie istnieje. Cóż nam po zbiorach, do których nie przywiązujemy wartości?

Miłość, która jest osią świata chrześcijańskiego, wszystkie rodzi jego cnoty, jak przeciwnie samolubstwo wszystkich pogańskich występków było matką. Z niej pragnienie i gotowość do ofiary, zaparcie się siebie, pokora. Zważcie sami, jak świat odmienić się musi, gdy wszyscy wyznawać będą tę naukę, gdy ona do głębi ludzi przetworzy. Pojmiecie rozumem waszym jasną przyszłość dnia, który ta jutrzenka zapowiada.

Myśmy w tej wierze nowi, i choć całe jej oddajemy serce, jeszcze w nas mimowoli stary poganin się odzywa; cóż dopiero będzie, gdy wychowamy pokolenia nowe, gdy cały naród ludzki ssać będzie prawdę w kolebce i przejmie się nią do głębi! W kilkaset lat, prędzej może, cudownie pięknym, jasnym, szczęśliwym świat się stanie.

Całego systemu nauki i dogmatów religii wypisać wam nie mogę, Gdybyście bliżej z nią obeznać się pragnęli, znajdziecie w Atenach i Grecyi rozsianych chrześcijan i nauczycieli. O, jakżebym była szczęśliwa, gdybyście przyszli do nawrócenia! Cokolwiek się stanie, nie potępiajcie mnie, nie sądźcie jako płochą: nie chwyciłam się nierozważnie, ale nie rzucę łatwo, co raz poślubiłam. Prosić będę Boga o nawrócenie wasze.

List VIII

Sabiny do Zenona, jej nauczyciela.

Niedawno poznałam Pomponię Grecynę, matronę rzymską, jak ja nawróconą, z której ogrodu tajemne wnijście, okryte bluszczem i winną latoroślą, prowadzi do Katakumb. Ona mnie razem z Rutą, wwiodła w ten nieznany kraj ciemności i grobów...

Wszystkie miałyśmy lampy w ręku... Najprzód schodziłyśmy po wązkich schodkach kamiennych, potem zstąpiłyśmy na wilgotną ziemię do galeryi nieforemnie w ziemi wykutej i nią doszłyśmy do cmentarza... Ciała chrześcijan nie są palone, ale starym rzymskim i greckim obyczajem składane w ziemi. Nie zamykają ich w kosztowne sarkofagi, bo ciało znikome powinno się stać prochem, nim do nowego życia wróci... Jak w kolumbaryach naszych urny, tu w wyżłobieniach z obu stron galeryi leżą ciała spowite całunami, a przy nich dla rodziny, aby się modlić mogła, dla wiernych, aby przypomnieć ich sobie zdołali, napisy na tablicach z marmuru, cegły, często na glinie tylko.

Tu są kościoły nasze... ale ich *cele* szczupłe i nieozdobne; nie mamy ani posągów, ani marmurów, ani bronzów, ani kości słoniowej

i konch perłowych, ani nic, coby przepych znikomy przypominało... Ofiara odbywa się na grobowcu męczennika lub kapłana, na prostym sarkofagu z kamienia, w małej izbie grobowej. Innych tu wyobrażeń nie znajdziesz nad te, które symbole wiary wyrażają. Ubóstwo i prostota panuje wszędzie; kapłan nie wdziewa szat kosztownych, a kielich ofiarny z prostego szkła lub niedrogiego jest kruszcu. Lecz gdybyś widział tych ludzi i słyszał ich modlitwy, pieśni, nauki!... Jaki spokój na tych wypogodzonych twarzach! jaka pogarda cierpienia i niebezpieczeństwa! jaka miłość wszystkich ku wszystkim!

To społeczeństwo, które przygniata nas stopami swemi, po głowach chodząc naszych i urągając się nam, jakże licho i nędznie wydaje się przy ubogim gminie sług Chrystusa!...

Mimo licznego zgromadzenia, które przepełniło wszystkie krypty, bo w nich na kilku miejscach odprawiały się ofiary, cisza była głęboka, wielka, majestatyczna... Ujrzałam tylko podniesione do góry dłonie modlących się i oczy zwrócone ku niebu, które czarne zasłaniało sklepienie. U wnijścia celi stali kapłani i starsi, po jednej stronie niewiasty, po drugiej mężczyźni, dalej bez różnicy stanu, ale wedle wieku tylko, sędziwi, młodsi i dziatki...

Gdym tu po raz pierwszy uklękła, przypuszczona będąc do wspólnego stołu, łzy mi biegły po twarzy... Z jednej strony klęczała Pomponia, senatorskiego rodu matrona, z drugiej Egipcyanka niewolnica, dalej Żydówka i syryjska dziewczyna, i Ruta, i znowu córki Pudensa, na których twarzach szlachetne ich pochodzenie starożytne widoczne było na pierwszy rzut oka.

Wspaniały był to widok tych ludzi, po raz pierwszy, jak świat jest światem, zrównanych...

Gdyby nowa wiara nasza nic więcej nad to nie przyniosła światu, jużby zaiste złamała barbarzyńskie tysiącowieczne, zapory, co rodzajowi, ludzkiemu tamowały swobodne jego rozkwitanie. Gdyby skruszyła tylko łańcuchy niewoli, jużby się objawiła boską posłannicą. Gdyby zamiast prawa siły, dała prawo miłości tylko, jużby niem musiała zwyciężyć.

Lecz przebacz mi, że mówię do ciebie, jak gdybyś już do nas należał. Czemuż tak nie jest?

Nic mniej podobnego do siebie nad te dwa światy: stary szalejący na ziemi, nowy modlący się pod nią... Człowiek, rodzina, społeczność zupełnie inaczej się tworzą w chrześcijańskim świecie. Tam panuje niewola, tu swoboda, którą tylko hamuje prawo miłości: — Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło. Tam są wyjątki praw dla stanów, dla ludzi, dla położeń, dla narodów, — tu jedno. Tam wyjątki są dla uprzywilejowanych—tu niema ich dla nikogo; ani swobodniejszym jest najwyższy kapłan nasz od najmizerniejszego prostaczka. Co grzechem

jest dla niewolnika, grzechem dla najważniejszego; najzupełniejsza równość moralna panuje między nami. Nie wyobrażaj jednak sobie barbarzyńskiej, zwierzęcej społeczności i stada ludzi: — mamy i my zwierzchników, przedniejszych, szlachetniejszych; ale patrycyat nasz daje rozum, cnota i miłość. Dobijać się go potrzeba czynem, nie obleka nim ani ludu okrzyk, ani dekret cezara, ale męczeństwo, stałość, zasługa, wyższość rzeczywista.

Z pośrodka tego tłumu w chwili natchnienia wynijdzie głos z ust, na których żelazo rozpieczone niedawno upadlające kładło piętno; ozwie się niewolnik nieznany — a słowo wielkie czyni go przewodnikiem drugich: czyn miłości jedna szacunek, powagę, posłuszeństwo...

Wielu z pośród nas rozdało swe mienie między ubogich, sami zapragnąwszy ubóstwa, jako próbierza cnoty i wytrwałości; inni codziennie się dzielą tem co posiadają—z bracią. Jakże słodkie są te imiona: siostry i brata! jak wiele znaczące! jaki spokój wlewają w duszę!

Po ofierze i podziale chleba, siedzący za ołtarzem na kamiennem krześle wstał, czując w sobie ducha, który mówić mu kazał... Żałuję, że ci słów jego powtórzyć nie potrafię, aleśmy wszyscy przejęci byli niemi i poruszeni do łez. Proroczo oznajmił nam zbliżanie się godziny wielkiej próby i męczeństwa, a razem kary na zatwardziałych w nieprawościach Rzymian i Nerona... Zdawał się widzieć oczyma duszy zapalone stosy, krwią zlane cyrki, wznoszące się krzyże, i pobroczone miecze, trupami płynące rzeki... Ale to, co innychby przeraziło, chrześcijan unosiło i rozżarzało, czuli się przeznaczonymi do utwierdzenia wiary, która inaczej niż w boleściach na świat przyjść nie mogła... Łzy mieszały się z wykrzykami radości; niektórzy całowali groby pierwszych męczenników, jakby się z nimi połączyć pragnęli co rychlej... inni ściskali krewnych, jakby przeczuwając pożegnanie, i mówili im:—Do widzenia się w niebie!!

Serce mi biło, Pomponia płakała, a gdy skończył się obrzęd i wierni różnemi drogami rozchodzić się zaczęli, gdy i my powoli wydobyłyśmy się na światło dzienne, ta godzina modlitwy i ofiary w podziemiach wydała mi się, jak sen, jak widzenie dziwne, i wrzawa blizkiego gościńca płynącego życiem powszedniem Rzymu uderzyła mnie wstrętliwie... Patrzałam, słuchałam z obrzydzeniem i zgrozą.

Spoczęłam w domu Pomponii, lecz musiałyśmy rozejść się rychło, ona już bowiem posądzona jest o chrześcijaństwo i wydana przez którąś ze swych niewolnic. Lada chwila więc, mimo wysokiego jej rodu, przyjść może oskarżenie, niewola, kara, której srogości za czasów Nerona nikt zmierzyć nie potrafi. Jego dzikość, podobnie jak pobłażanie, nigdy się przewidzieć nie daje. Nie widzieliśmy go przebaczającego obelgę, plującemu w oczy mu prawie cynikowi Izydorowi, a każące-

go ludzi, co mu nigdy nic nie uczynili złego, jak Torkwatus Silanus, który pokrewieństwo swe z Augustem życiem musiał opłacić!

Poszłyśmy z Rutą do domu, a od tej pory niema dnia, żebym przez Pomponii winnice lub inne jakie wnijście w naszych kryptach nie bywała. Tu nam najlepiej, tuśmy same i oko donosiciela nie wyszpieguje łez i modlitwy.

List IX,

Sabiny Marcyi do jej nauczyciela Zenona.

Ani słowa od was nie mam, mistrzu drogi, po liście ostatnim. Zasmuca mnie to wielce; byłabym niespokojna o życie wasze i zdrowie, gdyby świeżo przybyły z Aten Palladyon, którego Chryzyp widział, nie zapewnił, że widział was zdrowego i czerstwego, rzeźwo przechadzającego się pod portykiem z cieniami wielkich nauczycieli ludzkości. Przypisywać więc muszę milczenie temu chyba, że Sabina wasza chrześcijanką została i wstręt w was przez to obudza. Wiara moja, Zenonie, tę wszakże nad innemi ma wyższość, że mi nietylko dozwala, ale nakazuje kochać wszystkich, wybaczać wszystkim i żadną mądrością zgodną z jej zasadami nie gardzić. Przyznaje ona, że ją poprzedziły błyski objawienia bożego, przez mężów wybranych głoszone, jak błyskawice poprzedzają gromu uderzenie. Obawiając się wszakże, bym ci opowiadając o rzeczach wiary naszej, natrętną nie była — wolę ci mówić o sobie.

Wieść stugębna przyniosła wam już pewnie opis pożaru Rzymu, okrutnego, niszczącego, który z dzielnic jego czternastu, ledwie cztery nietknięte zostawił. Gruzy zalegają prawie wszystkie siedem gór Rzymu, choć je już okręty wywozić zaczęły.

Straciłam i ja w ogniu tym dom i znaczną część mienia mojego; ale możeż się ja skarżyć, gdy inni postradali wszystko?

Boli mnie tylko, że nieszczęśliwym braciom współwyznawcom w pomoc, jakbym chciała i obowiązana jestem, przyjść nie mogę.

Wkrótce po wygaśnięciu płomieni schroniłam się do grobowca mojej rodziny. W górnych jego izbach niegdyś odbywaliśmy biesiady, przypominając naddziadów; nieraz z matką, ze stryjami i pokrewnymi weselsze spędzaliśmy tu godziny; teraz mi ten jeden tylko został przytułek. Przykro mi, że w pięknej sali, którą teraz zamieszkuję, wszystko przypomina tych bogów, którzy już moimi nie są, inne obyczaje i pojęcia.

Zasłoniłam Jowisza z orłem, aby na niego nie patrzeć. Jowisz mój inaczej wygląda. Nie silny, nie zwycięski, nie potężny światu się objawia i ludziom, ale jak oni bolejący, jak oni umęczeni, upokorzony i wielki tylko swą boską siłą cierpienia, zwyciężającą słabość natury człowieczej.

Sądziłam, że tu samotna czas jakiś pozostanę, i rada byłam z tego, bom mogła bez przeszkody myśleć, modlić się i nad sobą pracować; ale znaleźli mię tu przyjaciele i nieprzyjaciele moi. Odkrył najprzód to schronienie Juliusz Flawiusz, zacny młodzian, którego kocham jak brata, a mam nadzieję nawrócić i do bram światłości zaprowadzić. Głębokie mam przekonanie, iż dusza jego prawdzie przystępna będzie, bo jej całe życie pragnęła. Z troskliwością matki i siostry pielęgnuję to ziarno, z którego jasny kwiat kiedyś wystrzeli. Wcale różny od Juliusza jest drugi pokrewny mój, Leliusz, Nerona ulubieniec, zepsuty jego przykładami, którego nieszczęsna jakaś namiętność w ślad za mną goni. Radabym stać się brzydką, aby się od niego uwolnić. Nie mogę pojąć, jak Leliusz potrafił odkryć mieszkanie moje, i drżę cała na wspomnienie przestrachu, którym mnie przybycie jego nabawiło.

Siedziałam u kolebki małego Paulusa mojego, gdy niespodzianie zatętniało na drodze. Sądziłam, że Juliusz przybywa, gdy posłyszałam otwierającą się bramę; wstałam na przyjęcie jego uradowana. Już miałam na ustach wykrzyk i pozdrowienie, gdy Leliusz uśmiechający się, dumny, zwycięzki stanął przedemną.

Cofnęłam się pomieszana i pobladła.

— Wiem—zawołał, widząc przestrach mój—że Sabina Marcya na kogo innego oczekiwać musiała i pragnęła powitać; nieszczęściem, nie ukochany Juliusz, ale Leliusz nienawistny się stawia. Ale czyż zawsze nienawistnym wam będzie?

— Zawsze—odpowiedziałam—dopóki Leliusz równie będzie zuchwałym i bezwstydnym... dopóki Leliusz będzie Leliuszem.

Zaczerwienił się od gniewu.

— Co to ma oznaczać?—zapytał.

— Chcecie abym wam to wytłómaczyła? — odparłam. — Uczynię to najchętniej. Spojrzcie na siebie: wyglądacież wy na męża, któregoby uczciwa mogła pokochać, a choćby znosić niewiasta? Macież przymioty, coby was poszanowania godnym czyniły? Wierzcie mi, ani włos utrefiony, ani wybielona twarz nie zyszczą serca godnej tego imienia matrony rzymskiej. Czegóż zresztą wy chcieć możecie odemnie? Znacie mnie: płochą nie jestem. Miałam męża jednego i wdową umrę... Nie miałam ani jednego kochanka i mieć go nie będę. Wiem, że inny jest obyczaj mężczyzn i niewiast, z którymi obcować przywykliście, ale ten nigdy moim nie będzie.

— Sabino!—rzekł Leliusz, blednąc i rwąc złote frendzle swojego płaszcza—przestrzegam was, zaklinam na Junonę waszą, nie obchodźcie się ze mną nazbyt surowo... nie przywodźcie mnie do ostateczności, nie obudzajcie zemsty w sercu mojem... Nie macież nic, coby na was także ciężyło i dawało mi oręż do pomszczenia wzgardy waszej?

— Więc pragnęlibyście się pomścić! O, hańbo! —zawołałam—o, wstydzie! Ty, mężczyzna, użyłbyś pogróżek i strachu, aby wymódz na kobiecie, czego przymioty twoje uzyskać od niej nie mogły! Jestże to godne tych rycerzy rzymskich, od których ród swój wywodzisz!?

— Namiętność wymawia wszystko! — krzyknął Leliusz... — miłość jest ślepa!

— Leliuszu — rzekłam — namiętność nawet człowieka uczciwego uczciwą być powinna, miłość rozumnego nie może być ślepą. Chceszże obu tych imion stać się niegodnym?

Leliusz zakrył sobie oczy, ale nie ustępował. Opisuję ci tę przygodę, bo się dla mnie zupełnie nadspodziewanie skończyła.

— Jeżeli tak—rzekł po chwili—jeśli do wzgardy obelgi już łączysz, nic mnie nie powstrzyma, chwycę się ostatecznych środków złamania twej dumy... Wiesz przecie, że jestem poufałym domownikiem cezara... żem przyjacielem Tygellinusa, który może wszystko... W tej chwili, gdym tu jest, gdy to mówię, obaj oni wiedzą, że gonić za tobą poszedłem. Neron kazał mi przed sobą zdawać rachunek z każdego kroku. Okryty pośmiewiskiem i wzgardą, znajdę tych, co za mnie pomścić się potrafią... użyję sposobów...

— Jakich?—zapytałam zdziwiona.—Cóż ty mi możesz uczynić? co oni?... Zabić chyba każecie?

— Gorzej nadto — przerwał Leliusz — mogę cię poniżyć, zbezcześcić... W domu twoim znaleziono ślady chrześcijańskich zabobonów; ty, czy twoje niewolnice należą do sekty, nie wiem,—ale ja oskarżę ciebie... powłoką cię do więzienia... któż wie? może na śmierć i męczarnie...

Usłyszawszy te słowa, z największą pogardą i oburzeniem cofnęłam się od niego.

— Podły jesteś!—zawołałam...—Gdybym ja takiemu nikczemnemu postrachowi uległa, stałabym się również jak ty podłą... Nie lękam się ani więzienia, ani męczarni, ani śmierci!

Leliusz przeląkł się siły, z jaką rzuciłam mu w oczy wyrazami temi, ale złość w nim jeszcze kipiała.

—Nieugięta jesteś! — zawołał z cicha — miałażbyś istotnie być chrześcijanką?

Milczałam przez chwilę: sumienie moje i nauka wyprzeć się wiary nie dopuszczały, a jedno słowo oddałoby mię na pastwę niegodziwemu

prześladowcy. Wyznaję, że pierwszy raz w życiu wystawiona na tak ciężką próbę, zadrżałam w duszy.

Leliusz spostrzegł, jak się zdaje, niepewność tę, obawę jakąś, wahanie, i powtórzył natarczywie:

— Jesteś więc chrześcijanką?

Spojrzałam na kolebkę dziecięcia, serce mi biło, czułam, jak łzy gorące spływały mi po twarzy. Paulus mój mały, na pół rozbudzony rozmową, otwierał oczy i rączki swe ku mnie wyciągał, nie wiedząc, że miłością macierzyńską kusi mnie do odstąpienia Boga.

Ale w tej chwili niepewności straszliwej, w której stałam na krawędzi pomiędzy dwoma światami, poczułam jakby jasność i siłę z niebios spływającą na mnie. Serce uderzyło mi nie pokorą, ale dumą chrześcijanki, córki prawdziwego Boga.

— Tak! jestem chrześcijanką! — zawołałam, mierząc go wzrokiem porunującym. — Oto masz, Lucyuszu, ów oręż, któregoś pożądał; masz broń donosiciela; miecz, co mi życie odebrać może. Jestem chrześcijanką i nie zaprę się tego, chlubię się tem przed tobą... wyznam to ciągniona na stos i męczeństwo... Ale powiedz mi — dodałam — kim ty jesteś? ty, co dla nasycenia namiętności nikczemnej, dla zemsty, poświęcasz sumienie, szlachetność, poczciwość?

We mnie przed chwilą odbywała się walka ciężka; teraz na Leliusza twarzy ujrzałam drugą podobną. Reszta uczciwych uczuć jego serca biła się z zepsuciem w nie wszczepionem; widziałam, jak się wahał, słabł, jak błąkał się w niepewności co począć? I przeraziłam się prawie, gdy ten przed chwilą dumny, złośliwy ulubieniec Nerona, padł przedemną, składając ręce, zmieszany, przelękły, jak piorunem rażony.

Oczy moje patrzały, a dusza wierzyć nie chciała.

— Przebacz mi—rzekł stłumionym głosem—byłem szalony, byłem zbrodniarzem... tyś wielka, tyś niezłomna, tyś jest uwielbienia godna, jam nikczemny! Bog twój dał ci siłę zwycięską.

— Wstań—rzekłam—Leliuszu! ten Bóg, boś dobrze powiedział, dać może tobie tęż samą siłę i potęgę: możesz oczyścić się i stać nowym człowiekiem.

— Nie—odparł smutnie Leliusz, którego siły się wyczerpały—ja tak czuję się skalanym, spodlonym, że nic mnie podźwignąć nie potrafi. Szał rozpaczy gnał mnie do takich jak dzisiejsze zamysłów i kroków; otoczony byłem widokami, które mnie podżegały... przebacz ty mi, Sabino!

A po chwili, spoglądając na mnie, jakby z obawą jakąś, zapytał:

— Prawdaż to, że ty jesteś chrześcijanką? byćże to może?

— Jestem w istocie--odpowiedziałam śmielsza—i dlatego ani męczarnie, ani śmierć, strasznemi dla mnie nie są. Wiara moja daje mi tę siłę.

Z dziecinną prostotą zabobonnego człowieka zapytał strwożony:

— Powiedz mi, więc kapłani wasi mają tajemnice napoju, który w was wlewa to męstwo?

Uśmiechnęłam się mimowoli.

— Tak jest w istocie—rzekłam—ale napój ten święty, tym tylko wlewa siły, co wierzą w naszego Boga, a i zabija, truje niewiernych. Z jednego kielicha piją śmierć jedni, drudzy życie nieśmiertelne...

Umilkł, patrząc wciąż na mnie z jakąś trwogą.

— Więc ty nie boisz się umrzeć?—zapytał.

Dla czegożbym się miała lękać śmierci, która po życiu nędznem i znikomem otworzy mi wieczne życie? My zmartwychwstajemy na drugim, lepszym świecie...

Zamyślił się, stał się pokornym i jakby innym wcale człowiekiem.

— Gdzież wiary tej nauczyć się można? gdzie dostać tego napoju?—zapytał.

— Leliuszu—rzekłam—nie jest ta wiara tajemnicą, nauczy cię jej każdy chrześcijanin, a jest już wielu między Rzymianami. Ale przysposób duszę, choćby nauką pogańskiej mądrości, a dobrze uczynisz. Filozofia grecka jest przeczuciem naszej wiary w jednego Boga...

— Jak to! w jednego Boga?—zapytał zdziwiony.

Oszczędzę ci opisu dalszej mojej z nim rozmowy. Z trwogi, jaką mnie nabawił, przeszłam do spokoju i pociechy. Zdaje mi się, że Leliusz nawrócić się powinien. Zaniedbany, zepsuty, słaby, ma wszakże jeszcze w sobie coś szlachetnego. Chociaż w pierwszej chwili wyobraźnia jego tylko uderzona została, wzruszyło się serce, ono za sobą umysł pociągnie. Różnemi drogami ludzie różni idą do jednej prawdy.

Zarzucił mnie pytaniami, na które odpowiadałam, jak mogłam i umiałam, zmuszona stosować się do jego wyobrażeń, a nie zdradzać przedwcześnie tajemnic, których odkrycie mogłoby dziwne w nim obudzić domysły.

Już mnie był pożegnał i miał odchodzić, gdy przypomnienie zobowiązań względem Nerona i Tygellinusa wstrzymało go jeszcze.

— Cóż pocznę?—zapytał mnie—jeśli zapytają i zechcą wiedzieć, jak się między nami skończyło?

— Nie umiem ci radzić—odpowiedziałam. — Moja wiara nie dopuszcza mi, nawet dla ocalenia życia, namawiać do wyrzeczenia fałszu. Mogłażbym tobie życzyć, czegobym nie popełniła sama?

— Lecz jeśli im powiem prawdę, ty będziesz zgubiona?—zapytał.

Milczałam.

— Nie—rzekł po chwili namysłu—nie powiem im nic... dowiesz się poźniej co pocznę...

Wyznaję, że z niecierpliwością oczekiwałam dni następnych i wiadomości od niego; przybył nareszcie posępny i zmieszany.

— Radźcie mi, pomóżcie, wesprzejcie—rzekł na wstępie. Nie poznaję sam siebie, nie wiem, co się stało ze mną. Wielka zmiana, nie pojęta zaszła w duszy mojej. Przekonałem się o niej z tego, że to, co zwykle rozrywało mnie, co cieszyło, stało się teraz wstrętliwem i obrzydłem... Powołany, przybyłem na dwór. Neron biesiadował, kazano i mnie zwykłe zająć miejsce przy uczcie. Sam cezar zapytał mnie szydersko, jak mi się w mej wyprawie powiodło? Musiałem począć od kłamstwa, mówiąc przed nim, że odjechaliście do Tuskulum, i żem was już nie znalazł, a gonić nie śmiałem. Dano mi pokój, widząc mnie strapionym. Lecz ja sam nie poznawałem siebie wpośród tych ludzi i zabaw, do których przywykłem. Ohydnymi wydali mi się Nerona otaczający pochlebcy, jak gdybym ja sam do nich nie należał; ohydnym i poczwarnym on sam, gdy na pół pijany pod koniec uczty Aktei przyjść kazał i bezwstydną rozpustą chlubić się począł przed nami. Zdało mi się, żem widział do koła trupy tych, których dla namiętności swych poświęcił. Późną nocą szkaradna skończyła się biesiada. Neron był opity i senny; kąpiel ciepła zwiększyła jeszcze tę ospałość. Niewolnicy zanieśli go wprost na łoże, a na mnie przypadła kolej czuwania w sąsiedniej izbie. Od niejakiego czasu zawsze ktoś nocą w blizkości czuwać musi na straży. Usnął z razu i cisza panowała dokoła; ja przy lampie siedziałem znękany, gdy na północy gwałtowne krzyki z łożnicy słyszeć się dały. Faon, który u progu leżał na ziemi, i ja pobiegliśmy przerażeni na ratunek. Wchodząc do sypialni, ujrzałem go na wysokiem łożu, na którem zwykł sypiać zawsze, nogami już na wschodkach przystawionych do łoża, z oczyma otwartemi, z potarganym włosem, z zapienionemi usty, siedzącego i drżącego.

Palcami wskazywał ku ciemnym kątom izby i wymawiał niewyraźnie: „Agryppina... Oktawia... Brytanikus!... Precz... furye!"

Sen widać straszliwy go przebudził; oczyma wodził wkoło, jakby widma jakieś senne jeszcze się przed nim błąkały. Gdyśmy weszli, powoli dopiero zaczął przychodzić do siebie. Rozkazał natychmiast słabym głosem ofiarę przygotować bogom piekielnym i cieniom matki. Słowa jego ledwie były zrozumiałe, tak niewyraźnie je wymawiał, rzucając się i miotając ciągle.

Przy łożu stało owo bóstwo niewieście, najulubieńsze cazarowi, darowane mu niegdyś przez nieznajomego; pochwycił je i przed niem także uczynił ofiarę. W miarę, jak ochłaniał z przestrachu, stawał się spokojniejszy; zawołać kazał potem Poppeę; aby przy nim siedziała—myśmy odeszli.

Takie było opowiadanie Leliusza; kończył je, gdy Juliusz nadjechał. Widziałem niezmierne zdziwienie jego, gdy postrzegł siedzącego u mnie Leliusza; prawie gniew błysnął w oczach jego, alem mu go natychmiast odjęła kilku słowy, polecając krewnego i zwiastując cudowną zmianę.

Leliusz ułagodzony, prawie bojaźliwy, sam przyszedł do Flawiusza, oddając się w jego opiekę. Obu ich razem odprawiłam wkrótce, spodziewając się kilku moich współwyznawców na wspólną modlitwę. — Widzicie jakie cuda sprawiła siła wiary naszej. Opisałam ci to, abyś zrozumiał, dla czego co dzień się więcej w niej utwierdzam i Paulusa powoli oświecać zaczynam. O! gdyby i na tobie wyrazy moje wrażenie jakie uczynić mogły!

List X

Juliusza do Kajusa.

Codzień mniej w sobie czuję do pisania ochoty, Kajusie miły, choć nie dla tego, abym w przyjaźni mej dla ciebie miał stygnąć, ale że mimo bogatej do listów treści, więcej pracuję umysłem. Nadto też jesteśmy od siebie daleko: pismo rzadkie nie starczy na wytłómaczenie ci tego, co się dzieje ze mną. Obawiam się naostatek, abym ci się nie wydał śmiesznym. Są rzeczy, które ominąć muszę, a ty odgadnąć nie potrafisz. Bez nich reszta niezrozumiałą się staje. O czemże ci mam donieść? Jestem smutny, niepewien siebie, prawie do życia zniechęcony. To, na co patrzę, często nie zrozumiałe jest dla mnie, ciągle przykre.

Zapowiadane od dawna prześladowanie chrześcijan rozpoczęło się, i nad miarę jest okrutne. Więzienia pełne, krew się leje strugami, w amfiteatrze mają co szarpać dzicy afrykańscy goście, mają nad kim sił próbować kaci. Wymyślają męczarnie, o jakich nikt nie słyszał, jakby dla nich tylko stworzone. W ogrodach chrześcijanie palą się słupy żywymi, oblani smołą, lub przywiązani do drzew, nieruchomie oczekiwać muszą na dzikich zwierząt napady. Mówią, nie ręczę za prawdę ani za fałsz powieści, że nawet sam Neron, w skórę zwierzęcia odziany, bawi się rzucając na bezbronnych, a po nim resztki dopiero mają wilki i lamparty.

Lecz przyznać potrzeba, że nigdy okrucieństwo mniej na tych, między któremi siać miało trwogę i przestrach, nie robiło wrażenia. Nikt tak umierać jak oni nie umiał, nawet gdy śmierć poprzedza długa, wymyślna męczarnia.

Patrzymy na to, zdumiewając się codziennie. Śpiewając idą na ścięcie; na stosach płonąc, śpiewają; z tysiąców ledwie setny osłabnie i zgodzi się przed posągiem złożyć ofiarę, a często po dopełnieniu obrzędu, przejęty zgrozą, do współbraci na męczeństwo powraca. Kapłanom naszym włosy powstają na głowie; nie wiedzą, czemu przypisać tę siłę niezwyciężoną, i wierzą tylko w jakieś indyjskie czary. Mnóstwo Rzymian, patrząc na te obrazy śmierci ponoszonej tak mężnie, nawróciło się i nawraca; mnoży to liczbę ofiar. Ci, co lepiej o tem wiedzą odemnie, upewniają, iż od czasu okrutnego prześladowania, liczba chrześcijan pomiędzy ludem rzymskim, w dwójnasób się zwiększyła.

Zasypano już w kilku miejscach otwory arenaryów; tłumy w nich, jak mówią, zginęły; ale przez okno i przekopy słyszano ich do zgonu śpiewając swe pieśni. Głosy te cichły, liczba ich się zmniejszała, w końcu grobowa cisza oznajmiła, że wszystko skończone, że męczeństwo się dokonało. Lecz cóż na to powiesz, iż prześladowanie nie odstrasza? Nazajutrz po krwawych wyrokach, na placu, kędy ciała ich rzucono na pastwę psom zgłodniałym, nie znajdziesz śladu rzezi, krwi, ani trupów. Kobiety, dzieci, starcy, wśród ciemności biegną zbierać te szczątki, gąbkami i płachtami wyciskają krew z ziemi, i z poszanowaniem chowają jako najdroższe pamiątki.

Opowiadano mi o cudownych nawróceniach katów i oprawców samych, żołnierzy pretoryańskich kohort, niewolników Cezara, i gdybym wiarogodności opowiadań nie miał dowodów, mieniłbym je niemożliwemi.

Widzisz więc, jak stoją sprawy nasze.

Chciwość pieniędzy, których braknie Neronowi, równie jest straszliwa, jak jego rozrzutność. Niesłychane sumy pobrali skoczkowie, i histryoni; kosztowały wiele tryumfu wszelkiego rodzaju igrzyska i owacye; nareszcie się też złota przebrało. Marzenie o zakopanych Dydony skarbach w Afryce, jak sen na jawie się rozeszło; topią więc posągi bogów pochwytane w świątyniach Achai, zabierają ofiary z naszych celi, testamenta łamią, a skarb sam dziedziczy. Bogatym czasem umierać każą, aby zbyt długo na ich dziedzictwo nie czekać; kary wszelkiego rodzaju nakładają na niewinnych, aby występki swoje wyżywić mogli. Grecya o pomstę do niebios woła za opustoszone swe świątynie; sam Seneka nawet, ostrożny w sądach, odważył się to podobno świętokradztwem nazwać. Milczą inni. Neron powiada otwarcie, że nie chce w państwie mieć bogatych. Lud więc tylko ma pozostać, ciemny i ubogi, i już zapowiedziano zagładę senatowi, rycerstwu, uczonym, poetom, wszystkiemu, co głową po nad tłum sięga.

Trazeasz, Kornutus i innych wielu, już na śmierć lub wygnanie napiętnowanymi się czują. Cnotliwym, prawdomównym, nieulęknionym być się nie godzi: mogliby ludzie porównywać, urokowi cnoty dać się pociągnąć, wreszcie więcej je cenić, niżeli śpiew cezara, jego wozy i teatralne sztuki.

Zaprawdę, Kajusie drogi, szczęśliwym jesteś, że na to nie patrzysz, że możesz z daleka wierzyć w Rzym i wielkość jego, patrząc na orły zwycięzkie, pamiętające przeszłość. Bogdajby też orły wasze swobodę, godność dawną, życie stare na skrzydłach nam swych przyniosły, i cnotę w Marsowych wykąpaną trudach! Któż wie? My w was jakąś pokładamy nadzieję, ty lepiej wiesz słuszną, czy ułudną? Niech ci tak wszystko sprzyja jak ja.—Bądź zdrów!

List XI

Juliusza do Kajusa.

W tych dniach ciężkiej próby, podziwienie moje obudza Leliusz, nie poznaję go. Obawiałem się słabości i przestrachu: obojętność na śmierć znajduję i niespodziewane męstwo.

Niewiele wierzę w zmiany ludzi nawykłych do złego; dla tego nie tak Neron mnie dziwi, jak Leliusz prawie przestrasza. Tylko wpływowi Sabiny przypisać mogę tę jego stałość, człowiek ten widocznie walczy z sobą, by się przerobić—i blizki jest zwycięztwa.

Po długiem milczeniu, gdyś już może o życiu mem nawet zwątpił, nie list ci ślę, Kajusie drogi, i pozdrowienie, ale całą niemal księgę.

Sabina przeniosła się do domku, nabytego między Apijską a Ostyjską bramą. Pojmowałem dobrze, co ją w te strony pociągało: sąsiedzwo krypt, do których gorliwie uszęszczała, już się z tem prawie nie tając. W nieustannej też o nią musiałem być obawie, z powodu zbytniego narażania się na niebezpieczeństwo. Ta niewiasta, niegdyś przywykła do wygodnego i cichego życia, teraz w pracy, w niedostatku i postrachu pędziła długie godziny. Widok ten serce mi krwawił, lecz rady znaleźć nie mogłem:—nie słuchano mnie.

Nie było prawie dnia, żebyśmy o nowem jakiem nie posłyszeli męczeństwie. Chrześcijanie, czcząc zmarłych, którzy dotrwali w wierze swej do ostatka, około ciał ich i krwi jak największe mieli staranie; zbierano je, jak najdroższe pamiątki. Nieraz zakrwawione z wieczoru

place, gąbkami i chustami w nocy oczyszczano, tak, że nazajutrz na nich śladu dopełnionych morderstw nie było.

A musiano się ukrywać przed strażami, przekupywać je nocą skradać się niepostrzeżonym, ażeby tego pobożnego dopełnić obowiązku.

Sabina wespół z innemi niewiastami, Pomponią Graecyną, dwiema córkami Pudensa, Praksedą i Pudencyanną. wychodziły co noc prawie, niosąc z sobą naczynia na krew, wodę i gąbki, powracały z zakrwawionemi chustami, kryjąc często w sukniach poucinane głowy, które nazajutrz razem z ciałami z poszanowaniem w kryptach składano. Niekiedy przynosiły tylko garść popiołów i trochę kości. Kilku dyszącym jeszcze niedobitym strzałami, a za umarłych rzuconym na placu, udało im się tak ocalić życie.

Ja, choć niezupełnie chrześcijanin, bo się do neofitów liczyłem tylko, chętnie pomoc do miłosiernych ofiarowałem uczynków. Musieliśmy nieraz z trudnością wymijać straże, uciekać ścigani, a trupy i rannych naszych ukrywać starannie, aby jednych od profanacyi, drugich od pewnej obronić śmierci. Nie, Kajusie drogi, gdybym ci nawet potrafił odmalować to życie niepokoju, pracy, niebezpieczeństwa, wśród którego nie było chwili na spoczynek i wytchnienie — tobyś nie uwierzył słowom moim. Jednakże słabe niewiasty wytrwać w niem, nawyknąć do niego umiały; tysiące ciał ich rękami pogrzebanych liczono. Nieraz trafiało się, że wysłane straże chwytały nieszczęśliwe ofiary wśród pobożnego zajęcia, które za występek poczytywano; nazajutrz stawiano przed ołtarz Jowisza, aby mu cześć oddawały, i wzbraniające się karano śmiercią w tem samem miejscu, w którem pochwycone zostały... Trzeciego dnia u ich już ciał martwych nowi krzątali się bracia, niezlęknieni ich losem.

Leliusz i ja chodziliśmy z Sabiną, z Rutą i kilku innymi towarzyszami, aby w przypadku od niebezpieczeństwa je zasłonić. Jego jak mnie równe ogarnęło pragnienie poznania tej nauki, która czyniła cuda takie, wlewała siłę i urągała się śmierci.

Wyprzedzał mnie nawet ów zniewieściały gach Neronów w nawróceniu się i podziwem dla mnie się stawał. Wcale bowiem inaczej ja i on szliśmy ku światłu. On z zapałem młodzieńczym, prawie z gorącością niewieścią, ja z przestrachem jakimś i nieśmiałością. Po tak nieszczęśliwie odkrytym spisku Pizona, Leliusz, udając chorobę, zupełnie się od dworu matkobójcy usunął. Tygellinus, choć może się czego domyślał, nie uznając go za niebezpiecznego, zaniechał śledzenia jego kroków. Naówczas Leliusz, swobodny, oddał się cały wyuczeniu się wiary chrześcijańskiej. I gdy ja, badając każdy krok, posuwałem się z obawą i rozwagą, on z namiętnością prawie biegł, jakby go tylko nowość ujmowała.

Przeobleczonego gacha niktby był teraz nie poznał, tak surowe przybrał oblicze, tak niepozorne szaty, tak się zaniedbał i opuścił. Całe dni spędzał po kryptach, na modlitwach i słuchaniu nauk, posługując starszym, podejmując najcięższe prace. Zdumiewałem się, zazdrościłem mu. O ile dawniej nie znosiłem go i brzydziłem się nim, teraz musiałem uwielbiać. Sabina, której to jest dziełem, unikała go wszakże, aby się przekonać, że nie ziemska namiętność, nie sama chęć zbliżenia się ku niej powodowała nim.

Tak nam przeszedł czas jakiś w trwogach i niepewności. Mnie ocalony cudownie Celsus dawał schronienie, gdyż w pałacu nie pilno mi było zamieszkać: tu bliżej przynajmniej Ostyjskiej bramy i Sabiny, częstszą o niej miałem wiadomość. Widywałem ją nawet czasami, chociaż znajdowałem u niej zawsze jednego z sędziwych chrześcijan, i nie rozmawialiśmy o niczem innem tylko o wierze, z którą w ten sposób coraz się więcej oswajałem.

Płochym nie byłem i nie jestem, Kajusie miły, ani tak jak Leliusz wrażliwym i namiętnym, ani mej wyobraźni zbytniego nad sobą dopuszczam panowania; raczej sceptykiem i zbyt ostrożnym uczyniło mnie życie. Zimnym rozumem więcej, niż sercem badałem naukę; jako poganin jeszcze chciałem ją poznać, nimbym się jej oddał cały. Uwierzysz gdy ci powiem, żem ją o całe niebo znalazł wyższą nad to, co u nas filozofia i religia razem w sobie mieszczą. Jak ze wszelakiej nauki tak i z tej umysły wykrętne, chęć panowania nad drugimi, sprawy i potrzeby ludzkie, miłość własna i sofizmat, mogą uczynić to, czem ona wcale nie była u źródła; lecz sięgnąwszy do niego, prawdziwie boskiego zaczerpniesz napoju. W zdrowych sercach i głowach nauka ta będzie żywą odrodzenia wodą; w zgniłych, cóż się nie stanie trucizną?

Lecz powracam do opowiadania toku, który niepotrzebnie przerwałem. Męczeństwa nie ustawały, chrześcijanie wyjęci z pod prawa, zdani na łaskę niższych urzędników, na ręce katów bez serca, zapełniali więzienia, służyli za igraszkę tłumom. Nie było nic stałego w postępowaniu z nimi: los ślepy rządził życiem, śmiercią, męczarnią, rodzajem zgonu i męczeństwa. Zależało od dnia, od człowieka, często od usposobień tłumu, co z nimi uczynić miano... Jedni, zdani na straż mniej srogich ludzi, potrafili ich swoim przykładem nawrócić, a nawet odzyskać swobodę; drugich męczono wymyślnie. Często dziwactwo oprawcy przyśpieszało godzinę ostatnią, a opieszałość lub litość ułatwiały z więzienia ucieczkę.

Nie dziwie się, że wielu Rzymian samo oburzenie przeciwko tym okrucieństwom ku nowej nauce pociągnąć mogło. Nie szanowano bowiem

nikogo, kto tylko imię chrześcijanina nosił, ani siwych włosów starości, ani słabego, dziecięcego wieku.

Dziewice rzucano na pastwę rozbestwionemu żołdactwu; dzieci z rąk matek wyrywane ginęły pod kopytami koni, ze strzaskanemi o kamienie głowami. A któż wyliczy urągowiska, szyderstwa, naigrawania się z męczarni bezwstydne, nieludzkie! Serca szlachetniejsze ściskać się na to musiały, umysły zacniejsze oburzać. To też można rzec, że każde widowisko, na które tłum śpieszył, tylu chrześcijan czyniło, ilu ich ginęło.

Z cudownym bowiem spokojem i pogodą szli na śmierć, jak owa rodzina, którąśmy niegdyś, ja i Sabina, widzieli rzuconą na pożarcie zwierzętom. Niezmiernie mała stosunkowo liczba uległa strachowi, i ocalając życie, skalała je.

Nieraz pieśń chrześcijan, nucona mimo chłosty katów, stłumiła krzyk tłuszczy i milczącym strachem przejęła lud — na którego czołach widać było przerażenie posępne...

Szły te ofiary, jak na ucztę zwycięzką, ze złożonemi rękami, niewolą wycieńczone, zbite, wybladłe, a wesołe i opromienione.

Zdawało się, że barbarzyństwo oprawców prędzej się zmoże, niż święta męczenników cierpliwość. Ale nie: ilekroć wstrzymywała się zajadłość, ostygała wściekłość, wnet coś tajemnego znowu ją podżegało.

Z obawą poglądałem na Sabinę, sądząc, że ten stan niepewności i strachu zdrowie jej nadweręży, stałość obali; lecz widziałem codzień śmielszą, pewniejszą siebie. Nie unikała nawet wypadków, które jej samej grozić mogły. Ponieważ wchód do krypty z ogrodu Pomponii był dosyć oddalony, a naostatek i sama Pomponia oskarżona o przyjęcie chrześcijaństwa, przez swą rodzinę w niewoli prawie trzymana była, gdyż los jej oddano familii przez łaskę szczególną; przeto Sabina zajęła się przekopaniem od ostyjskiego domku galeryi podziemnej, do najbliższej krypty. Rzecz nie tak była łatwa, jak się jej zdawało, z powodu służby i niewolników, którym ufać nie było można. Wprawdzie powoli znaczna ich część nawróconą została, ale wielu się wahało i obawiało, innych ani się pozbyć, ani oświecić nie zdawało się rzeczą możliwą.

Sabina pragnęła mieć z razu wchód z sieni lub ogrodu, prostą płytą marmuru przykryty; musiała jodnak przyzwolić na umieszczenie go mniej widocznie w głębi ogrodu; gdzie pod pozorem studni roboty rozpoczęto.

Chrześcijańscy robotnicy, obeznani z tą robotą, wykopali najprzód wchód podziemny, a dalej pracować już mogli ukryci w nim, ziemię nocami wywożąc potajemnie.

Ustawiono ganek ozdobny, w rodzaju tych, aby wnijście zabezpieczyć i pokryć robót tajemnicę. Leliusz i ja, w ubraniu robotników, częstośmy godzinami całemi pracowali w tej podziemnej kryjówce.

Naostatek, dzięki zręczności kierującego kopaniem starego Dyonizyusza, przejście to połączone zostało z siecią galeryj dawniejszych. Z wielką pociechą przyjęła wiadomość o tem Sabina, poświęcono galerye, a Leliusz doradził, aby na wypadek zamurowania lub zasypania krypt, które się zdarzało nieraz przy wzrastającem prześladowaniu, galeryę nową tak od nich oddzielić, aby wnijście do niej niedostrzeżone być mogło. Urządzono w istocie mur ruchomy, który rozpoznać było trudno.

W pamiętnym dla mnie dniu, gdym i ja razem z innymi neofitami zszedł do krypt na nabożeństwo, odbywała się właśnie ofiara wieczorna i agapy, gdy stary Dyonizyusz wpadł z oznajmieniem, iż tłum z żołnierzami główniejsze wnijścia do krypt obległszy, ziemią je i kamieniami zawala. Z początku instynktem ludzkim porwali się wszyscy, jakby biedz chcieli i uciekać; lecz jedno słowo kapłana wstrzymało ich na miejscu. Pobladły twarze, ale modlitwa nie była przerwana... Niebezpieczeństwo w istocie trwało tylko dopóty, póki tłum był u wnijścia, a ten długo tam pozostać nie mógł. Mnóstwo bowiem skrytych galeryj prowadziło w różne strony. Z dala dochodził nas szelest sypiącej się ziemi i dzikie, stłumione głosy germańskich żołnierzy. Z góry przez kilka otworów, zwanych *luminare*, które odkryli napastnicy, sypała się na nas ziemia i rzucano ogromne bryły kamieni; ale tych łatwośmy uniknąć mogli, zasypania zaś całych krypt nie było się co obawiać.

Napad straszny był, ale w istocie nie zbyt groźny. Po odbytem nabożeństwie, lud się wedle rozkazu starszych porozdzielał, i tajemnemi przejściami rozchodzić począł. Wysiłek prześladowców był nadaremny, nikogo nie dotknął, prócz kilku pochwyconych przy nieostrożnym wyjściu.

Spokojnie prawie zdążaliśmy do ogrodu Sabiny, gdy wychodząc z krypty, spostrzegłem jej dom w oddaleniu otoczony strażą, zajęty przez ludzi obcych, z pochodniami przebiegających pokoje, jak gdyby kogo szukali. Ujrzawszy to, zaklinać ją zacząłem, aby uciekała lub do krypty powracała, ale mnie odtrąciła z lekka i rzekła spokojnie:

— Oddałam ci w opiekę Panlusa mojego, jedyne dziecię, cały mój skarb na ziemi; ty żyć powinieneś dla niego; ja czuję, że godzina moja wybiła. Wielekroć ominęło mnie męczeństwo, dziś gotowa jestem na nie.

— Jeżeli go pragniesz—rzekłem—nie powstrzymujże mnie, dozwól mi iść z sobą. Wstydu tobie, ani chrześcijanom nie zrobię, choć neofita...

Sabina ze złożonemi rękami uklękła przedemną.

— Na jedynego wielkiego Boga—zawołała—zaklinam cię, Juliuszu, tyś opiekunem dziecięcia mojego, uciekaj!

— Tyś jego matką—odpowiedziałem—żaden opiekun nie zastąpi mu ciebie; dozwól mi iść lub uciekajmy razem...

— Ale dokądże uciekniemy?—zapytała;—jestże na ziemi miejsce, gdzieby się od miecza cezara rzymskiego skryć można? Nie hołdująż mu wszystkie ludy i ziemie wszelkie? Zważ, że jeśli dom mój naszli, ja już jestem oskarżona, winna, potępiona; już wiedzą, żem chrześcijanka; po cóż mam oddalać tryumfu mojego godzinę? — Juliuszu, jam już skazana, o tobie nie wie nikt: dla czegoż masz popełniać samobójstwo i dziecie moje pozbawiać jedynej opieki?

— Gińmy więc razem — rzekłem — ja uciec nie mogę, nie chcę, nie godzi mi się. Paulusa twojego Bóg będzie ojcem i opiekunem. Idę z tobą!

Naówczas, usiadłszy na poręczy studni, poczęła płakać, a jęki jej rozdarły mi serce; poczęła prosić i zaklinać. Powiedz mi, cobyć był naówczas uczynił? Com ja miał uczynić, aby obowiązku dopełnić? Dziś jeszcze, myśląc o tem, nie wiem, co szlachetniejsze, co godniejsze było Rzymianina i chrześcijanina: czy z nią iść na śmierć, czy pozostać? Wiem tylko, że bolało mnie to, iż zostać musiałem, gorzej, niż obawa śmierci.

— Juliuszu—rzekła wstając—widzisz, że jestem wydana im jako chrześcijanka; powtarzam ci, szukają mnie, los mój nieuchronny. Bóg nie chce w człowieku ani słabości, ani bezużytecznej ofiary, równającej się samobójstwu. Tyś potrzebny i dziś jeszcze ocalonym być możesz. Nie doradzam ci fałszu; jeżeli przyjdzie uroczysta godzina, w której i ciebie zawezwą, abyś dał świadectwo prawdzie, stań mężnie, nie ugnij się, wyznaj Boga i umrzej dla niego. Lecz dziś, w imię tego Boga, rozkazuję ci—zostań dla mojego dziecięcia!

Złamany, nic już nie rzekłszy, padłem na ziemię.

— Bracie mój —zawołała Sabina—rzymskim zwyczajem, gdy umiera bliski krewny, na ustach jego kładzie najdroższy mu z rodziny pocałunek ostatni, jakby duszę jego chciał pochwycić... Duszę moją oddaję Bogu, ale braterskim pocałunkiem ciebie żegnam... którego ednegom kochała na ziemi...

Wyrazy te słabszym wymówiła głosem, ale wnet męztwo jej wróciło, położyła mi ręce na ramionach, ustami dotknęła warg moich, i śmiałym, żywym krokiem puściła się ku domowi, dając znak nakazujący ręką, abym pozostał.

Paulus!—było ostatniem jej słowem.

Pobiegłem za nią ku oknom domowstwa. Tłum gwarny, żołnierze, niewolnicy jacyś zalegli sień, wśród komnat migały ich pochodnie... Wysłańcy Cezara badali sługi Sabiny, z których słabsi ulegli postrachowi męczarni i śmierci. Ruta jedna stała nieporuszona, milcząca, z rękami złożonemi na piersiach.

Zajadły prześladowca chrześcijan, znany z tego, że sam ich dobrowolnie ścigał i na kary wydawał, odarty kapłan pogański i wyzwoleniec, imieniem Rupas, dowodził tym napadem na spokojny dom Sabiny. Na widok jej, gdy poważna stanęła we drzwiach, nie okazując strachu, oniemieli z początku, spojrzeli potem po sobie, a Rupas zbliżył się zuchwale do Murcyi.

— Tyś jest Sabina Marcya, wdowa po Treboniuszu?

— Rzekłeś...—odpowiedziała.

— Prawda-li, żeś obrzydliwą wiarę obcą przyjęła?... jesteś chrześcijanką?...

— Jestem...—głośno i wyraźnie wyrzekła.

— Ani się tego zapierasz, Sabino Treboniuszowa?

— I nigdy nie zaprę...

Męztwo jej jakby uderzyło Rupasa, stał, śmiejąc się, zgłupiały.

— Myślisz, że cię obroni imię? pochodzenie?—zawołał.

— Obroni mnie, gdy zechce, Bóg; jeśli nie, potrafię umrzeć...

— Słyszeliście, urąga mi!—krzyknął Rupas... wyznaj swą szkaradę!

— Milcz!—przerwała mu z pogardą — prowadź mnie — dokąd ci kazano, jeśli ci kazano.

To mówiąc, powiodła okiem po sługach swoich, i postąpiła kroków parę, jakby wyjść chciała. Ruta natychmiast w ślad poszła za nią i parę jeszcze niewolnic.

Te, które na groźby Flamena Kwirynalisa złożyły były ofiarę, stały w kącie, kryjąc się; Sabina ku nim spojrzała tylko. Jedna z nich zerwała się, rozdarła suknię i natychmiast za nią pobiegła; inne zawahawszy się krótko, poszły za jej przykładem.

Flamen Kwirynalis skinął na nie, że pozostać mogą, ale nie chciały opuścić Sabiny, i płacząc, poszły za nią...

— Po co idziecie?—zapytał Rupas.

— I my chrześcijanki jesteśmy—odrzekły;—los jej podzielimy... Bóg naszą słabość przebaczy; chcemy umrzeć! chcemy umrzeć!—zaczęły wołać, płacząc.

Kapłan, Rupas i strażnicy zdumieli się znowu. Z chmurnemi czołami wyszli, popychając je i smagając, a nie mówiąc słowa... Sabina znikła im we drzwiach.

Pozostali niewolnicy jej, płacząc, popadali na ziemię. Naówczas widząc oddalające się straże, pomyślałem o Paulusie, którego ona mi w opiekę powierzyła. Wdarłem się do domu, i widząc gdzie sypiał, pochwyciłem dziecię z łóżka, unosząc je z sobą.

Ledwiem potrafił uspokoić płaczące i zanieść do Celsusa. Przez krótką drogą przyszło mi na myśl, że on pomocnym mi być może. Znaleźliśmy go szczęściem. W kilku słowach opowiedziałem o niebezpieczeństwie, zaklinając go, by przez przyjaciół i stosunki usiłował ratować Sabinę. Świeży przykład Pomponii Greacyny dodawa mi otuchy; ją przecież nie w ręce katów, ale przez wzgląd na senatorskie pochodzenie, oddano na sąd własnym krewnym. Ocalało życie, przyszłość mogła znaczne przynieść zmiany. Ufałem, że i dla niej wyrobić się to będzie mogło. Celus natychmiast wybiegł na zwiady; a ja w strasztliwej trwodze, jak odrętwiały, uspakajając dziecię, pozostałem. Zjawił się też wkrótce strwożony Leliusz, który uszedł przez inną kryptę. Chciał się coś o wypadku dowiedzieć. Opowiedziałem mu wszystko.

— Żegnaj mi więc — rzekł — jest to dla mnie znakiem, że i moja wybiła godzina; idę i oddam się im sam w ręce. Któż wie, może potrafię, na siebie biorąc ciężar winy, ją od niej uwolnić?

Nie mogłem go powstrzymać dłużej; wybiegł, a ja przykuty do dziecka, sam musiałem pozostać. Wstyd mi było mego obowiązku u kolebki, alem go spełniać musiał. Celsus nie rychło powrócił, a co gorsza, zatrważające przyniósł wieści. Liczba mnożąca się chrześcijan, ich męztwo, przeraziły cezara; wydane rozkazy były okrutne; zdano wszystko na łaskę takich ludzi jak Rupas; od nich zawisło darować życiem, karać jak im się podobało, rozporządzać ich mieniem, newet i czcią.

Rupas zamknął Sabinę w lochu własnego domu, i straż postawiwszy, żonie swej doglądanie jej polecił; z tego widać było, jaką do schwytanej przywiązywał wagę...

Zacząłem dopytywać o Rupasa, czyliby go okupem zjednać nie można? Dowiedziałem się że jest świeżym wyzwoleńcem cezara, niewiadomego pochodzenia, wielkiego okrucieństwa i dzikości.

Nie zdawał się łatwym ani do ujęcia pieniędzmi, ani do złamania prośbą. Mówiono, że jakaś nienawiść przeciwko żydom, którzy wiarę chrześcijańską do Rzymu przynieśli, powoduje nim, a duma wyzwoleńca jątrzy przeciwko rycerstwu rzymskiemu. Szczególniej miłe mu było ludzi senatorskiego i rycerskiego pochodzenia upokarzać i prześladować, dawnych jakichś zapewne krzywd mszcząc się na nich. — Łatwiej, jak utrzymywał Celsus, dobyć było z rąk jego dziesięciu niewolników, niż jednego szlachetniejszego rodu człowieka. Żona jego

Rutylia i on zgadzali się w tej zajadłości i okrucieństwie, które już głośne było w Rzymie. Przystęp nawet do Rupasa domu był trudny.

Nie wierząc nikomu, Rupas więźniów swoich u siebie zwykł był zamykać, i sam był ich strażnikiem, to jest oprawcą.

Drzwi były zamknięte, dom otoczony dokoła strażą niewolników egipskich; on i Rutylia pełnili sami obowiązek kluczników. W domu miało być kilka ciemnic z otworami u góry tylko, przez które winowajców spuszczano, i nie dobywano ich, aż na śmierć iść mieli...

Wszystko to Celsus mi opowiedział pierwszy, potwierdzili inni: znano bowiem dzikiego Rupasa. Noc przeszła nam bezsennie. Rano zdawszy dziecię na opiekę Celsusa, sam postanowiłem udać się do wyzwoleńca. Sądząc, że najlepiej uczynię, gdy mu stan mój i znaczenie ukażę—najpiękniejszą lektykę, najdorodniejszych i dobrze odzianych wziąłem niewolników, suknie najkosztowniejsze. Rano jeszcze było, gdym przed domem jego stanął; ledwiem się mógł do drzwi dostukać.

Nie odźwierny, ale on sam nareszcie mi otworzył, licho, brudno i prawie po niewolniczemu odziany... Przez uchylone drzwi popatrzał oczyma czerwonemi na lektykę, na ludzi, zmierzył mnie potem wzrokiem pogardy pełnym i złości. Chciał już napowrót drzwi zatrzasnąć, gdym go, ile mogłem, najgrzeczniej pozdrowiwszy, zatrzymał, prosząc o kilka słów rozmowy.

— Mówmy w progu — rzekł urągająco — nie miałbym gdzie, na Mitrę, tak dostojnego przyjąć gościa, a i czasu na próżne słowa mi braknie.

— Jestem—odezwałem się—Juliusz Flawiusz, brat Sabiny Marcyi.

— A!—rozśmiał się oprawca...—więc może i Flawiusza Scewinusa i Fulwiusza Flawiusza...

Obadwaj, jak wiesz, zapłacili głowami za spisek Pizona. Rupas mi to w oczy rzucał umyślnie.

— Nie jestem ich bratem, ale byłem krewnym—rzekłem. Wiecie zapewne, że dla krwi patrycyuszów cezar nakazuje względy; przychodzę żądać od was, abyście...

Wtem mi, sycząc, przerwał:

— Co wy mi tam mówicie o krwi, o rodzie patrycyuszowskim!.. A gdzież są nieprzyjaciele boskiego cezara, ojca ojczyzny, jeśli nie w waszych rodach i krwi?... Mówicie mi o względach dla patrycyuszowskiego rodu waszego, ale wkrótce go razem z senatem nie stanie.

Wysłuchałem tych słów z pokorą, mimo oburzenia, jakie obudziły we mnie. Rupas się śmiał i pienił.

— Proszę was za Sabiną—rzekłem, ucząc się pokory; — zważcie, że jest kobietą. Nigdy żaden z cezarów rzymskiej matrony znieważyć nie dopuścił.

Rupas śmiać się zaczął mocniej jeszcze, aż mu zęby szczękały... podobny był do rozwścieczonego zwierzęcia,..

— Matrony wasze! matrony!—zawołał—każecie je szanować, a sąż one poszanowania godne? Gdzież więcej nałożnic gladjatorów i kochanek niewolników, jeżeli nie pomiędzy niemi? Gdzież owe cnoty wasze? A kto knuje spiski, podżega? Epicharys, Flacylla, Kadycya, Atylla... Kto pierwszy obrzędy bezbożne przyjął od niewolników? Wasze to Pomponie i Praksedy!!

I szydził, i urągał. Jam drżał i w proch zetrzeć go nie mógł.

— Krew wasza, matrony wasze! — zawołał — my to wszystko na stracenie wywleczemy.

Oburzenie, prawie szał mną owładnął, alem sie musiał wstrzymywać.

— Rodzina tylko własna, ma prawo sądzić winną matronę rzymską — rzekłem, — wszakże tak samo cezar postanowił o Graecynie?

Rupas usta zaciął, oczy mu błysnęły; pokazał mi pięść czarną, ściśniętą.

— Idźże do cezara, nie do mnie! — krzyknął, drzwi z łoskotem zatrzaskując.

Taki był nieszczęśliwy krok mój pierwszy w obronie Sabiny uczyniony. Tegoż dnia użyliśmy wszelkich możliwych środków dla wyrwania jej z rąk Rupasa, — naprózno!

Wieczorem dowiedziałem się, że Leliusz sam prawie dobrowolnie oddawszy się w ręce i wyznając się chrześcijaninem, do więzienia Tulliańskiego wtrącony został. Ponieważ w dobrych był dawniej stosunkach z Tygellinusem, choć się do niego nie odzywał, na pierwszą wieść o pochwyceniu go, Tygellinus pośpieszył do więzienia. Wyciągniono go. Tygellinus ledwie go poznał, zdziwiony, iż o przyjęcie chrześcijaństwa oskarżonym być mógł; ale z kilku słów przekonał się, iż Leliusz istotnie innym był teraz człowiekiem. Doniósł natychmiast o tem Neronowi, który Leliusza niegdyś lubił za zręczne pochlebstwa i sypane w teatrze oklaski, gdzie jedną kohortą wielbicieli dowodził.

Wiedząc, iż Leliusz ma być przed Neronem stawiony, Celsus postarał się być rozmowie przytomny, Od niego więc uwiadomiony byłem, jak się odbyła. Gdy z więzienia wyciągniętego przyprowadzono owego wytwornisia, w zbrukanej odzieży, wybladłego — cezar długo mu się z jakąś dziwną ciekawością przyglądał milczący. Chodził naokoło i ramiony podrzucał, trąc brodę rudą.

— Cóż to się z tobą stało, Leliuszu?—zapytał naostatek—czyś ty oszalał, czy cię ta jakaś miłość w te kloaki zawiodła? To być nie może, żebyś ty chrześcijaninem został!

— Jestem chrześcijaninem, cezarze—odparł Leliusz spokojnie — a do tego zawiodła nie miłość kobiety, ale miłość prawdy...

Neron milczał trochę.

— A wiesz ty, że chrześcijanie wszyscy umrzeć muszą?

— Wiem, cerzarze, ale i ty umrzesz także, — rzekł Leliusz.

— Co śmiałeś wyrzec?

— Nie jesteś nieśmiertelny... dłużej czy krócej kto żyje, śmierć przychodzi zawsze.

— A ty nie lękaszże się śmierci? — zapytał Neron.

— Nie...

Cezar popatrzał znowu na niego z podziwieniem i trwogą zabobonną, potem zbliżył się, jakby litując.

— Leliuszu—odezwał się—byłeś mi niegdyś wielce miły... Porzućże to bezbożne szaleństwo, weźmij czarę i libacyą przebłagaj Jowisza mściciela, — każę cię puścić wolno.

— Cezarze — odpowiedział nawrócony — bóg twój nie jest moim Bogiem... wolę umrzeć, niż Temu stać się niewiernym.

— A cóż ci po śmierci?

— Śmierć mi przyniesie żywot inny, wieczny, ku niemu spieszę...

— Tak oni plotą wszyscy...—mruknął Neron, obałamuceni przez swoich kapłanów i czarnoksiężników... Leliuszu—powtórzył—chcesz dwa dni do namysłu... to ci je daję..,. tak dobrze umiałeś klaskać, żal mi ciebie...

Kazano go odprowadzić do Tullianum.

Tymczasem Rupas, zebrawszy dosyć ofiar, wielkie przygotowywał widowisko. Chrześcijan połapanych wszystkie lochy jego, mamertyńskie więzienie, Tullianum i jamy te, do których nieposłusznych sadzono niewolników, były pełne po domach siepaczy. Miano je oczyścić wkrótce, wiodąc naprzód więźniów przed ołtarze Jowisza, Westy, Cerery, a jeśliby im ofiary złożyć nie chcieli, na śmierć różną, ukrzyżowanie, ścięcie, spalenie. Sąd względem chrześcijan nie był żadnym sądem; karę na nich wymierzano jaką się podobało oprawcom. Tylko czasem przed igrzyskami, w amfiteatrze, część jakąś zostawiano dla dzikich zwierząt. Innych tłumami palono, topiono, zakopywano, krzyżowano. Nikt się nie troszczył, jaka ich śmierć czekała.

W dni kilka, gdy coraz groźniejsze dochodziły wieści o blizkim dniu męczeństwa, od którego już nic Sabiny ocalić nie mogło, upatrzywszy chwilę, gdy Rupasa nie było w domu, za sowitą zapłatą, przez Rutylię, żonę jego, wprowadzony zostałem do domu i więzienia.

Jakże ci opiszę, Kajusie drogi, widok, który przez całe życie oczom moim i sercu będzie przytomny!... Rutylia zawiodła mnie w najciemniejszy kąt smrodliwego, wilgotnego domu. Sabina nie siedziała wprawdzie w jamie takiej, do której niewolników przez okno wrzucano, ale w lochu nad nią okropniejszym może jeszcze. Schodziło się do niego po schodach

ciasnych, wykutych w murze, w których nie wiem, jak pomieścić się mogła... Powietrze zgniłe i zatęchłe, im niżej spuszczaliśmy się, tem bardziej dusiło pierś moją..

Idąc przodem, Rutylia niosła lampę... W jej blasku, bo światła i okna nie było tu żadnego, ujrzałem w głębi nieszczęśliwą niewiastę, w otworze wązkim, opartą o mur głową i jakby na pół uśpioną. Otwór ten, paszcza raczej, zowiąca się więzieniem, była tak szczupła, że się w niej ani położyć, ani nawet usiąść nie było podobna. Więzień stać musiał oparty, zgięty, złamany dniem i nocą bez światła, bez powietrza, bez garści słomy, którą nawet zwierzętom podścielają.

Słysząc szelest, Sabina otworzyła oczy, była jeszcze na pół uśpiona, a sądząc, że już ją na stracenie wieść mają, wyrzekła cichym głosem:

— Jestem gotowa...

Na ohydnej, zwiędłej i pokrzywionej twarzy Rutylii postrzegłem uśmiech szyderski. Wtem blade światło uderzyło na mnie: Sabina poznała mnie, domyśliła się może i zadrżała.

— A Paulus mój?—zapytała, składając ręce.

— Paulus jest bezpieczny — odpowiedziałem—bądź o niego spokojna.

— Juliuszu—rzekła po grecku, nie chcąc być zrozumianą przez kobietę,—naucz go kochać Boga, za którego ja umieram... Wreszcie niech tobie będzie podobny... Obadwaj módlcie się za mną. Ciało lub proch, jeżeli można, złóżcie w krypcie obok innych współwyznawców...

Łzy stawały mi w oczach; nawet dzika niewiasta zdawała się być zdziwiona, jakby strwożona jej spokojem.

Sabina nie płakała. Przytulona do zimnej ściany, drżąca, blada, patrzała na mnie z pogodą i pokojem niepojętym; mnie dusiły pierś wezbrane jęki.

— Juliuszu—mówiła jeszcze—mam prośbę do ciebie drugą... Jeżeli będziesz mógł, przyjdź tam, gdzie mi zginąć przeznaczono; bądź tryumfowi przytomny... Nie chcę abyś brał z sobą Paulusa; na jego serce dziecięce widok byłby zbyt okrutny... choć dzieci chrześcijańskie zawczasu z męczarnią i śmiercią oswajać potrzeba... Ale tyś mężczyzna... ty mu powiesz kiedyś, jak matka jego błogosławiąc mu, umarła...

— Sabino, ale ja choćby w cudzie jakimś mam nadzieję... zawołałem.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Na ziemi niema dla mnie żadnej — rzekła. — Dziś we śnie widziałam niebo i aniołów... jutro nas ztąd wywiodą... Bądź zdrów... zobaczymy się, ale na lepszym już świecie...

Głos jej słabł od wzruszenia. Domawiała tych wyrazów, gdy przestraszona, by mąż jej nie nadszedł, Rutylja popchnęła mię w górę na schody, grożąc. Chciałem uklęknąć i stopy świętej męczennicy ucałować, schy-

liłem się, ale Rutylia uderzyła mnie kluczami, które trzymała w ręku, i pogroziła Sabinie.

Znikła mi z oczu... Wyszedłem pijany boleścią z tej otchłani, nie wiedząc co się już działo ze mną. Sądzę, że Afer z innymi sługami musiał mnie gwałtem zawieść do domu Celsusa... gdziem nierychło do przytomności powrócił. Chryzyp kazał mi krwi upuścić... Osłabły, zwlokłem się nazajutrz z łoża. przypomniawszy sobie żądanie Sabiny i przepowiednie jej, że dnia tego stracona będzie. Tajono przedemną wszystko. Afrowi, obiecawszy wolność, dowiedziałem się, gdzie chrześcijan tracono. Ogromne tłumy ciekawych cisnęły się wcześnie ku wzgórzowi Watykańskiemu—poszedłem, a raczej potoczyłem się z niemi.

Wzrok mój osłabły nic nie mógł w pośród ścisku rozróżnić z początku, oprócz dzikich twarzy siepaczy z powrozami, którzy pędzili, jakby wielką trzodę ludzi. Stanęliśmy na placu u stoku góry, na której wznosiły się trzy białe do ofiar przygotowane ołtarze. Trzech flaminów stało przed niemi, z kilku kamillami do posługi, poniżej cała zgraja katów, pachołków, z narzędziami śmierci i kilka drewnianych krzyżów.

Jako matrona rzymska, Sabina do miecza przynajmniej miała prawo,

Gdy chrześcijanie, opasani dokoła murem żywym, stanęli odosobnieni, ujrzałem dopiero w ich szeregach Sabinę i Leliusza, a obok nich niewolników i Żydów.

Chciwy zabawy krwawej lud wykrzykiwał, bezczeszcząc chrześcijan. Jakże mi jego bezduszności i okrucieństwa wstyd było!

Pędzono chrześcijan przed ołtarze, ale pomimo gróźb i bicia, mimo wysileń kapłanów, nie tknęli naczyń ofiarnych i wszyscy z kolei przeszli tam, zkąd już nie mieli powrócić!

Ujrzałem Sabinę nieugiętą, śmiałym krokiem postępującą za innymi, zatrzymała się u ołtarza i uderzona odeszła... Potem przyszedł Leliusz, odarty, w jednej tylko tunice, boso; kat mu zerwał z ramion togę; blady był, ale nieczuły i jakby głuchy na krzyki oprawców. Kajusie, była chwila, żem mu w duszy tej śmierci pozazdrościł.

Gdy po nadaremnych namowach i postrachach, skazani wszyscy zepchnięci zostali na plac kary, tłum się uciszył, wśród milczenia odezwała się jakby z niebios pieśń przedśmiertelna... Od głosu jej pobladły twarze, zadrżeli wszyscy...

Słońce było nad samym zachodem, dzień pochmurny i wietrzny... Nagle, jakby cudem, gdy oni śpiewać poczęli, rozdarły się obłoki sine i gorący światła promień oblał na wzgórzu stojący orszak... Chrześcijanie wiedzieli w tem znak łaski Bożej, i pieśń ich zabrzmiała głośniej jeszcze,—ale nie długo oprawcy rozlegać jej się dali.

Krwawy, straszny to był obraz... Tłum znowu głuszył pieśń wrzaski dzikiemi. Byliż to ludzie, czy potwory z puszcz Hirkańskich wypuszczone, znęcające się nad świętością boleści!?

Cierpliwość i rezygnacya męczenników jeszcze zdawała się ich podżegać; ze wściekłością miotali się na bezbronnych, którzy klęcząc, ze złożonemi rękami czekali zgonu, nucąc ciągle pieśń swoją.

Oczy miałem wlepione w Sabinę. Stała, przodując niewiast gromadce; Ruta przy niej, wierna aż do śmierci. Sabina podniosła głowę ku niebu, potem zdało mi się, że w tłumie wzrokiem mnie może szuka. Podniosłem w górę białą chustkę, tęż samą, którą u wnijścia do krypt znalazłem był w dzień pożaru. Czy znak ten spostrzegła, nie wiem, ale skłoniła głową na pożegnanie, rękę przykładając do serca. I jakby tego krótkiego ziemskiego pożałowała, zawstydziła się uczucia, uklękła zaraz, spuściła oczy, zaczęła się modlić...

Kat nadbiegł ku niej z kolei, pochwycił za włosy, które obciął, a potem jednym zamachem strącił głowę jej z ramion. Padła... widziałem krwi strumień, w którym białe drgało ciało. Krzyknąłem i bezprzytomny rzuciłem się na ziemię... W tej chwili z drugiej strony padał Leliusz; innych podnoszono na krzyżach i rzucano na rozpalone stosy...

Nieruchomy, odrętwiały, mimo Afra i ludzi, którzy odciągnąć mnie chcieli, stałem w miejscu jak przykuty... postanowiłem pozostać, ażbym mógł z innymi współwyznawcami ciało świętej niewiasty ocalić i przenieść do wspólnych grobów chrześcijan.

Gdy krew lać się poczęła, tłum, który wrzał i urągał, zamilkł; mimo gróźb, zakazów i bicia, rzuciło się wielu chusty maczać w strumieniu czarnym, który się rozlewał po piasku. Oprawcy nielitościwie smagali sznurami i kijami, ale nic nie pomagało. Wśród tego zamieszania i wrzawy, promień słońca zgasł, czarne nadciągnęły chmury, wicher zerwał się silny, szum jego stłumił powstające krzyki.

Osłupiały patrzałem. Wtem nagle cisza się stała wielka znowu, i z tłumu wystąpił człowiek jakiś, wołając:

— Chrześcijanin jestem!

I cisnął się w ręce katów, jakby domagając się śmierci.

Wśród oprawców i ludu zamieszanie powstało, postrach jakiś ogarniał wszystkich, rozstępowali się, uciekali od niego, nikt ująć go nie śmiał, nikt się dotknąć nie ważył. Człowiek ten kląkł na piasku przy trupach i modlił się spokojnie. Jeden z katów oparty na mieczu patrzał nań długo, zachwiał się, padło mu z rąk żelazo, załamał dłonie, zadrżał... i upadł przy nim na kolana...

Za tymi dwoma nawróconymi, z pośrodku tłumu zaczęli z płaczem i jękami cisnąć się inni... reszta patrzała osłupiała.

Trwoga przejmowała widocznie wszystkich; niektórzy uciekać zaczęli, inni zadumani odchodzić, zwracając oczy ku niepojętemu widowisku. Dokoła mnie urywane słowa przestrachu i zdziwienia przelatywały, matki zabierały dzieci, mężowie odciągali żony, ciżba wracała do miasta...

Każdy zdawał się lękać zarazy, którą czuł we własnem sercu...

Pojąłem w tej chwili, że zwyciężeni zwyciężyli, że tryumf istotny był nie przy mordercach, lecz przy zamordowanych,

Kajusie... chrześcijaństwo zwycięży świat! Gdybyś przytomny był temu uroczystemu widowisku, tak, jakbyś wyrzekł: — Siły tej nikt złamać nie potrafi!...

Rozpierzchły się na ostatek gromady ludu, ja pozostałem z niewielu; noc nadeszła, na placu zostawiono ciała męczenników, któreśmy bez przeszkody zabrać mogli...

Razem z innymi poszedłem tę ostatnią oddać im posługę. Zwłoki Sabiny owinęliśmy w całun, który kobiety przygotowały; chustkę jej umoczyłem w tej świętej krwi ledwie zastygłej, i schowałem ją dla jej dziecięcia... Było to świadectwo życia...

Ciało Leliusza i innych podniesiono, okryto, zebrano nadrobniejsze szczątki, i liczny orszak żałobny towarzyszył im po za murami miasta na Apijską drogę, do chrześcijańskich katakumb.

Łez było wiele wylanych, ale radość mieszała się z żalem... Wszyscy czuli wielkość dnia tego... krew nie darmo została przelana. Uczucie tryumfu podnosiło serca, pieśni brzmiały weselem niebieskiem.

Na przyjęcie zwłok, zastaliśmy krypty nasze oświecone lampami, ubrane zielonemi gałęźmi, jak wrota nowożeńca.

Chrześcijanie przygotowali groby wcześnie.

Na zwłoki Sabiny stary sarkofag był przeznaczony; na nim kapłan odprawił pierwszą ofiarę, i stał się odtąd ołtarzem...

List XII

Chryzyppa do Zenona Ateńczyka.

Z listem twym, stary mój, Nicyasz, szukając mnie po Rzymie, nie do jednego Chryzyppa trafiał wprzódy, aż mnie wynaleźć zdołał. Nigdym ja tu, gdzie skoczkowie i śpiewacy wszystkim są znani, głośnym nie był; a dziś ledwie o mnie wie ten kawałek ziemi, na którym siedzę w kącie termów, prawie Dyogenesowym obyczajem...

Nie jestem już niewolnikiem; lecz tem ci gorzej, bo mnie nikt nie karmi, nikt się o mnie nie troszczy, nikomu szkody śmiercią moją nie przyniosę, i wyszedłem na żebraka. Razem z nędzą przyszła też rozumna jej pogarda; nie lituj się więc zbytecznie nademną. Życia ostatek pędzę, patrząc na drugich życie, jakbym był na scenie i na lichych aktorów poglądał.

Między nimi, a mną nic wspólnego niema.

Żyjesz więc, starowino Zenonie! a co większa, widzę, że od świata pragniesz wieści, jakbyśmy my dwaj, ty i ja, do niego należeli. Każesz mi nawet stwardniałemi palcami brać się do pisania, a palce, choć niegdyś kaligrafować umiały, dziś już ledwie ruszać się mogą.

Acz się twej słabości lituję, dogodzić jej pragnę; nie byłbyś Ateńczykiem, gdybyś ciekaw nie był.

Zapytujesz mię o wiele; postaram się odpowiedzieć choć mało... A najprzód ci powiem, że wychowanica twa ulubiona, jak i mój miły Juliusz, już na tej ziemi nie goszczą. Sabina Marcya przyjęła wiarę obcą, do Rzymu przywiezioną z Judei; za jej przykładem poszedł Juliusz Flawiusz: ona też pierwsza ofiarą padła, on z innych powodów później.

Flawiusz, któremu, jak się zdaje, wiara jego zadać sobie samemu śmierci nie dopuszczała, czekał na żołnierza i przyjął go mężnie. Spóźniał się umyślnie Neronowy siepacz, przez grzeczność, aby Flawiuszowi dać czas samemu sobie odjąć życie: sądził, że go już umierającym zastanie; zdziwił się, spostrzegłszy siedzącym spokojnie.

— Wiecie—rzekł—z czem przychodzę.

— Domyślam się; spełnijcie rozkaz—odpowiedział Juliusz.

— Nie woleliżbyście sami go uprzedzić? — zapytał żołnierz — nie macież męztwa?

— Śmierć ponieść, znajdę — rzekł Juliusz — ale życia sobie odebrać prawa nie mam.

Żołnierz się zdziwił. Widząc pierś obnażoną, popatrzał, dobył miecz z pochwy i pchnął w serce...

Zostałem naówczas sam z sierotą Sabiny, Paulusem małym, z którym przyznaje się, nie wiedziałem co czynić. Wszystko co mieli skazani, na skarb zabrano; wyszliśmy na ulicę z trochą odzieży na plecach, którą nam zabrać dozwolono z litości. Byłbym miał wielką troskę o utrzymanie dziecięcia, gdyby mi jakiś nieznany starzec drogi nie zaszedł i nie spytał o nie, wymieniając nazwisko jego matki. Zapytałem, ktoby był? Rzekł mi, że chrześcijanin jest, a opieka nad sierotą chrześcijanki do nich należy. Powierzyłem mu ją, i nie żałuję tego, bo chłopię umieścił w zacnym domu, gdzie i matkę przybraną, i ojca, i czułe znalazło jakby rodzicielskie staranie. Chrześcijanie bo-

wiem są jedną wielką rodziną, a obowiązkiem jest wszystkich wspólnie się wspomagać.

Gdybym był płakać umiał, płakałbym po moim Juliuszu; ale łzy dawno mi wyschły, niewolnikiem jeszcze lać je przestałem... Serce mi się ścisnęło, pożegnałem pocałunkiem biednego młodzieńca. Myślałem, że mu pogrzeb wyżebrać potrafię, ale ciało znikło... widać, że chrześcijanie je do swych grobów zabrać musieli.

Neron potem panował jeszcze, ale to był już schyłek jego władzy, umarł nędznie, od miecza zabójcy.





MONSTRANCYA, zwana ZYGMUNTOWSKĄ.

Nowiny z Częstochowy.

W chwili, gdy biorę za pióro, aby podzielić się z czytelnikami nowinami z Częstochowy, dochodzi mnie przez otwarte okno śpiew rzewny, podniosły, płynący z piersi tłumów, przeplatany powtarzaniem melodyi przez muzykę. Łatwo się domyśleć, że to kompania dość licznych pątników, przybywa tu, na święte miejsce, dla dostąpienia odpustu i doznania pociechy religijnej i właśnie wśród śpiewu i muzyki pospiesza na Jasną-Górę naszemi pięknie już rozwiniętemi, alejami kasztanowemi.

Bieżącego lata roją się na około Jasnej Góry tłumy pielgrzymów, przybywających z różnych stron kraju. Na uroczystość Wniebowstąpienia, przybyło kilka kompanii ze Szląska, Moraw, Czech i Galicyi.

W czasie Zielonych Świątek niebo majowe jaśniało nam wspaniale; na krótko tylko w pierwsze święto przemknęła gwałtowna ulewa, która też dobroczynnie wpłynęła na odświeżenie powietrza i pokrzepienie sił spieszących na Jasną-Górę kilkudziesięciu tysięcy pątników.

Uroczystość Zesłania Ducha Ś-go odbyła się wspaniale. Rozrzewniający widok przedstawił przyjazd Dostojnika Kościoła, Jego Ekscelencyi ks. Biskupa Kossowskiego. Najdostojniejszy Pasterz przybył na Jasną-Górę w wigilię, o godzinie 7-ej wieczorem. Przy pierwszej bramie klasztornej, powitany przez duchowieństwo, przywdział strój pontyfikalny i przeprowadzony do kościoła przez tłumy pobożnych, udzielił błogosławieństwa pasterskiego od Wielkiego ołtarza.

Potem przeszedłszy do Kaplicy Matki Boskiej, długo pozostawał na modlitwie, a przez ten czas chór śpiewaków wykonał pienia religijne.

W pierwszy dzień Zielonych Świątek, sam Najdostojniejszy Pasterz celebrował sumę pontyfikalnie. Podczas sumy połączone orkiestry:

miejscowa kościelna, z orkiestrą p. Namysłowskiego pod dyrekcyą tegoż, wspólnie z dzielnym chórem amatorskim, wykonały trudną Mszę Ant. Djabellego. Ceremonia ta w tym roku więcej była widoczną dla ogółu pielgrzymów zapełniających szczelnie świątynie, z tego powodu, że nowa balustrada, oddzielająca prezbyteryum od nawy kościoła, świeżo ukończona na tę uroczystość, nie dopuściła tłoku i wspinania się ludu na stopnie presbiteryum.

Przez obydwa dni Zielonych Świąt Najdostojniejszy Pasterz udzielił Sakramentu Bierzmowania 1986-ciu osobom—i drugiego dnia wieczorem wyjechał z wizytą pasterską do Kłobucka.

Zaznaczyć należy większy, niż lat innych, napływ pątników na Zielone Świątki, gdyż przybyło 85 kompanii większych z dalekich zakątków kraju, nie licząc tych, którzy koleją żelazną przyjechali.

Kompania Warszawsko-praska liczyła przeszło 4000 osób tych tylko, którzy pieszo przybyli, — z Łodzi przybyło do tysiąca, z Łomży około 1500.

Czemuż nie mogli pielgrzymi powitać w całej okazałości tak pięknej, wysmukłej jasnogórskiej wieżycy, która przed trzema kwartałami jeszcze, ukazując się ich oczom o mil parę, pokrzepiała ich zwątlone długą podróżą siły... Na widok jej padali wszyscy na kolana, uprzytomniając sobie myślą Tę, która ich miłośnie woła do siebie, Najświętszą Panienkę.

Pocieszajmy się atoli wszyscy, że szczyt tej, strawionej ogniowym żywiołem wieży, w niedługim czasie odrodzi się z popiołów i wystrzeli ku niebu i po dawnemu będzie, jak wysmukła na pustyni palma, pocieszał zdala spragnionych pokrzepienia wędrowców.

W chwili, kiedy te słowa piszemy, pragnęlibyśmy dać czytelnikom wiadomość, która ich najbardziej interesuje w przedmiocie odbudowania tejże wieży spalonej. Otóż możemy upewnić wszystkich, że prace przygotowawcze około tak poważnego dzieła są w pełnym biegu.

Plany są już gotowe i czekają na zatwierdzenie władz rządowych. Materyał drzewny na rusztowanie przygotowany. Robią się umowy z kamieniarzami, na dostawę piaskowca do obłożenia wieży płytami, co jej da długowieczną trwałość; nadto fabryki żelazne muszą przygotować, według przyrządzonych planów, wiązania całej wieży. Zrozumiałą jest rzeczą, że bez tego rodzaju przygotowań nie można rozpocząć przedwstępnych czynności budowy.

Na planie, uprzejmie nam okazanym przez p. budowniczego Szyllera, widać nowe wspaniałe frontowe wejście do kościoła, które tak bardzo były potrzebne w tej wielkiej świątyni. Nadto widzieliśmy plan powiększenia kaplicy Matki Boskiej, która w tem projektowanem prze-

robieniu przedstawia się bardzo pięknie. Do kaplicy prowadzi z zewnątrz troje drzwi—a wierzch zdobi piękna kopuła.

Daj Boże, abyśmy, jaknajprędzej mogli się cieszyć urzeczywistnieniem tego pięknego, a tak doniosłego projektu.

Nabożeństwa majowe, jak wszędy tak i w naszych kościołach, odbyły się z przykładnem uczestnictwem wiernych, którzy tak tłumnie przybywali na to piękne nabożeństwo ku czci Maryi, iż większa część modlących się musiała stać przed kościołem na cmentarzach i placach.

Tu nastręcza się przykra uwaga, iż liczba kościołów w Częstochowie jest stanowczo za mała. Kościół parafialny Ś-go Zygmunta posiada parafian około 40,000 wraz z wioskami podmiejskiemi, Ś-tej Barbary 20,000—a Jasna Góra przeważnie przez pątników bywa szczelnie zapełniona. Potrzeba zatem jaknajspieszniej budować kościół parafialny, w którymby mogły całe zastępy wiernych słuchać nabożeństwa.

Odpust jubileuszowy rozpoczął się u nas 16 maja, to jest w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego.

Z pomiędzy wielu kompanij, które przybywały w tym czasie, wyróżniały się wzorowem urządzeniem i barwnymi strojami ludowemi dwie, jedna z Kurowic z Księdzem Zagrzejewskim na czele. a druga z Lubienia zorganizowana przez ks. Proboszcza Fulmana. Obok zwykłej intencyi uczczenia Matki Bożej Częstochowskiej, w tym roku kompanie te dopełniły przybyciem swem na Jasną-Górę warunków Odpustu Jubileuszowego. Przybycie kompanii zachowanie się jej w kościele i przy konfesyonałach wyróżniło się porządkiem i pokorą religijną.

Gorliwy proboszcz Ks. Fulman obmyślił i urządził wszystko z taką przezornością, że nawet noclegi, osobne dla mężczyzn i kobiet, zawczasu były zamówione w wygodnych gospodach. Nic więc dziwnego, że uderzało radośnie w oczy i urządzenie wspólnych dla całej kompanii nabożeństw i uroczystych processyi do trzech kościołów w Częstochowie. Processye te były odbyte, jako warunki pozyskania Odpustu Jubileuszowego. W każdym kościele przy odbyciu takiej processyi kapłani wygłaszali stosowne nauki pobudzając do pokuty; nauki te z powodu swej niezwykłości wywoływały serdeczne rozrzewnienie wśród ludu.

Mile także odbijały się o sklepienia świątyni harmonijne śpiewy Lubienian. Wszystkie pieśni stare, znane, swojskie, wykonane były harmonijnie. Słuchając tych dźwięcznych i miłych sercu melodyj, tak starannie wykonanych, musimy przyznać, że lud nasz jest zdolny do zrozumienia i odczucia piękna, byle był umiejętnie, starannie i wytrwale prowadzony przez swoich pasterzy. Do kompanii Lubieńskiej dołączyły się kompanie z Chodcza i Przedcza ze swymi proboszczami. Pielgrzymka dobrze zorganizowana i wzorowo odbyta obok duchowych korzyści, które wierni

odnoszą na miejscu świętem, jest jeszcze wskazówką dla innych, w jakim porządku dążyć na Jasną Górę i jak tamże z pobytu należy korzystać.

Dnia 9 czerwca, t. j. w Niedzielę po Uroczystości Bożego Ciała, odbyła się w kościele Jasnogórskim uroczysta processya. W tym roku dopisała pogoda, więc też cała ceremonia pochodu odbyła się bardzo pięknie. Sumę i procesyę celebrował sam ks. Przeor klasztoru. Wspaniale wyglądał długi, prawie nieskończony szereg obrazów i chorągwi niesionych przez młodzież płci obojga z obydwóch parafii miejscowych: Ś-go Zygmunta i Ś-ej Barbary.

Nad wszystkiemi chorągwiami majestatycznie powiewała chorągiew klasztorna, z wierną kopią Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Nad przenajświętszym Sakramentem unosił się bogaty baldachim, niedawno artystycznie wykonany w zakładzie p. Pydynkowskiej w Krakowie. Baldachimu tego nie powstydziłby się nawet kościół ŚŚ-ch Apostołów Piotra i Pawła w Rzymie.

Trzy ołtarze wzniesiono na mieście: jeden na Częstochówce przy domu hr. Tyszkiewiczowej, drugi przy zetknięciu się alei z parkiem, a trzeci przy figurze Ś-go Jana na placu klasztornym. Czwarta Ewangelia odśpiewaną została w kaplicy Matki Boskiej. Przy każdym ołtarzu chór amatorów wykonywał odpowiednie śpiewy. Pomimo kilkunastotysięcznego tłumu wiernych, towarzyszących processyi, porządek panował wzorowy.

W miesiącu lipcu przypadają dwa główne święta:

1). Uroczystość Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny dnia 2 lipca.

Święto Nawiedzenia N. Maryi Panny, jak i inne święta Matki Bożej, obchodzi się na Jasnej Górze w Częstochowie bardzo uroczyście. W wigilię święta odbywają się nieszpory z wystawieniem Najświętszego Sakramentu i procesyą, podczas której śpiewa się hymn Magnificat, naprzemian z przygrywką orkiestralną. Suma na wielkim kościele rozpoczyna się o godzinie $10^1/_2$ z kazaniem po Credo. Dawniej, kiedy klerycy paulińscy odbywali studya teologiczne na miejscu, dodawaną była celebransowi wspaniała asysta: Dyakon, subdyakon, dwóch kaparzy, 2-ch akolitów, turyferarius i ceremoniarz. Pięknie wyglądał liczny szereg kleryków, ubranych w szaty kościelne, postępujących poważnie do ołtarza.

Ponieważ obecnie, z powodu małej liczby Ojców Paulinów, klerycy posyłani są na naukę do seminaryum dyecezyalnego we Włocławku, przeto najczęściej sam celebrans odprawia Sumę, a niekiedy towarzyszy mu dwóch nowicyuszów.

Nieszpory w sam dzień Święta, przybierają uroczysty i rzewny dodatek. Procesya odbywa się po nieszporach. Celebrans, obszedłszy z Najświętszym Sakramentem wnętrze wielkiego kościoła, przechodzi do kaplicy Matki Boskiej, która bywa rzęsiście oświetloną i Obraz Cudowny odsłoniony. Tu stawia Monstrancyę na ołtarzu i rozpoczyna Litanię Loretańską po łacinie, cały zaś kler wraz z ludem odpowiada: Ora pro nobis—(Módl się za nami).

Po odśpiewaniu Litanii rozpoczyna: Sub Tuum praesidium (pod Twoją obronę).—Potem niezwykle do serca przemawiający śpiew: „Monstra Te esse Matrem“ (Okaż się nam Matką) po trzykroć powtarza się ze wzniesionemi do góry rękoma. Po skończeniu tych modłów celebrans odczytuje modlitwę do Matki Boskiej i rozpoczyna: „O, Maryo, cna Dziewico“—którą to pieśń lud powtarza z towarzyszeniem organu. Teraz znów odmawia się psalm: „De profundis“ i t. d. z modlitwą za zmarłych. Na zakończenie celebrans, trzymając Monstrancyę, odwrócony do ludu, po trzykroć śpiewa: „Święty Boże!“ i t. d. i lud toż samo po trzykroć powtarza. Tak samo „Od powietrza“ i t. d., „Od nagłej, a niespodzianej śmierci“ i t. d. Nakoniec następuje schowanie puszki do cymboryum i zakrycie Cudownego Obrazu przy hejnałach muzyki kościelnej.

Tak się kończą wszystkie uroczystości Najświętszej Maryi Panny w kościele Jasnogórskim.

2). Dnia 16 lipca przypada Uroczystość Matki Boskiej Szkaplerznej.

Na Jasnej-Górze istnieje bractwo Szkaplerza Świętego, do którego zapisują się liczni pątnicy. Nabożeństwo w ten dzień odbywa się podobnież uroczyście, jak i w dzień 2-go lipca.



Nowiny z daleka i z blizka.

Zaliczenie w poczet Błogosławionych. Zgromadzenie Kanoników Regularnych Lateraneńskich w Krakowie zamierza starać się o zaliczenie w poczet Błogosławionych, Stanisława Kazimierczyka, który żył i mieszkał w Krakowie przed czterystu laty. Świętobliwy ten kapłan urodził się w Krakowie, na przedmieściu Kazimierzu, w 1533 r. 27 września, tam również bogobojnego żywota dokonał i w kościele Bożego Ciała pochowany został. Wielkie cnoty chrześcijańskie rozsławiły go za życia, a cuda, jakie się działy przy jego grobie, po śmierci. Wierni uważają go za Świętego. Kościół Bożego Ciała, gdzie spoczywają zwłoki ks. Kazimierczyka, stoi na Kazimierzu, na gruncie wsi Bawół. Fundował go król Kazimierz Wielki w r. 1347, a w r. 1405 objęli go Kanonicy Regularni Lateraneńscy, sprowadzeni przez króla Władysława Jagiełłę z Oleska. Przy kościele znajduje się klasztor księży Kanoników Regularnych Lateraneńskich i ochrona pod opieką Sióstr Miłosierdzia. W klasztorze przemieszkiwał w r. 1655 król szwedzki Karol Gustaw, oblegając Kraków. Ten kościół jest bardzo piękny, budowano go długo i dopiero kardynał Fryderyk, syn króla Kazimierza Jagiellończyka, budowę jego w piętnastem stuleciu ukończył. Wewnątrz świątyni godne są widzenia: prześliczny wielki ołtarz drewniany, stalle, tron opatów, pomnik Augustyna Kotficza, burgrabi krakowskiego, zmarłego w 1550 r.; dalej obrazy w ołtarzach, malowane przez Włocha z miasta Werony, Astolfa Vagiolli; wreszcie wota u grobu Stanisława Kazimierczyka. Klasztor ma piękne obramowanie okien.

Uroczystość Ś-go Wojciecha. W odwiecznem Gnieźnie, mieście księstwa Poznańskiego, obchodzono bardzo uroczyście święto Patrona archidyecezyi gnieźnieńskiej, Ś-go Wojciecha, którego relikwie w tamtejszej świątyni spoczywają. Na dzień przed uroczystością przybył z Poznania

ks. arcybiskup Stablewski, on też nazajutrz, po sumie, którą odprawił ks. biskup sufragan Andrzejewicz i po kazaniu, wygłoszonem przez ks. oficyała Dziedzińskiego, wstąpił na kazalnicę i niezmiernie rzewnemi słowy dziękował wszystkim, którzy w czasie jego choroby zanosili modły do Boga o przywrócenie mu zdrowia. Podniosła mowa Najdostojniejszego arcypasterza do łez wzruszyła słuchaczy. Uroczystość zakończyły Nieszpory, procesya i odśpiewanie starodawnego hymnu „Bogarodzica“, który sam Ś-ty Wojciech miał ułożyć.

Konsekracye i intronizacye biskupów w Galicyi. W Przemyślu odbyła się uroczyście konsekracya ks. Karola Fiszera na biskupa sufragana przemyskiego. Uczestniczyli liczni dostojnicy duchowni i świeccy. Aktu konsekracyi dopełnił ks. biskup Pelczar z ks. biskupem Czechowiczem i biskupem sufraganem ks. Nowakiem. Przy uroczystości byli obecni, pomiędzy innymi: arcybiskup lwowski ks. Bilczewski, biskup tarnowski ks. Wałęga, namiestnik Galicyi hr. Piniński, marszałek krajowy, Stanisław hr. Badeni. Ks. biskup Fiszer jest w sile wieku, liczy lat 54. — W Tarnowie zaś odbyło się wprowadzenie na stolicę pasterską, (intronizacya) nowomianowanego biskupa tarnowskiego, ks. Wałęgi. I ta uroczystość miała przebieg wspaniały. Uczestniczyli: Jego Przewielebność kardynał Puzyna, biskup krakowski, ks. arcybiskup Bilczewski, ks. biskup przemyski Pelczar, ks. biskup Weber, ks. biskup Nowak, sufragan krakowski, namiestnik Piniński, hr. Badeni i wielu innych dostojników, mnóstwo duchowieństwa i tłumy wiernych, z miasta i okolic. O godzinie 8-ej z rana, przy odgłosie wszystkich dzwonów, pochód uroczysty z nowym biskupem na czele wyruszył do katedry, poprzedzany przez bractwo i cechy z chorągwiami. Jego Przewielebność kardynał Puzyna przyjął od ks. biskupa Wałęgi wyznanie wiary, oraz przysięgę, następnie ks. infułat Walczyński powitał nowego pasterza w imieniu duchowieństwa. Ks. biskup Wałęga wypowiedział w czasie sumy kazanie o obowiązkach chrześcijańskich, a kazał, jak zawsze, bardzo pięknie, z mocą i przejęciem się.

Wręczenie oznak kardynalskich. W Peszcie, cesarz austryacki dopełnił ceremonii doręczenia oznak kardynalskich nowo mianowanym przez Ojca Świętego kardynałom: arcybiskupowi krakowskiemu ks. Puzynie i arcybiskupowi Skrbensky'emu. Poważna ta, pełna majestatu ceremonia odbywa się w ten sposób. Pochód uroczysty wkracza o naznaczonej godzinie do kaplicy w zamku cesarskim, na czele idzie mistrz ceremonii, za nim postępują wysocy dostojnicy dworscy, wreszcie cesarz i nowomianowany kardynał. Droga, po której przesuwa się pochód, obstawiona jest szeregami żołnierzy gwardyi austryackiej i węgierskiej. W kaplicy cesarz staje przed tronem z lewej strony ołtarza, na stop-

niach tronu stają z lewej strony: wielki szambelan, wielki koniuszy, kapitan węgierski i szambelan, będący na służbie, a z lewej—kapitani austryaccy. Nieco dalej, przy klęczniku, zasiada kardynał, w purpurze i fioletach, za nim poseł (ablegat) papieski, pełnomocnik Papieża (nuncyus), arcybiskup wiedeński, lub peszteński. W ławkach zasiadają dostojnicy świeccy. Po Mszy Ś-tej ablegat staje przed tronem cesarskim, wypowiada stosowną mowę po łacinie, przyklęka i na srebrnej tacy podaje monarsze postanowienie Papieża (Breve). Cesarz wkłada na głowę kapelusz, bierze do rąk purpurowy biret (czapeczkę) i kładzie ją na głowę, klęczącego kardynała. Duchowieństwo, z ks. kardynałem na czele, zbliża się przed wielki ołtarz, cesarz obnarzywszy głowę, klęka, a kapłan celebrujący intonuje „Ciebie Boga chwalimy" po łacinie. Kardynał, stanąwszy przed ołtarzem, śpiewa błogosławieństwo. Po nabożeństwie cesarz ze świtą wychodzi z kaplicy, kardynał przywdziewa w zakrystyi purpurowe, kardynalskie szaty, potem mając przy sobie ablegata i gwardzistów papieskich, udaje się, przez sale zamkowe, pełne dostojnej publiczności, na posłuchanie do cesarza, skąd wraca do swego mieszkania z ablegatem papieskim w powozie sześciokonnym, poprzedzany przez dwa inne powozy, w których jadą: gwardzista papieski, sekretarz kardynała i kanonicy kapituły kardynała. Wojsko oddaje kardynałowi honory należne książętom krwi. Wieczorem cesarz wydaje na cześć kardynała obiad. I tym razem w Peszcie ceremoniał został ściśle dopełniony.

Nie chcemy znać bezbożników. W Austryi, od dawnego czasu, niektórzy politycy, dążący do zjednoczenia Austryi z Niemcami, a wrodzy religii katolickiej, urągają Ojcu Świętemu i uczniom wiernych katolików. Już im dał dobrą odprawę następca tronu austryackiego, a lud wiedeński jawnie wyraził, że nie chce znać bezbożników, urządzając po ulicach Wiednia wspaniałą procesyę, w której uczestniczyło 15 tysięcy samych mężczyzn, bo kobiety i dzieci od uczestnictwa usunięto w obawie, żeby bezbożnicy nie wszczęli burdy, podczas której kobiety i dzieci mogłyby szwank ponieść. Ale bezbożność zaczepiać wiernych nie śmiała, wszystko odbyło się spokojnie, we wzorowym porządku. Na zakończenie uroczystości, processya udała się do ogromnej katedry Ś-go Stefana, mogącej pomieścić 14 tysięcy ludzi i tam odbyły się ćwiczenia duchowne, pod kierunkiem Ojców Jezuitów. W processyi uczestniczyły wszystkie stany, od wysokich dostojników do ludności biednej. W katedrze przemawiali: Ojciec Abel, Ojciec Kolb i biskup sufragan Smajder. Pierwszy dziękował Bogu, że daje wiernym katolikom moc wytrwałości; drugi zalecał pobożność, ćwiczenie się w religijności, w cnotach chrześcijańskich, gdyż tym tylko sposobem można skutecznie zwalczać nie-

wiarę, która dąży do sprowadzenia na świat wielkich klęsk; sufragan Smajder również zachęcał do walki z bezbożnictwem i Błogosławieństwa Apostolskiego zgromadzonym udzielił. W końcu odśpiewano po niemiecku piękny hymn do Serca Jezusowego. Po nabożeństwie, wychodzących z Kościoła Ojców Jezuitów żegnano z zapałem, wygłaszano na ich cześć okrzyki. Katolicy wiedeńscy przekonali bezbożników, że płonnemi są ich niecne usiłowania, skierowane do oderwania wiernych od Stolicy Apostolskiej.

Posłuchanie u Ojca Swiętego. W pałacu Watykańskim przyjmował Ojciec Święty Leon XIII na prywatnem posłuchaniu Maryę Teresę hrabiankę Lodóchowską, przełożoną bractwa Ś-go Piotra Klawera. Bractwo to szerzy światło wiary wśród pogan afrykańskich, a chociaż niedawno zostało założone, już je Ojciec Święty zaszczycić raczył względami, przeznaczając mu kardynała opiekuna, Hr. Ledóchowska na posłuchaniu zdała Ojcu Świętemu sprawę z czynności swoich w bractwie, Papież zaś, pochwaliwszy jej gorliwość, udzielił mądrych rad, zachęcił do dalszej pracy i Błogosławieńswa Apostolskiego udzielił, przyczem nadmienił, że błogosławiąc ją, błogosławi jednocześnie wszystkie uczestniczki bractwa i wszystkie ich zacne chęci.

Poświęcenie dzwonu. W Rzymie, w tamtejszym kościele polskim Ojców Zmartwychwstańców, odbyła się uroczystość poświęcenia dzwonu. Ceremonia sprowadziła wielu Polaków. Aktu poświęcenia dzwonu, dopełnił delegat apostolski dla Indyi, ks. arcybiskup Władysław Zalewski, który właśnie w tym czasie chwilowo bawił w Rzymie. Dzwon otrzymał imię Ludwika, na cześć swego ojca chrzestnego, p. Ludwika Górskiego z Warszawy, ziemianina, prezesa Towarzystwa kredytowego ziemskiego, chlubnie dla kraju zasłużonego.

List kardynała. W Hiszpanii duchowieństwo i wierni katolicy są dotkliwie krzywdzeni przez rozszalałych masonów, którzy napadają na klasztory i świątynie, dopuszczają się zgorszeń, bluźnierstw i świętokradztw. Tu i owdzie wywołali tłumne zaburzenia, które się krwawą bójką skończyły i dopiero wezwane wojsko kres im położyło. Rząd hiszpański usiłuje stłumić wrzenie, przez złych ludzi podsycane, lecz niedość sprężyście zabrał się do dzieła, więc płomień bezprawia i gwałtu wciąż tu lub owdzie wybucha. Smutna to zaiste rzecz, że Hiszpania, która przez wiele wieków dawała przykład wierności i uległości dla Kościoła i Ojca Świętego, obecnie jest widownią zgorszenia. Kardynał Casanos, biskup z Leo de Urgel, ogłosił do prezydenta ministrów hiszpańskich list, w którym wylicza wszystkie gwałty i bezprawia, jakich doznał Kościół katolicki wskutek podżegań masońskich. Ks. kardynał wzywa prezydenta z wielką powagą i godnością do przedsięwzięcia

wszelkich środków nietylko dla stłumienia niepokojów, ale i do zapobiegnięcia im na przyszłość. Pismo niewątpliwie zdwoi energię rządu, który sam jest przez masonów zagrożony. Należy dodać, że ogół ludności hiszpańskiej nie posiada się z oburzenia na gwałtowników, domaga się obrony praw Kościoła, w czem spółdziałają usilnie biskupi.

Prześladowanie wiary katolickiej w Portugalii. Szał bezbożności ogarnął również sąsiadującą z Hiszpanią Portugalię, ale tam, niestety, podszepty masońskie zdołały uwikłać rząd, który wydał cały szereg rozporządzeń prześladowczych. Wiele klasztorów, wskutek tych rozporządzeń zamknięto, pomiędzy innemi klasztor Ojców Jezuitów w Lizbonie, stolicy portugalskiej. Zaburzenia uliczne, często krwawe, wciąż się powtarzają, uczciwy człowiek nie śmie się z domu wychylić, bo jeżeli na ulicy nie szaleje tłum masoński, to odbywają się na nich narady, zwrócone przeciw religii i duchowieństwu, do których bezbożnicy starają się każdego wciągnąć przemocą, używając straszliwych pogróżek. Gazety, wydawane przez niedowiarków, dolewają oliwy do ognia, chcą, aby zaprowadzono w Portugalii rzeczpospolitę. Rząd, jak gdyby zupełnie rozum postradał, ulega prądowi wywrotowemu, przywrócił tak zwane „prawa Pombala", które gdyby zostały wprowadzone w życie, w całej rozległości, to klasztory i majątki Jezuitów zostałyby skonfiskowane, sami zakonnicy wypędzeni z kraju, a wielu z nich, ci mianowicie, którzy uczą dzieci obecnych ministrów i których szkoły ci sami ministrowie wspierali niedawno ofiarami pieniężnemi, ulegliby zbrodni spalenia na stosie! Na szczęście, katolicy, chociaż z początku zachowywali się bezradnie, teraz zaczynają myśleć o obronie i zapewne tak się skończy, że prześladowanie wzmocni uczucia religijne Portugalczyków. Dobry przykład daje królowa. W Tygodniu Wielkim z dziećmi odbyła pielgrzymkę do Grobów Zbawiciela, przy każdym składając hojne ofiary. Za królową postępowały tłumy pobożnych. Król, stosując się do dawnego zwyczaju, w Wielki Piątek darował karę wielu przestępcom, w dzień Zmartwychwstania z całą rodziną modlił się przykładnie w katedrze. W miesiącu ubiegłym, biskupi portugalscy nadesłali monarsze pismo, w którem gorąco, z wielką śmiałością protestują przeciw gwałtom bezbożników i bronią zakonów. List ten wzmocnił i pocieszył katolików, bo dotychczas biskupi zachowywali się bezczynnie, chociaż rozzuchwalenie doszło do tego stopnia, że kapłan na ulicy pokazać się nawet nie mógł, gdy zaś się pokazał, ogłupiała tłuszcza rzucała się na niego, jak szakale i znieważała czynnie. Dopiero list Ojca Świętego do patryarchy Lizbony obudził biskupów portugalskich:—zaczęli działać i spodziewać się należy, że nie przestaną, dopóki złe nie zostanie zażegnane. Walka będzie długa i trudna, ale Bóg obrońcom Swego Kościoła da siły i zwycięstwo.

Wytknięcie oszczerstwa. Bezbożnicy, którzy radziby wszystkich katolików w łyżce wody utopić, osoliwie zaś kapłanów katolickich, przy każdej sposobności rzucają na nich różne oszczerstwa. Pragnąc w Belgii przeciągnąć na swoją stronę klasę roboczą, bardzo tam liczną, rozgłaszają, że księża i wierni katolicy nic dla polepszenia ludzi ciężko pracujących nie robią; że co najwyżej wiele mówią i na obietnicach kończą. Belgijskie gazety katolickie skutecznie odepchnęły oszczerstwo, podając opis katolickich zakładów dobroczynnych, utworzonych w Belgii dla robotników w ostatnich czasach. Oto pozycye najważniejsze: Skutkiem ogłoszenia prawa o domach dla robotników, 13 tysięcy z górą robotników posiada własne mieszkania, na co otrzymali 27 milionów franków pożyczki na 3 procent rocznie. Biedakom, powoływanym do wojska, uchwalono wypłacać 30 franków miesięcznie, z czego połowę bierze żołnierz, a drugą połowę jego rodzina. Uchwalono prawo, uwalniające robotnika, będącego właścicielem domu, od wszelkich podatków osobistych. Uchwalono prawo, zmniejszające dzień pracy dla kobiet i dzieci. Nakazano wypłacać należność robotnikom gotowizną, a nie rozmaitemi przedmiotami lub kwitami za długi robotników zaciągnięte. Ustawiono inspektorów do kontrolowania pracy. Postanowiono nie pozwalać na aresztowanie płacy robotnika. Określono najmniejszy stopień płacy. Ustanowiono dla robotników odpoczynek w dni niedzielne i świąteczne. Podniesiono płacę niższym urzędnikom i robotnikom rządowym, a jednocześnie zmniejszono im godziny pracy. Postarano się o rozwój stowarzyszeń spożywczych (w r. 1895 było ich 700—w r. 1899 liczba ich wzrosła do 3 tysięcy). Uchwalono prawo o pensyach rzemieślniczych, na mocy którego robotnik, płacący rocznie drobną składkę otrzymuję, po ukończeniu lat 65, rocznie 360 franków do śmierci. Ogłoszono prawo o zawieraniu umów z robotnikami, według myśli podanej przez Ojca Świętego. Wymieniliśmy, powtarzamy, tylko ważniejsze ulgi, poczynione przez rząd katolicki dla robotników, ale i to wystarcza dla przekonania o bezczelnym fałszu bezbożników, którzy nietylko nic dla poprawienia losu ludzi ciężko pracujących nie robią, ale jeszcze ich do zguby prowadzą.

Kościół polski w Londynie. W stolicy Anglii budowa nowego kościoła katolickiego dla Polaków jest palącą potrzebą, Zajęli się tem ludzie dobrej woli, ale sprawa idzie ciężko, bo funduszów brak, ofiary napływają opieszale. Krzątają się ci zacni ludzie bardzo gorliwie. Właśnie w tym czasie przedstawili w Rzymie, w odpowiedniem biurze, relacyę z tego, co dokonać zdołali. Okazuje się, że zebrali szóstą dopiero część pieniędzy, potrzebnych na budowę. W Rzymie też otrzymali ofiary na kościół londyński od kardynała Ledóchowskiego, od prałatów Skirmunta

i Meszczyńskiego, a nawet sam Ojciec Święty ofiarował im hojny datek w postaci dwóch drogocennych kamieni, to jest klejnotów pięknie wypukło rzeźbionych na których figury są innego koloru, a tło innego. Sprawa zatem budowy kościoła, choć powoli, lecz postępuje.

Wiara katolicka zwycięża. Martwi bardzo socyalistów szwajcarskich, którzy są zajadłymi wrogami wiary, że w Szwajcaryi, gdzie tyle zrobiono dla podkopania religii katolickiej, religia ta stale się rozszerza. Jedna z gazet socyalistycznych otwarcie to przyznaje i żale nad tem rozwodzi. Dowiadujemy się z niej, że w przeciągu ostatnich lat dziesięciu liczba katolików zwiększyła się o 300 tysięcy, z tego powodu gazeta wymyśla katolikom, zwłaszcza księżom i tym, którzy się troskają o los ludzi ciężko pracujących, przytem radzi, ażeby socyaliści gwałtem, przemocą przeszkadzali katolikom w ich zabiegach dobroczynnych. W kantonie (w okręgu) fryburskim i w walijskim, gdzie pracują księża, zakładając dla robotników różne kasy i schroniska, socyaliści swoich planów przeprowadzić nie mogą. Chwała Bogu, że wrogowie przyznają wierze katolickiej moc taką. Nas to cieszy i otuchy dodaje.

W Chinach. Poseł francuski w Pekinie, stolicy chińskiej, przed wyjazdem swoim do Francyi, obdarzył z polecenia swego rządu przełożoną szpitala pekińskiego Pei-Tang, Siostrę Miłosierdzia, nazwiskiem Lentier, krzyżem Legii honorowej. Wręczając to zaszczytne odznaczenie, wypowiedział mowę, w której oddawał wielkie pochwały Siostrze Lentier, za jej zasługi, jakie okazała podczas oblężenia Pekinu. — Okazała ona — tak mówił poseł — odwagę iście bohaterską, broniąc niemal własnemi rękoma francuskich marynarzy i żołnierzy. Przeszło czterem tysiącom chrześcijan ocaliła życie.—Wzruszona zakonnica dziękowała za odznaczenie, tłumacząc się skromnie, że tylko spełnia obowiązek. Mówiąc o Chinach, dodamy, że chociaż rząd zawarł ugodę z mocarstwami europejskiemi, chrześcijanie nie są tam bezpieczni. Przed niespełna miesiącem, w południowej Mongolii, motłoch chiński zamordował zakonnika włoskiego, Ojca Bearmina i 14 innych księży. Dużo jeszcze krwi męczeńskiej się przeleje, zanim w Chinach śmiało będzie można wyznawać i szczepić prawdziwą wiarę. Ale kapłani katoliccy są na to przygotowani, nie cofną się od ofiar, nie powstrzymają swej chwalebnej żarliwości w krzewieniu nauki Chrystusa.

Tryumf wiary. Na wyspie Kubie utworzyło się nowe zgromadzenie narodowe (parlament). Rozpoczęło ono pracę nad ułożeniem nowej konstytucyi, to jest ustawy rządowej dla swego kraju, który, jak wiadomo, z pod władzy Hiszpanii dostał się pod opiekę Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Podczas pierwszych obrad, poseł Salvator Cisneros, margrabia di Santa Lucia, który był prezydentem rzeczypospolitej kubań-

skiej i należał do tych, którzy usiłowali wypędzić biskupa Sbaretti z Havanny, gdzie się znajduje jego stolica pasterska, ów Cisneros zatem zażądał, ażeby w nowej ustawie nie było ani wzmianki o Bogu. Inni posłowie, oburzeni, szemrać zaczęli, ale Cisneros nie ustępował. Mówił: — Żądam tego, bo nie uznaję Boga, ani żadnej religii! — Wtedy wystąpił poseł Florento, członek najwyższego trybunału i rzekł: — Wybrał mnie do parlamentu lud, który wierzy w Boga, nie mogę przeto go zdradzać, zgadzając się na żądanie Cisnerosa. Gwałciłbym też przekonanie własne. Tak, gwałciłbym najdroższe moje uczucia. Cisneros był niby prezydentem Kuby, ale my wiemy, że był raczej pełnomocnikiem szatana, czego dowiódł usiłując pozbawić wiernych Ojca i Pasterza, wygnać go z prawowitej stolicy. Co do mnie, stoję u bram życia, gotowy do podróży, która każdego z nas czeka—tu starcowi głos zadrżał, wskazał na głowę siwizną okrytą i dodał stanowczo:—Cisneros mówi w obłędzie! Mieszkańcy Kuby są rzymskimi katolikami, zarówno jak ja, ich brat, ich rodak. W ich imieniu odrzucam bluźniercze żądanie Cisnerosa.“ — Grzmotem oklasków przyjęto tę mowę. Następnie przemówił Saruguillas, uzdolniony prawnik, dyrektor akademii hawańskiej. Poparł gorąco Florenta, dowodził, że lud bez wiary jest najnieszczęśliwszym. Skończyło się na tem, że Cisneros został na głowę pobity, nie znalazł się ani jeden wyrzutek, któryby mu do bluźnierczego żądania śmiał pomódz.

Nawrócenie. W Tunisie, w tamtejszym kościele katolickim, odbyła się podniosła ceremonia: dwie Angielki, Emma Madomo i Marya Krystyna Asplet, panie światłe i możne, przeszły na łono kościoła katolickiego i z wielką pobożnością przyjęły Komunię Świętą z rąk ks. Fortunata Russo. Tłumy, zalegające świątynię, były wzruszone do głębi obrzędem i z pewnością każdy z tych świadków na zawsze zapamięta tę chwilę. Ks. Fortunat Russo niedawno przed tą ceremonią udzielił Sakramentu Chrztu Świętego dwom innym osobom, również należącym do klasy zamożnej i światłej, a mianowicie: Łucyi Józefie Salvarelli i Janowi Splet. Nawrócenia wywarły na mieszkańców Tunisu silne wrażenie, które zapewne bez skutku nie zostanie i społeczności rzymsko-katolickiej wiernych przysporzy.

Cudowne uzdrowienie. W gazecie *Katolik*, wychodzącej w mieście Millwauke, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej piszą, że w mieście Saint Louis zdarzył się wypadek zdumiewający, a jednak najzupełniej prawdziwy. Rzecz tak się miała. W mieście tem istnieje zgromadzenie żeńskie Św. Józefa, do którego należy Siostra Laura. Zakonnica ta od lat ośmnastu cierpiała na raka w żołądku, a od lat szesnastu wyłącznie płynami utrzymywała się przy życiu. W ostatnim czasie tak osłabła, że nie mogła pełnić żadnych obowiązków, przytem cierpiała niezmiernie. Dok-

torzy, Will i Harkins, którzy ją stale doglądali, a także inni lekarze wzywani do pomocy, uznali chorobę za nieuleczalną, odstąpili nieszczęśliwą, oświadczając, iż tylko śmierć od cierpień uwolnić ją może. Jakoż zdawało się, że życie Siostry Laury wisi na włosku. Choroba zaczęła postępować gwałtownie, zajęła cały żołądek, doszło do tego, że rana była widoczna na zewnątrz Siostra Laura udała się o pomoc do Ś go Józefa, jęła odprawiać Nowennę, pragnąc wyjednać sobie, przez orędownictwo tego Patrona, ulgę w cierpieniach lub śmierć szczęśliwą. Ukończywszy Nowennę, po przyjęciu Komunii Ś-tej, udała się do swojej celi i zasnęła. Spała niedługo, a obudziwszy się, zdumienie ją ogarnęło i radość, uczuła się bowiem zupełnie uzdrowioną. Nie wierząc sobie, udała się do lekarzy, którzy zostali nie mniej zdumieni, bo i oni stwierdzili uzdrowienie. Spisano odpowiednie świadectwo, w którem lekarze wyrazili nieodwołalnie, że uzdrowienie mogło nastąpić wskutek nadnaturalny, cudowny, gdyż wiedza ludzka, wobec tak rozwiniętej choroby, żadną miarą nic poradzić nie mogła. Świadectwo podpisali doktorzy Will i Harkins, oraz trzy zakonnice, które oglądały ranę na chwilę przed jej cudownem zagojeniem. Wieść o cudzie z błyskawiczną szybkością rozbiegła się po Ameryce, krzepiąc wiarę, niwecząc wątpliwości i upokarzając bezbożników.





Ś. p. Ksiądz Biskup ANTONI SOTKIEWICZ

Ś. † p.

Ksiądz Biskup Antoni Sotkiewicz.

Wiadomość o śmierci ś. p. ks. Antoniego Sotkiewicza, biskupa sandomierskiego, nie tylko odbiła się echem boleści o stare mury Sandomierza i całej dyecezyi, ale kraj cały został nią dotknięty, bo w osobie zmarłego dostojnika Kościoła zszedł do grobu mąż wielkiej nauki, wielkiego doświadczenia, trzeźwego i bystrego sądu o rzeczach, mąż żelaznej pracy, którą całe życie obracał na chwałę Bożą i pożytek bliźnich. Ś. p. ks. Sotkiewicz urodził się dnia 13 Stycznia 1826 roku, we wsi Bardo, powiatu opatowskiego, z rodziców Andrzeja i Ludwiki z Targowskich Sotkiewiczów. W domu rodziców bogobojnie chowany, młody Antoni zostaje oddany do szkół średnich. Matka, błogosławiąc syna, ukazała mu krzyż Zbawiciela i obraz Matki Bożej Częstochowskiej, zalecając, aby oczy zwracał na Tę Opiekunkę i Matkę Najlepszą i w naukach udawał się do niej o pomoc. Syn ucałował rękę matki, łzawe oczy zwrócił na wizerunek Najświętszej Panny i ruszył do szkoły. Cześć takim matkom, cześć takim synom, co przy tych najświętszych znakach rozstają się z sobą i przy nich rozpoczynają życie swoje i pod ich tarczą pracują.

Pomny na przestrogi matki, syn uczył się wzorowo, tak, że już w 16 roku życia wstąpił do seminaryum duchownego w Sandomierzu, z którego wyszedł w roku 1846, udając się do wyższej uczelni, do Akademii duchownej w Warszawie, którą ukończył ze stopniem kandydata Św. Teologii. Z Warszawy powraca do Sandomierza, gdzie obejmuje obowiązki nauczyciela religii w szkole miejskiej, następnie naucza w seminaryum duchownem.

Młody kapłan, zasobny w naukę i cnotę, posuwa się szybko w godnościach kościelnych. Widzimy go profesorem w Akademii duchownej w Warszawie, kanonikiem kościoła metropolitalnego, a w r. 1877 zostaje administratorem archidyecezyi warszawskiej. W tym to czasie zmarły dostojnik pracę swego pióra pomieszcza w „Pamiętniku-Religijno-Moralnem,“ w „Encyklopedyi Kościelnej,“ w „Przeglądzie Katolickim“ którego przez długi czas był redaktorem. Jakie były zasługi tego pracownika, dowód najlepszy, że w d. 15 marca 1883 r. otrzymał godność biskupa sandomierskiego. Przed objęciem stolicy biskupiej w Sandomierzu, ks. Antoni Sotkiewicz przybywa do Częstochowy, na Jasną-Górę, i tu przed Cudownym Wizerunkiem Matki Bożej w kornych rozpływa się modłach.

Ś. p. ksiądz biskup Sotkiewicz objął sercem wszystkich i kraj cały; wszystko, co tylko było szlachetnem i dobrem, znajdowało w jego sercu oddźwięk i poparcie. Ukochawszy wiedzę, pragnął, by młodzież poświęcająca się stanowi duchownemu, ukochała ją także; by z czystych źródeł naczyniem wiary czerpała w niezgłębionym oceanie mądrości Bożej. Sam, do ostatnich chwil, nie opuścił stanowiska profesora w seminaryum i wskazywał drogi postępu po szlakach Bożych. Jaką miłością wszyscy otaczali zmarłego Pasterza, dosyć wspomnieć dzień 20 sierpnia 1899 r., w którym ksiądz biskup obchodził pięćdziesięcioletni jubileusz pracy kapłańskiej.

Ileż to do Sandomierza zjechało dostojników Kościoła, kapłanów, obywateli! Ile ludu wiernego napłynęło, aby złożyć niekłamane życzenia zdrowia, wielolecia i pomodlić się za swego biskupa!

Taki sam zjazd widział Sandomierz w dniu 8 i 9 maja r. b., — ale wierni przybyli wówczas nie z okrzykiem radości, lecz ze smutkiem, by zapłakać przy trumnie ukochanego Pasterza. Ziemianie, chcąc uczcić pamięć zmarłego, złożyli na ręce prześwietnej kapituły pewną kwotę pieniężną na cel dobroczynny. Wśród licznych wieńców przy trumnie złożyli także swój i Izraelici, wyrażając hołd i uznanie nieboszczykowi. Płakał tu cały Sandomierz, płakała cała dyecezya! Legł w grobie mąż niepośledni, który czyny swego żywota opierał na miłości bliźniego i miłości prawdy z zaparciem się miłości własnej.

Dzwon katedralny żałośnie dzwoni,
I dzwony wszystkich kościołów,
Odszedł nas Pasterz, biskup Antoni,
Mąż dzielny wśród Apostołów!

Niech nad srebrnemi Wisły falami,
Nad sandomierską przestrzenią,

Serca, co płaczą—i tchną żalami,
Smutek na prośbę zamienią—

By przyszedł pasterz—kapłan stateczny,
Miłości niosąc balsamy,
A zaś zmarłemu spoczynek wieczny,
O, Boże racz dać, błagamy!

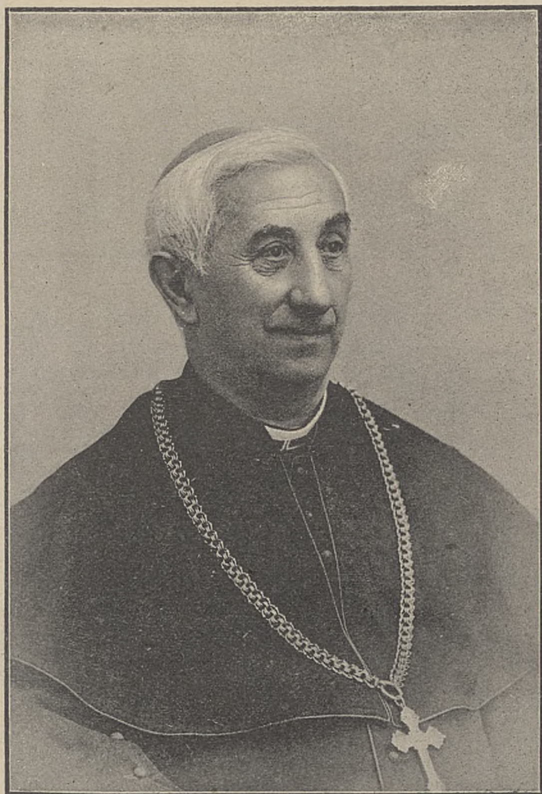


Ś. † p.

Ksiądz Arcybiskup Izaak Isakowicz.

W dniu 2 i 3 maja roku bieżącego dzwony kościołów miasta Lwowa jęczały boleśnie, wtórując żalowi mieszkańców, zwartym szeregiem otaczających pałac arcybiskupi, z którego miano wynieść zwłoki ukochanego ojca, opiekuna ubogich, ks. Arcybiskupa Isakowicza. Starzy nie pamiętają tak wspaniałego pogrzebu, takiej czci i żalu, jakie towarzyszyły przy zwłokach tego dostojnika kościoła. Długim szeregiem snuły się za sobą stowarzyszenia, deputacye, przedstawiciele gminy wyznaniowej izraelskiej we Lwowie, uniwersytet, politechnika, bractwa z chorągwiami, zastępy duchowieństwa na czele z arcybiskupami i biskupami. Trumna spoczywała na żałobnym rydwanie, ciągnionym przez sześć koni. Za trumną szła rodzina, wybitne osobistości kraju i miasta, oraz niezliczone tłumy wiernych. Wśrod tego powszechnego hołdu dla zmarłego, zdawało się, że się słyszy głos z pod wieka trumny zawsze pokornego Pasterza, który odbierając za życia wyrazy uznania, wołał: „*Nie nam, Panie, nie nam, ale imieniowi Twemu daj chwałę.*“ Przypatrzmy się bliżej tej czcigodnej postaci, z którą tak trudno było rozstać się mieszkańcom Lwowa, wszystkim wielbicielom jego wzniosłych cnót i czynów.

Ś. p. ks. Isakowicz urodził się w d. 6 czerwca 1824 roku, w Łyścu, z ojca Samuela Hajbab Isakowicza i matki Rypsymy ze Słowackich, jako potomek szlachetnej rodziny ormiańskiej. Pierwsze nauki pobierał w Łyścu, jako młodzieniaszek lubiał czas wolny od nauk spędzać przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej, który był we czci szczególnej w jego rodzicielskim domu. Gimnazyum ukończył z odznaczeniem w Stanisławowie, nauki duchowne w lwowskiem seminaryum. Jako kapłan pełen poświęcenia, niósł słowem i czynem pociechę cierpiącym; pod



Ś. p. Ksiądz Arcybiskup IZAAK ISAKOWICZ.

tchnieniem jego słów szczerych, serca wiernych umacniały się w wierze, nawracały na drogi Boże. Jako proboszcz i dziekan Stanisławowski, rozwinął umiejętnie ks. Isakowicz swoją działalność, przez co zjednał sobie serca i wdzięczność wszystkich. Kasa oszczędności, bursa studencka i wiele innych dzieł pożytecznych, oto pomniki jego działalności w Stanisławowie. Czyny szlachetne, nieskalany żywot, nauka i doświadczenie zwróciły nań uwagę Stolicy Apostolskiej, i Ojciec Ś-ty Leon XIII w r. 1882 podnosi go do godności arcybiskupa. Na tem stanowisku równie dawał wzór chrześcijańskiego żywota. Nic dla siebie, a wszystko dla drugich, dla potrzebujących, dla biednych. Pełen łagodności umiał znaleźć drogę do serc wszystkich, wszystkich jednoczyć. Jako człowiek i kapłan, przykuwał do siebie wszystkich tymi przymiotami. Ś. p. ks. Arcybiskup Isakowicz był członkiem honorowym wszystkich katolickich towarzystw rzemieślniczych. Przed kilku laty, gdy, społeczeństwo uniesione miłością i wdzięcznością dla niego, złożyło mu w ofierze dar, nie przyjął go dla siebie, ale z pomocą tego daru ufundował w Łyścu ochronkę Sióstr Służebniczek. O czynach miłosierdzia jego mogłyby nam wiele powiedzieć suteryny i poddasza miasta Lwowa. Na wiadomość, że w suterynie na barłogu legł snem śmierci ojciec licznej rodziny i niema go za co pochować, dostojnik ten zalewał się łzami, sam wychodził ze swego pałacu i wśród słoty, szarugi, prowadził ciało biedaka na oddalony cmentarz, a płaczącym wlewał słowa pociechy i roztaczał nad nimi opiekę. W izdebkach ubogich, niepoznany, stawał wśród głodnych, aby im podać chleba. Mąż ten był wielkim czcicielem Najświętszej Panny i do niej we wszystkich potrzebach się udawał. Wiedział dobrze, że Ta Matka prowadzi pędzel mistrzów po płótnie, posuwa piórem geniuszów, wstępuje z uczonymi na gwiazdy i do wnętrza ziemi, uprosił Ją też w kornych modłach, że mu dała łaskę godnie roznosić słodkie Imię Jezusa i szerzyć z pożytkiem Jego Królestwo na ziemi. Porywał słuchaczy, a w listach pasterskich zostawił wiele prześlicznych myśli, wzruszających serca.

W dniu 6 sierpnia 1898 r. odbyła się w lwowskiej archikatedrze Złota Msza jubileuszowa ś. p. księdza Arcybiskupa Isakowicza; w dniu 8 września 1898 roku w wielkiej sali ratuszowej uroczysty obchód jubileuszowy, w którym wzięli udział przedstawiciele władz, rada miejska, stowarzyszenia i t. d. W czasie tego obchodu złożono mu adres z wyrazami hołdu, opatrzony w 40,000 podpisów z całego kraju.

Wśród życzeń i hołdów, kiedy odebrał życzenia wielolecia z naszej Częstochowy, odręcznym listem, pełnym serca, między innemi tak odpowiada: „Dziękuję całem sercem za szczere życzenia, dziękuję osobliwie za to, że mi je przynosicie z Jasnej-Góry Częstochowskiej, od stóp Tej Przeczystej, Niepokalanej Bogarodzicy, Którą całe życie kochałem

i kocham, Która była jest i będzie naszą Matką najlepszą“... Zmarł czciciel Najświętszej Matki, zmarł złotousty mąż, świętobliwy kapłan, wylany na potrzeby nieszczęśliwych, umarł ubogi sługa Chrystusa, który przed zgonem wołał: „Może się znajdą miłosierni, Józefowie z Arymatei, co pogrzebią nędzne ciało moje.“

Zmarł czciciel Przenajświętszej Matki,
Więc zapłakały jękiem wielkim dziatki,
Że odszedł od nich i nie będzie z niemi
Krzewiciel chwały Królowej na ziemi.





Ś. p. Ksiądz MICHAŁ NOWAKOWSKI,
DZIEKAN i PROBOSZCZ CZĘSTOCHOWSKI.

Ś. † p.

Ksiądz Kanonik Michał Nowakowski,

PROBOSZCZ i DZIEKAN CZĘSTOCHOWSKI.

Komuż nie znaną była postać ś. p. ks. Michała Nowakowskiego? Któż, odwiedzając Jasną-Górę, nie spieszył później do kościoła Ś-go Zygmunta a ztąd na plebanię, aby powitać czcigodnego jubilata? Ś. p. ks. Nowakowski każdego gościa witał słowem serdecznem, a ugaszczając, apostołował bez wytchnienia, tak, że krom posiłku dla ciała, otrzymywał gość posiłek i dla ducha.

Któż nie słyszał tych serdecznych nauk o Panu Jezusie, wypowiadanych z taką prostotą, z takiem uczuciem i wiarą, że bezwiednie serce raźniej bić poczynało i zapalało się miłością naszego Zbawcy? — „Czy wiecie, mawiał ks. Nowakowski—co to jest Chrystus?—To Bóg nasz, to Pan nasz, to miłość niezgłębiona, to ogień!—Od ognia zapalisz jedną świecę, od tej drugą i tak następnie wielką ilość po kolei zdołasz zapalić. Jezus zaś, wchodząc do serc naszych, miliony dusz zapala odrazu ogniem miłości nieskończonej.—A czy ty wiesz, bracie mój drogi, co to jest Matka Boża? To nasza królowa, co tron ziemski obrała na Jasnej-Górze i stąd obsypuje dzieci swe łaskami, aby je przyciągać do Jezusa. Idź tam, do tej Pani, ale nim się zbliżysz przed Jej cudowny Obraz, odrzuć od siebie samolubstwo i pychę i pokorny jako proch, błagaj o łaski, a otrzymasz je". Tak przemawiał ten kapłan wszędzie, gdzie mu się nadarzyła sposobność, a zawsze z szczerym zapałem.

Skromny, w wytartej sutannie, ten kapłan — mędrzec pod tą suknią krył gorące serce, płonące ogniem ofiarnym dla wszystkich, a zwłaszcza dla biednych i wydziedziczonych.—Kochał wiedzę, czytał do końca życia bardzo dużo; to też w ręku jego przesuwały się najpoważniejsze i najświeższe dzieła, z których ssał miód prawdy i drugich nim gorliwie obdzielał. Jaką czcią powszechną cieszył się ksiądz Nowakowski, dosyć przypomnieć jego dzień jubileuszowy pięćdziesięcioletniej pracy kapłańskiej, — dosyć przypomnieć dzień pogrzebu, 28 stycznia bieżącego roku, gdy wszyscy, bez różnicy stanu i wyznania, składali hołdy niekłamane czcigodnemu kapłanowi-obywatelowi. Aby zyskać taką cześć, trzeba jak on umieć na nią szczerze zapracować.

W domu rodziców bogobojnie chowany, tę bojaźń Bożą wniósł do szkół,—w bojaźni Bożej skończył seminaryum duchowne w Włocławku i akademię w Warszawie, wszędzie zyskując sobie miłość ludzką.—Wiedza i czyny chwalebne ś. p. ks. Nowakowskiego miały go wynieść do wysokich godności w hierarchii kościelnej, lecz on pilnie tego unikał, przekładając nad wszystko ciągłą styczność z maluczkimi, szukając w nich Królestwa Bożego. Posiew zbawienny jego nauk i pracy wytrwałej był bogaty w owoce. W Dobryszycach, gdzie pasterzował, sam uczył dzieci katechizmu i innych nauk. Iluż z pod jego ręki i za jego pomocą wyszło, jak się mówi, na ludzi!

Była to postać odrębna, typowa, jedyna w swoim rodzaju. Takie postacie, pełne szlachetności, z każdym dniem znikają, schodząc do grobu.

Płytkie umysły i zimne dusze mogły nazywać ś. p. ks. Nowakowskiego dziwakiem, oryginałem, my zaś powiemy: — „Bodajby takich postaci było jak najwięcej w naszem społeczeństwie!“

Do ostatnich chwil, a umarł, mając lat 82, żarzyło się w nim uczucie gorącej wiary, miłości kościoła, wiedzy wszechstronnej i poświęcenie dla bliźnich.

O, ileż scen chwytających za serce, świadczących o prostocie i pokorze ś. p. ks. Nowakowskiego możnaby tu przytoczyć!

Czcigodny Pasterzu, nie danem ci już było rozpocząć budowy nowego parafialnego kościoła w Częstochowie, boć już lata ciążyły ci wielce, ale niechże te świątynie żywe, które budowałeś w sercach twych braci nauką i przykładem, przemówią za tobą do Boga Sprawiedliwego i Miłościwego! Czcicielu gorący Najświętszej Panienki Częstochowskiej, niechże ta pełna litości Matka zjedna ci miłosierdzie u Boga za twe szlachetne czyny, za twą miłość dla ubogich.

Dobry pasterzu, ojcze kochany,
Czy już nie powiesz nam słowa?
Przy twojej trumnie lud zapłakany,
Płacze sierota i wdowa!

Tyś się gnuśności nie dał pokusie,
Trzymałeś w ręku pług, kosę,
Prawiłeś z serca nam o Jezusie,
Z oczu ścierałeś łez rosę.

Śpij! śpij, siejbiarzu, sługo Chrystusa,
Po trudach pracy i znoju—
Kto, jak ty, dźwigał sztandar Jezusa,
Ten niech spoczywa w pokoju!



Nauka księdza proboszcza o odpustach.

Piotr Kulik, gospodarz wzorowy i człek dobry, nieśmiało wszedł do przedpokoju plebanii i stanąwszy na środku, głośno rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z kancelaryi plebańskiej odezwał się głos:

— Na wieki wieków. Amen — i za chwilę wyszedł ksiądz proboszcz, a poznawszy swego parafianina, serdecznie go powitał i wprowadził do pokoju.

— Cóż mi powiecie, kochany Piotrze? Czyście to już na nieszpory przyszli? Przecież to jeszcze godzina czasu.

— Tak, wiem, proszę księdza proboszcza, że jeszcze czas, ale przyszedłem wcześniej, bo chciałbym prosić pięknie łaski księdza proboszcza, żeby mi to jako wytłómaczył o tym jubileuszu, co to mamy obchodzić. Wczoraj zeszło nas się kilku u Wojciecha i radziliśmy nad tem, ale żaden z nas nie mógł jakoś wyrozumieć, co to jest ten jubileusz?

— Siadaj-no sobie, mój Piotrze, i posłuchaj, bo to widzisz tak w dwóch słowach tego nie można wytłómaczyć.

W tej chwili zaturkotało przed gankiem i niebawem wszedł pan Przyłubski, dziedzic miejscowy.

Przywitawszy się z księdzem proboszczem i pozdrowiwszy Piotra, usiadł ciężko na kanapie, i odetchnąwszy głęboko ze zmęczenia, rzekł do Piotra z uśmiechem:

— No, cóż Piotrze, pewno znów przyszliście z jakiemi pytaniami religijnemi do księdza proboszcza?

— A zgadł wielmożny dziedzic — odpowiada Kulik — bo właśnie miał mi ksiądz proboszcz wytłómaczyć o jubileuszu.

— O! kiedy tak, to doskonale, bo i ja z przyjemnością posłucham. Dawno już człek o tem uczył się w szkołach, to i wywietrzało z głowy.

— Jubilesz — rozpoczął w te słowa ksiądz proboszcz — to czas łaski. W tym czasie Papież udziela odpustu zupełnego pod pewnymi warunkami i do wypełnienia tych warunków zachęca gorąco wszystkich wiernych. W Starym Zakonie Pan Bóg postanowił, ażeby Izraelici obchodzili co lat pięćdziesiąt rok jubileuszowy. Gdy taki rok przyszedł, to więźniów wypuszczano na wolność, — dłużnikom długi darowywano— ziemia wracała do swoich panów i inne rozmaite następowały ułaskawienia.

Podobny zwyczaj zaprowadził kościół katolicki od r. 1300. Podczas takiego jubileuszu Papieże udzielali odpuszczenia wszystkich kar za grzechy tylko tym, którzy po wyspowiadaniu się z grzechów i przyjęciu Komunii Świętej wypełnili różne dobre uczynki. Taki jubileusz najprzód bywał co sto lat. Potem papież Klemens VI na prośby Rzymian skrócił na ten czas do lat pięćdziesięciu. Urban VI ustanowił jubileusz co 33 lata, a nareszcie Paweł II rozpoczął w roku 1470, aby jubileusz obchodzony był co 25 lat i ten zwyczaj trwa do dziś dnia.

Przeszły rok 1900 był właśnie trzecim rokiem jubileuszowym. Obchodzony był najprzód w Rzymie jubileusz dla tego, aby wierni uczcili tam na miejscu pamięć ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła, jako głównych założycieli kościoła Rzymsko-Katolickiego. Że zaś nie każdy z chrześcijan może odbyć pielgrzymkę do Rzymu, więc nasz Ojciec Święty Leon XIII rozszerzył w tym roku na cały świat jubileusz i nakazał, aby był obchodzony w ciągu sześciu miesięcy.

— I jakże — powiada proboszcz — już teraz zrozumieliście, Piotrze, co to jest jubileusz?

— Zrozumiałem, proszę księdza proboszcza doskonale, — ale niech mi daruje ksiądz proboszcz, jeszcze jedno zapytanie... Jakto zrozumieć odpust?

— Odpust, kochany Piotrze, jest to odpuszczenie kar doczesnych po za Świętym Sakramentem Pokuty,—takich kar, którebyśmy po odpuszczeniu grzechów mieli odcierpieć tu za życia albo też w Czyścu.

— Jak zrozumieć, księże proboszczu, to powiedzenie: po za Św. Sakramentem Pokuty?

— Po za Świętym Sakramentem Pokuty, znaczy, że odpust i odpuszczenie grzechów, to nie jedno i to samo. Odpust nie gładzi żadnych grzechów ani śmiertelnych, ani powszednich.

Grzechy i kara wieczna w Piekle odpuszczają się tylko przez Sakrament Pokuty, a nie przez odpust.

— Teraz, to już rozumiemy dobrze obydwaj—rzekł pan dziedzic Przyłubski.

— Proszę zapamiętać — ciągnął dalej proboszcz—co chrześcijanin katolik powinien wiedzieć o odpuście.

Najprzód: *że Kościół Katolicki posiada moc udzielania odpustów*; powtóre: *że korzystanie z odpustów dla nas bardzo zbawienne i że odpusty pozyskać można na korzyść dusz w Czyścu zostających.*

— Przerwę księdzu proboszczowi pytaniem: czy Pan Bóg razem z grzechami nie odpuszcza nam także i wszystkich kar za grzechy?

— Pan Bóg odpuszcza nam razem z grzechami wprawdzie karę wieczną, czyli karę Piekła, ale nie zawsze kary doczesne.

Kiedy krnąbrni Izraelici szemrali przeciw Mojżeszowi i Aronowi, i Mojżesz błagał Boga o przebaczenie dla nich, wtedy Bóg mu powiedział: „Odpuszczam im więc na twoją prośbę. Wszyscy jednak, co mię kusili i nie słuchali głosu mojego, nie mają za karę oglądać kraju, który obiecałem ich ojcom.“ A Dawidowi, kiedy zgrzeszył, oznajmił Prorok, że Bóg zdjął z niego wprawdzie winę, nałoży nań jednak karę doczesną.

— W jakiż sposób można odpokutować już w tem życiu kary doczesne za grzechy?

— W tem życiu można odpokutować kary doczesne w ten sposób: po pierwsze, kiedy się spełni nietylko tę pokutę, jaką kapłan przy spowiedzi zadał, ale kiedy się prócz tego dobrowolnie wykonywa wszelkie dobre uczynki, ofiarując je za swoje grzechy. Powtóre, kiedy żałując szczerze za grzechy, dostępuje się odpustu przez Ojca Świętego naznaczonego.

Kościół Święty, ta zawsze dobrotliwa i kochająca nas Matka, przychodzi nam w imieniu Jezusa Chrystusa w pomoc wspaniałym darem odpustu, ażeby tym sposobem uzupełnić nasze niedostateczne i źle spełnione uczynki.

Odpusty więc pobudzają nas do życia pokutniczego, do dźwigania naszego krzyża za Jezusem Chrystusem.

Bez pokuty odpustu dostąpić nie można.

Kościołowi Katolickiemu dał prawo udzielania odpustów Jezus Chrystus, kiedy do Świętego Piotra powiedział: „Wszystko, cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w Niebie, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w Niebie.“ Ktoby więc tej władzy nie przyznawał kościołowi albo sądził, że odpusty są zbyteczne, ten przestaje należeć do Kościoła Katolickiego.

Kościół Święty ma wielki, niewyczerpany skarb duchowny; tym skarbem są zasługi Jezusa Chrystusa nieskończonej wartości, a także i zasługi Świętych Pańskich. Z tego to skarbu duchownego Kościół Święty czerpie dla nas katolików odpusty.

— Co to jest, księże proboszczu, odpust zupełny i niezupełny?

— Gdy kary doczesne za grzechy gładzą się przez odpust całkowicie czyli *zupełnie*, to taki odpust nazywa się zupełnym, zgładze-

nie zaś tylko jakiejś części kary doczesnej nazywa się odpustem *częściowym*. Częściowe odpusty bywają czterdziestu dni, stu, dwustu dni, jednego roku, dwóch trzech lub więcej lat. Ta liczba dni lub lat wziętą została z domowej pokuty kościelnej. W pierwszych wiekach kościoła istniały przepisy dotyczące pokuty, które dokładnie oznaczały rodzaj i trwanie pokuty za każdy grzech.

Kto np. nie oddawał należnej czci rodzicom, ten trzy lata za to pokutować musiał — a kto uderzył ojca lub matkę, ten siedem lat pokutę odbywał. Za potwarz było siedem dni postu o chlebie i wodzie, za fałszywe świadectwo siedem lat pokuty. Gdy pokutnik okazywał wielką gorliwość, albo gdy się za nim wstawił jaki męczennik, będący za wiarę w więzieniu, to kościół albo zupełnie go zwalniał z pokuty, albo skracał mu czas, czyli udzielił mu odpustu. Jeżeli pokutnik dostąpił odpustu lat naprzykład trzech, to się uważało, że już lat trzy odpokutował. Czyli innemi słowy: wszyscy, którym kościół odpustu udzielał, otrzymywali całkowite, lub częściowe darowanie kary za grzechy tej, którą musieliby tu na ziemi, lub w Czyścu wycierpieć. Toż samo dzieje się dzisiaj, gdy kościół odpustu udziela.

Jeżeli odpust jest zupełny, to, gdy go pozyskujemy, stajemy się wolni od wszelkiej kary doczesnej, którą musielibyśmy w tem życiu, lub w Czyścu odpokutować; gdy odpust częściowy, np. stu dni, to taka część kary doczesnej umorzona nam zostaje, za którą, według dawnych ustaw pokutnych, sto dni pokutować byśmy byli powinni.

Takiego przeto wyrażenia: Odpust jednego roku — siedmiu lat i siedmiu kwadragen (kwadragena znaczy czterdzieści dni) nie należy tak rozumieć, aby rzeczony odpust tyleż kary w Czyścu umarzał, ile odpust wyraża; gdy dostępujemy np. pięciu lat odpustu, to nie znaczy abyśmy mniej o pięć lat w Czyścu mieli pokutować. Wyrażenie pięciu lat odpustu znaczy to, że taka część kary czyścowej za grzechy umorzoną nam będzie, jakąby Bóg darował, gdybyśmy *wedle dawnych ustaw pokutnych* pięć lat pokutę czynili. Przy dostąpieniu zatem odpustu częściowego, jakaś część kary czyściowej zostaje darowaną; ale jaka ta część, to nam jest niewiadomem, jak niewiadomem jest nam i to, jaką karę umarzała dłuższa lub krótsza pokuta według dawnych ustaw pokutnych.

— Czy to możliwe, księże proboszczu—zapytuje się pan Przyłubski— ażeby były odpusty tysiąca lub dziesięciu tycięcy lat? Ja to w jakiejś książce czytałem?

— Prawda, że w niektórych starych książkach i spisach są wymienione podobne odpusty, jak pan mówi, tysiąca lub dziesięciu tysięcy lat — ale takie odpusty są podejrzane i prawdopodobnie w celu zysku ludzi niesumiennych wymyślone. Niemożliwe, aby Papież udzielał podobnych odpustów, boć przecież w dzisiejszych czasach niema mowy

o podobnych odpustach tysięcy lat. Wszędzie i we wszystkich czasach znajdują się ludzie, którzy najlepszą, najpiękniejszą i najpożyteczniejszą rzecz usiłują sfałszować, czy to dla zysku, czy też przez złośliwość i zawiść.

Tak było w Wiekach Średnich z odpustami. Kościół Święty ogłosił odpust jubileuszowy pod pewnymi warunkami, jak i dzisiaj. Kto zaś nie mógł, czy dla choroby — czy dla innej jakiejś przeszkody, spełnić jakiegoś naprzykład warunku, jak odwiedzanie kościołów 60 razy, to za pozwoleniem kapłanów mógł to zastąpić innym jakimś dobrym uczynkiem, jak np. jałmużną lub ofiarą na kościół. A że w owym czasie budował się największy na całym świecie kościół ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła w Rzymie, więc każdy dobry chrześcijanin katolik, przywiązany do Stolicy Świętej, gdy nie mógł spełnić warunków odpustowych, za zezwoleniem władzy duchownej, składał dobrowolnie ofiarę na budowę owej świątyni. Znaleźli się oszuści, bez wiary, którzy przebierali się w szaty kapłańskie i, udając duchownych, wyłudzali od łatwowiernych chrześcijan ofiary, niby na kościół, obiecując odpusty tysięcy lat, a nawet i odpuszczenie kary wiecznej za grzechy. Z takiego postępowania oszustów od kilkuset lat wzięli sobie wrogowie naszego Świętego Kościoła Katolickiego powód do naśmiewania się z odpustów i do fałszywego ich tłumaczenia.

Czyż i w dzisiejszych czasach mało podobnych wypadków? Wszakże trafiają się zbrodniarze, którzy, przebrani za duchownych, chodzą po różnych krajach i u nas także, a pokazując różne świadectwa i papiery od biskupów, rozumie się fałszowane potrafią w błąd wprowadzić najroztropniejszych ludzi i wyłudzić pieniądze, niby na budowę kościołów w dalekich krajach.

Dla tego więc, że ktoś w bezbożności nadużywa rzeczy świętych, przeznaczonych przez kościół Chrystusa na pożytek i zbawienie dusz — mamy winić za to kościół, lub poniewierać Święte obrządki? Zrobię takie porównanie. Wszak rządy wszystkich krajów mają prawo wypuszczania ze swych kas w obieg rozmaitej monety dla wygody swoich poddanych, aby ci mogli załatwiać pomiędzy sobą interesa kupna i sprzedaży. Jeżeli znajdują się fałszerze owej monety i ludzi oszukują, to przecież temu żaden rząd nie winien i nikt rozsądny nie może powiedzieć, że moneta jest niepotrzebną, lub że ją trzeba skasować. Tak samo rozumieć należy i o odpustach. Są one dobre i pożyteczne dla dusz naszych, a że ktoś mógł fałszować, to nie racya, aby dla tego naśmiewać się z odpustów lub chcieć je znieść.

Kto chce dostąpić odpustu, powinien: *1 o być w stanie łaski, czyli nie mieć grzechu śmiertelnego na sumieniu; 2-o powinien wypełnić dobre uczynki, przepisane przez kościół.*

— Zdaje mi się—mówił proboszcz—że wyjaśniłem dostatecznie znaczenie odpustu, więc teraz mówmy dalej o obecnym jubileuszu. Ojciec Święty tak przemawia w swem ogłoszesiu: „W Imię Boga Wszechmogącego i w imieniu Świętych Apostołów Piotra i Pawła i w imieniu Naszem, na mocy niniejszego pisma, rozszerzamy jubileusz, jaki obchodzono w Rzymie, na cały świat katolicki i przedłużamy na dalsze pół roku, rozporządzając przy tem, ażeby od tej chwili jubileusz uważano za rozszerzony i przedłużony. Przyczyni się to, mówi Ojciec Święty, tak My przynajmniej sądzimy, do ożywienia życia cnotliwego, do ściślejszej łączności wiernych ze stolicą Apostolską i do uzyskania wszystkich dóbr duchowych. To będzie też zarazem najlepszem uświęceniem początku nowego stulecia. Nie wiemy bowiem, jakby można lepiej rozpocząć wiek nowy, jeżeli nie usilnem staraniem, ażeby co raz więcej odnieść korzyści z zasług odkupienia i śmierci Chrystusowej. Nie wątpimy zatem, że wszystkie dzieci kościoła ten nowy środek zbawienia w tym samem duchu przyjmą, w jakim My go polecamy.“

Warunki dostąpienia odpustu, przepisane przez Ojca Świętego, są następujące:

1) Wzbudzenie w sobie prawdziwego żalu za wszystkie grzechy.

2) Spowiedź.

3) Komunia Święta.

4) Odwiedzanie kościołów przez dni piętnaście kolejno lub z przerwami.

5) Modlitwy w tychże kościołach według intencyi Ojca Świętego.

— Czy spowiedź wielkanocna może być razem spowiedzią jubileuszową?

— Nie, spowiedź wielkanocna nie może być policzoną za jubileuszową — potrzeba drugi raz spowiadać się i przyjąć Komunię Świętą, chcąc dostąpić odpustu. Ale można spowiadać się u jakiegokolwiek kapłana, niekoniecznie u swego proboszcza, byle ten kapłan miał do spowiadania od Biskupa pozwolenie. Dzieci, które nie były jeszcze u pierwszej Komunii Świętej, mogą dostąpić odpustu jubileuszowego bez komunikowania się.

— Jak należy wypełnić warunek odwiedzania kościoła?

— Gdzie jest więcej kościołów, niż jeden, tam odwiedza się te kościoły kolejno, według rozporządzenia proboszcza — gdzie zaś jest tylko jeden parafialny, wierni są obowiązani odwiedzać ten kościół po 4 razy dziennie, przez 15 dni dzień po dniu, albo też z przerwami. Wypadnie więc razem 60 odwiedzin kościoła.

Osoby, którym albo brak zdrowia, albo inne jakie przeszkody nie pozwalają na zwiedzanie kościołów, mogą prosić kapłanów o zamienienie odwiedzań kościelnych na inne pobożne uczynki.

Należy też i to pamiętać, że po każdorazowem odwiedzeniu keścioła nie potrzeba wracać do domu, lecz wystarcza wyjść z kościoła i znowu zaraz od progu nawrócić, aby nowe rozpocząć odwiedzenie.

Gdyby kościół był zamknięty, to można modlić się pode drzwiami lub na stopniach.

Co do modlitwy, to nie potrzeba koniecznie modlić się klęcząco — a przytem odmawia się modlitwy jakiekolwiek, byle ofiarować je na tę intencyę, jaką ma Ojciec Święty.

W ogólności uważa się za wystarczające odmówienie pięciu „Ojcze nasz", „Zdrowaś Marya" i Chwała Ojcu". Można odmawiać pacierze i modlitwy albo osobno samemu, albo razem z innymi.

Kto dostąpił w roku zeszłym w Rzymie odpustu jubileuszowego, może także dostąpić i obecnego, byle dopełnił wymaganych warunków w ciągu sześciu miesięcy.

Ktoby w czasie owych sześciu miesięcy, wyznaczonych na pozyskanie odpustu, był w podróży, to po powrocie na stały pobyt dokądkolwiek, może dostąpić odpustu, byle wypełnił przepisane warunki.

Podczas tego jubileuszu sześciomiesięcznego wszystkie inne odpusty nadane przez Stolice Świętą mają swoją ważność.

W każdej decyzyi rozpoczyna się Jubileusz od tej chwili, kiedy Biskup lud zarządca dyecezyi ogłosi bullę Ojca Świętego, i będzie się ciągnął przez sześć miesięcy.

W każdej parafii księża proboszczowie ogłaszają wiernym od jakiego czasu rozpoczyna się Jubileusz i jak się go powinno obchodzić.

Wtem zadzwoniono na Nieszpory.

— Dziękujemy księdzu proboszczowi, dziękujemy serdecznie — rzekł pan Przyłubski, a wraz z nim i Piotr Kulik, który rozpromieniony pochylił się do nóg uwielbianego plebana.

Ksiądz Józef Adamczyk.



Dzwoń nam, dzwonku!

Witaj, dzwonku—przyjacielu,
Tyś pociechą wśród trosk wielu,
Bo gdy życie ciernie ściele,
Jak zadzwonisz na kościele,
To się dusza wnet raduje,
Szczęście Nieba w sobie czuje...
W słowa stajesz dziś postaci,
Dzwonku miły, pośród braci.

Jakże dzwonić będziesz, dzwonku?
Czy nam powiesz o tem słonku,
Co to grzeje duszę wiarą,
Natchnień świętych poi czarą?...
O Jezusie Zbawicielu,
O Tym Bogu przyjacielu,
Jego męce, Kalwaryi,
Przenajświętszej też Maryi?

Dzwonku miły, tyś druh stary,
Bo ogłaszasz prawdy wiary...
Wszakże dzwonisz z Częstochowy,
Niosąc wieści o Królowej...

Z niemi wstępuj w nasze chatki,
Rozradujesz ojców, matki,
Wytłómaczysz, co to wiara,
Nasza święta wiara stara,
Jakie cuda są w kościele,
A Pan Jezus na ich czele.
Że to nasze życie—marne,
Powleczone w chmury czarne,

Gdy nie świeci mu jak zorza
Przecudowna Matka Boża,
Która z nami sieje, orze,
W każdej biedzie dopomoże,
Skwar ochładza i pot z lica,
Tak nas kocha Ta Dziewica.

Ona z nami w radzie siędzie,
Z nami w polu, w lesie, wszędzie...
Każdy miłość Jej okaże,
Dziatwa stroi Jej ołtarze,
Wiesza obraz na jaworze,
Na topoli, tuż przy dworze;
To go niesie na rozdroża,
Tam, gdzie stoi Męka Boża.

Ona serca łaską rosi,
Kto jej błaga, ten uprosi!
Bierze pod płaszcz wyrobników,
Ludzi z fabryk i górników,
Słowem wszystkie bierze stany,
Gdy Syn Jezus jest kochany.
Ona z wieków chce być z nami,
Jako Matka wraz z dziatkami.

Próżno mędrcy głowy łamią
Gdy krzyż rzucą, ucząc kłamią.

Niechaj, dzwonku, twoje tony
Roznoszą się na wsze strony,
Dźwięczą, że krzyż siła cała,
A bez niego wiedza mała!

O stolicy ucz Piotrowej,
Tej opoce Chrystusowej,
Apostołów podnoś czyny,
Jakie Kościół daje syny...

Witamy cię w tej postaci,
Takim przychodź do twej braci,
Roznoś-że nam prawdę, zgodę,
Naucz starych, serca młode,
Że ten spełnia czyn, ofiarę,
Kto ma w sercu miłość, wiarę!

St. Wieniawa.